

THIRD



Michał Juriusz Pieróg
Third

Spis treści

1. First.....	3
2. Second.....	36
3. Third.....	77

1. First

*Godzina piąta, minut trzydzieści,
Kiedy pobudka zagrała,
Grupa rezerwy szła do cywila,
Niejedna panna płakała.*

5:30 brzmi groźnie. Ludzkości nie jest znany przypadek, aby ktoś wstał o 5:30 i dobrze się czuł. Jest za to wiele opisanych przypadków, gdy ludzie wstawali o takiej godzinie i nigdy im to nie służyło, w żadnym systemie, pod żadną długością ani szerokością geograficzną. O wiele bezpieczniej brzmi 8:30. 8:30 wydaje się być całkiem sympatyczna, 8:30 nie wygląda na groźną godzinę. Jednak w pewnych okolicznościach przyrody, pora oznaczona jako 8:30 może być najstraszniejszą ze wszystkich 3600 minut dnia.

Dla Tomasza Badyńskiego 8:30 znaczyła początek męki nazywanej pospolicie pracą. Odliczanie 510 minut do 17:00, czyli wyjścia. Wolności. Wolności na 930 minut i tylko do kolejnej 8:30. Z tak zwanej wolności trzeba było przespać 300 minut, chociaż lepiej przynajmniej 400, żeby nie czuć się i nie wyglądać jak zombie. Ba, tak naprawdę to dobrze było przespać z 450 minut, dopiero to pozwalało, by zmęczenie odeszło na chwilę w zapomnienie.

Już tutaj wychodzi, że więcej niż połowę życia zostawiało się w pracy. Zakładając, że do tej trzeba było jakoś dojechać, a potem z niej wrócić – przynajmniej 30 minut w jedną stronę, a bywało, że i 50 – wyliczenia jasno wskazują, że większość życia Badyńskiego była podporządkowana pracy i czynnościom związanym z nią. Przy czym nie można tu mówić o jakichś poważnych poświęceniach, w końcu znane są przypadki, gdy droga do pracy zajmuje ponad godzinę w jedną stronę. Jednak trzymajmy się wersji podstawowej, na wersję deluxe przyjdzie jeszcze czas.

Odliczając od tego czas przeznaczony na procesy konieczne do utrzymania się przy życiu (żarcie, mycie, gotowanie, prasowanie etc.), w najlepszym razie zostawało Badyńskiemu około 300 minut, żeby myśleć, kochać, oglądać, czytać, pisać, słuchać, rozmawiać i napić się. Zanim jednak udało się dotrzeć do tego miejsca dnia, zazwyczaj ciało i dusza miały tak bardzo dość, że nie chciały ani myśleć, ani kochać, ani oglądać, ani pisać, ani czytać, ani słuchać, ani też rozmawiać. Zazwyczaj już tylko chciały się napić i iść spać, żeby czekać na egzekucję kolejnego dnia tak zwanego życia.

Było jednak 20% szans na to, że miał miejsce piątek. Wtedy to wolność po 17:00 była przyznawana na 3810 minut. 63,5 godziny. Nikt nie wiedział,

co robić z takim darem od życia. Głupiał. Po prostu chciało się, żeby ktoś przyszedł i powiedział, ewentualnie napisał maila, co ma robić z takim festiwalem wolności.

Jeżeli ktoś miał żonę i/lub dzieci, sprawa była ułatwiona. Jeżeli nie, dzięki lekturze popularnych gazet i czasopism, człowiek wiedział, że powinien iść do kina. Teatru. Klubu. Powinien spotkać znajomych i dobrze się bawić, korzystając z każdej minuty, którą sobie wypracowali. W końcu mieli ich 3810. Odliczyć sen, prysznic, kibel, żarcie, doliczyć kaca i cztery minuty śmiechu z każdego weekendu.

Przegrywało się jakieś 5:2 z systemem. Przegrywało się z kretesem ze zdrowym rozsądkiem. Przegrywało się każdego dnia, a oni wygrywali. To jest opowieść o takim przegrywaniu, ale z całkiem szczęśliwym zakończeniem.

*

Człowiek potrafi latać w kosmos, schodzić na dno oceanów, modyfikować genom, tak swój, jak i zwierząt, a nawet pozwala sobie na próby stworzenia sztucznej inteligencji, z którą póki co przegrywa w szachy. Poza tymi prostackimi osiągnięciami, przyćmiewanymi każdego dnia przez możliwość oglądania obrazków z kotkami w internecie, ludzkości udało się wymyślić bardzo wiele form ucisku, pozbawienia wolności i poniżenia drugiego człowieka. Każda epoka przynosiła własne, nierzadko bardzo kreatywne i innowacyjne pomysły kwalifikujące się do tych kategorii. Gdyby się zastanowić, co kierowało ludźmi, że mieli tak wielkie zdobycze na tym polu – czy było to pragnienie władzy, wywołania posłuchu u poddanych, a może pokonania przeciwników politycznych – to prędzej czy później dochodzi się do wniosku, że główną siłą napędową ludzkości odwiecznie była chciwość.

Przez wieki dominowała przemoc fizyczna, której celem było powodowanie nieprzyjemnych bądź groźnych dla ofiary stanów, ze śmiercią włącznie, co miało skłonić ofiarę bądź świadków egzekucji do przemyślenia swoich zachowań. Katalog tortur świata ma setki stron, trochę inaczej krzywdzono na wschodzie, nieco inaczej na zachodzie, odmiennie w starożytności czy w XX wieku. Kreatywność człowieka w tym temacie nigdy nie słabła, rozwijano zarówno pomysły dotyczące wymiaru kary, jak i przewinień. Jakiś stos za to, że Ziemia kręci się wokół słońca, jakieś masowe dekapitacje za niechęć do religii najeźdźcy, masowy mord za zły kolor skóry albo nieprawidłowe przekonania polityczne. Może poza Antarktydą, na lądzie chyba nie jesteśmy w stanie znaleźć się dalej niż sto kilometrów od miejsca jakiejś malowniczej kaźni, a nierzadko i ludobójstwa. Te zawsze cieszyły się niemałą popularnością.

Inną kategorię uprzykrzania życia drugiej jednostce było też niewolnictwo, które wydawało się niemal idealnym rozwiązaniem – męka

gwarantowała posłuszeństwo, zazwyczaj też satysfakcję materialną dla ciemniejszego (to jeżeli nie był absolutnym idiotą i był w stanie dobrze zorganizować swą siłę roboczą, tu akurat większymi sukcesami mogą pochwalić się faraonowie niż plantatorzy z Georgii). Jednak rozwiązanie to cechowały pewne wady: co jakiś czas niewolnicy mieli dość wyzysku, dogadywali się między sobą i występowali przeciwko swym panom. Wtedy lubili podziękować za wcześniejsze dobre traktowanie swoim „właścicielom”. Co gorsza, koszt ich utrzymania w całości spoczywał na panach, zaś ich edukacja i zakres prac, jakie mogli wykonywać, były poważnie ograniczone. Niemniej przecież w XIX wieku ludzie w Ameryce Północnej byli gotowi umierać za prawo do posiadania niewolników o nieco innym odcieniu skóry niż oni, a i w kolejnym stuleciu znalazło się wielu orędowników tego porządku.

Na szczęście czasy się zmieniały, systemy się rozwijały, aż ludzkość doszła do XXI wieku, który jest przedłużeniem XX wieku, ze wszystkimi jego wadami i niemal bez żadnych jego zalet. Pomyślano: po co hodować niewolnika? Ubierać go, dawać mu jedzenie, a w zamian wykonywał on będzie tylko najprostsze prace? To się w ogóle nie opłaca. Poza tym niewolnictwo to takie brzydkie słowo i na dodatek już oficjalnie nie istnieje, zostało potępione na wszystkie możliwe sposoby i każdy członek tak zwanego rozwiniętego świata określi je jako moralnie nie do przyjęcia. Dlatego postarano się o stworzenie pewnego ersazu, który – jak to wiele podróbek – z czasem prześcignął oryginał i obrazki znane ze starożytnego Egiptu, plantacji bawełny, a nawet kolonizacji Afryki w pierwszej połowie XX wieku. Może z tym jednym plusem, że tu nikogo nie bito i śmiertelność pozostawała na dość niskim poziomie¹, chociaż przemoc psychiczna również specjalnie przyjemna dla jej ofiar nie jest.

Co ciekawe, o ile przez lata niewolnicze prace wykonywali ludzie bez żadnego wykształcenia, pozbawieni jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych oraz wywodzący się z najniższych warstw społeczeństwa, o tyle od XX wieku niewolnicy często są certyfikowani dyplomem lepszej lub gorszej uczelni. Niektórzy nawet zdobywają doświadczenie życiowe i zawodowe w zamorskich krajach, by podnieść atrakcyjność swej kandydatury na rynku niewolniczym. Niemniej jeżeli chodzi o możliwości zrozumienia tego, w jak wielkie jajo jest robiony każdego dnia, człowiek XXI wieku cofnął się gdzieś do poziomu chłopca pańszczyźnianego z wczesnego średniowiecza. Francuski górnik żyjący w XIX wieku wiedział, że każdego dnia jest okradany przez swojego pracodawcę. Tymczasem XXI-wieczny stażysta z uśmiechem na ustach wykonuje za darmo tę samą robotę, którą robią jego przełożeni – często

¹ Choć, być może, jest to kwestią czasu. Już teraz zdarzają się przypadki młodych, zdolnych i ambitnych, którzy schodzą na zawal w miejscu pracy po zaledwie trzydniowej zmianie.

posiadający o wiele niższe wykształcenie, wiedzę na dany temat i kwalifikacje, za to za okazałą sumę pieniędzy – z nadzieją na atrakcyjny wpis do CV, który już wkrótce zapewni mu wspaniałą karierę w wymarzonym miejscu pracy. Jeszcze tylko jeden staż.

A potem kolejny. Ten już na pewno będzie ostatni!

*

Tomasz Badyński przyszedł do pracy jak co poniedziałek. Zasiadł przed komputerem, zobaczył swoją skrzynkę mailową i już wiedział, że to będzie zjebany dzień. Skrzynka determinowała życie. Maile pisane przez ludzi, których nigdy w życiu nie widział na oczy, decydowały o losie Badyńskiego. On też takie pisał i wysyłał gdzieś tam w diabły internetu, do jakichś panien i facetów, których nie znał i miał nigdy nie poznać.

Na początku nienawidził tych, którzy pisali te maile, ale potem pomyślał, że równie dobrze może gardzić samym sobą. Gdzieś na całym świecie rozsiani byli ludzie tacy jak on, którzy stukali w klawiatury i rodzili tony korespondencji. W odpowiedzi na te oceany maili, Badyński wypływał z siebie odpowiedzi, które komuś tam spływały do skrzynki pocztowej. Prawdziwym jednak wydarzeniem było napisanie maila całkiem nowego, żadne „Re:”, ale rozpoczęcie jakiegoś wątku samemu. Potem jeszcze tylko pomyśleć, kogo by tam załączyć („a masz i masz, i nażryjcie się, a ty jeszcze do ukrytej wiadomości”).

Ponieważ takich ludzi siedziały niemal hektary, co lepsze maile szły do przynajmniej nastu skrzynek. Gdy czasem Badyński się rozpędził i rzucił w jakiejś tak zwanej „luźnej rozmowie biurowej”, że to przesada i że liczba wymienianych maili przekracza granicę zdrowego rozsądku, wówczas przełożeni mówili mu, że to tamci są głupi i że to przez nich Badyński ma więcej pracy.

Dopiero po paru miesiącach dotarło do niego, że to nie przez ludzi zza ekranów ma takie koszarne życie. Zrozumiał, że to przez tych, którzy siedzą z nim w jednym budynku. Zaczęło go tylko ciekawić, czy ludziom w innych ostojach szczęścia też opowiadają, że tam w Polsce siedzi taki kutas, który im dokłada roboty. Czasem frapowało go to mniej, czasem bardziej, chociaż spać mógł raczej bez większych problemów.

Powyższy opis może stworzyć mylne wrażenie, że Badyński był pracownikiem jednego z licznych centrów outsourcing’owych, które to wiatr zmian kapitalizmu przywiał do Polski. Jeżeli nie outsourcing, to już na pewno jakaś typowa korporacja z siedzibą w wielkim szklanym wieżowcu? Ależ nic bardziej mylnego! Badyński pracował w firmie o atmosferze rodzinnej. Nigdy nie chciał pracować dla żadnej z wielkich firm, nie chciał siedzieć w szklanym wieżowcu ani w boksie przypominającym klatkę w zoo. Było to wbrew

wszelkim zasadom Badyńskiego.

Takie rozważania i stawianie sprawy może stwarzać mylne wrażenie, że człowiek ma jakiś wybór. No cóż, zawsze niemal jest jakiś wybór, samobójstwo takowy bez wątpienia stanowi, ale jeżeli chodzi o podejście do pracy, to wykształcony człowiek z dużego polskiego miasta ma dwie możliwości:

- Po pierwsze: modlić się o jakąkolwiek pracę za jakiegokolwiek wynagrodzenie (lub też jego brak, o tym będzie nieco później). Schować jakiegokolwiek ambicje, wizje i marzenia, po prostu latać i żebrać, żeby tylko dali coś popracować i może ewentualnie potem za to parę gorszy pozwolili przytulić.
- Po drugie: wegetować w oczekiwaniu na jakąś ciekawą, rozwojową pracę. Ostatnią taką widziano w czasach późnego Kazimierza Wielkiego. Każdy, kto oferuje cokolwiek, co może być w jakikolwiek sposób interesujące, jest tego świadom i dlatego koncentruje się na umożliwieniu aplikującym odbycia wielu atrakcyjnych staży i praktyk, po których mogą oni powrócić do punktu wyjścia, czyli bezrobocia. Jeżeli nie ma się szczęścia pochodzić z bogatej rodziny (najlepiej partyjnej) i czerpać przyjemność z nicnierobienia, należy cofnąć się do punktu pierwszego.

XXI wiek cechuje ogólne przekonanie, że człowiek nie może być szczęśliwym, jeżeli nie odnosi sukcesów zawodowych i finansowych. Przy tym nie zdefiniowano żadnego z tych punktów, więc ludzie muszą ciągle dokonywać własnoręcznego określenia tych pojęć. Na za wiele od życia liczyć nie mogą, więc ciągle muszą obniżać swoje oczekiwania i marzenia, by chociaż w jakimś stopniu pokrywały się z tym, co oczy ich widzą, a portfele noszą.

Wracając jednak do casusu Badyńskiego, on nie musiał iść do szklanego wieżowca obcego pracodawcy. Nie, on pracował w firmie rodzinnej.

Początkowo wszystkim się to podobało: to nie korporacja, tu wszyscy są po imieniu. Ładne biurka, mały budynek, dobrze się musi pracować. Niemniej atmosfera rodzinna musiała mieć swoją cenę: wynagrodzenia były znacznie niższe niż w firmach zajmujących się dokładnie tym samym. Podkreślano jednak, że w zamian ma się rodzinną atmosferę².

Im dłużej Badyński tam pracował, tym bardziej poszerzała się jego definicja rodzinnej atmosfery: donoszenie, obgadywanie za plecami, następnie urządzenia szpiegujące w komputerach, chamskie żarty, opóźnienia w wypłacie wynagrodzenia, liczenie z zegarkiem czasu przyjscia do pracy, niepłatne

² Termin „rodzinna atmosfera” jest kluczowym dla tej opowieści, więc pozwalamy sobie go nadużywać.

nadgodziny, których nie dało się zamienić na urlop, regulacje dotyczące ubrania przebijające te panujące w wojsku... Po mniej więcej pół roku Badyński odkrył, że marzy o korporacji. Były to dość dziwne myśli jak na człowieka, który całe życie trzymał z anarchistami i który nienawidził uniformizacji życia w jakiegokolwiek postaci. Zaczął zadawać sobie pytanie: „Jak to się stało, że jestem w tym gnoju?”. Znalezienie odpowiedzi nie było wcale takie proste. Chociaż w pewnym sensie było wcale nieskomplikowane, niemniej stopni dojścia do niej było bardzo, bardzo wiele.

Kimże był Badyński zanim rozpoczął karierę w prestiżowej firmie, która umożliwiała rozwój i atrakcyjny system premiowania? Aby rozpocząć każdą związaną z pracą biurową w firmie rodzinnej, trzeba mieć do takowej dojścia. To nie te złote czasy, gdy człowiek szedł, oglądał parę ofert i brał te, które wydawały mu się mniej koszarne od pozostałych. Nie, w kraju pobłogosławionym wolnym rynkiem posadę sprzątaczkę trzeba sobie wydzierać. Już nikt nie zadaje głupawych pytań, dlaczego miałby coś robić lub czegoś nie. Teraz nastały czasy wielkich modlitw i wielkiej wiary, nadziei i miłości. Wiary, że uda się dorwać jakąś posadę, nadziei, że będzie bardziej przypominała plantację bawełny niż GUŁag i miłości do każdej złotówki, którą się uda wydrzeć.

Pracę w firmie AlfaAlfa Badyński dostał dzięki koligacjom rodzinnym. Była to firma jego wuja, który przez jakieś dwadzieścia lat z niegorszym powodzeniem realizował się w zastępowaniu mu ojca. Badyński zawdzięczał wujowi miłość do filmów, w dużej mierze zainteresowanie literaturą, no i pracę. Jednak jeżeli chodzi o to ostatnie, niestety dość szybko przestał myśleć o tym w kategoriach wdzięczności, a zaczął w zdecydowanie odmiennych.

Syndrom sztokholmski istnieje, jednak nie znaczy to, że wystąpi u każdego porwanego lub porwanej. Jakiś czas Badyńskiemu zajęło zrozumienie oczywistego, prawdy, która była z kategorii tych najbardziej prozaicznych: jego krewniak zachorował na pieniądze, a raczej na chciwość. To taka jednostka chorobowa, której z uporem medycyna nie rejestruje, a różne nauki wynajdują na nią przeróżne nazwy. Najczęściej mówią o przedsiębiorczości, operatywności i profesjonalizmie, ale można znaleźć wiele innych słów, które usprawiedliwiają tę przypadłość. Wuj pieniędzy miał tyle, że do końca życia by mu ich starczyło, ale skąpstwo i zachłanność sprawiały, że chciał ich mieć jeszcze więcej. Zdobywając je, czynił z życia otaczających go gnój.

Tomasz Badyński zrozumiał to dopiero, gdy miał 28 lat. Gdy potem patrzył wstecz, odkrywał, że w gruncie rzeczy zawsze tak było, ale dopóki nie było mu dane pracować z krewnym, optykę miał nieco zaciemnioną. W końcu człowiek spotyka się z wieloma osobami, zarabia gdzie indziej, żre gdzie indziej. Jak go ktoś wścieka, to sobie idzie, jak nie, to zostaje. Jeżeli ktoś

wypija ci bez pytania ostatnią szklankę coli, to jeszcze nie pali ci się w głowie lampka, że tak samo w stanie jest odbierać rzeczy znacznie cenniejsze, choć nawet niekoniecznie posiadające wielką wartość materialną.

Pewną ciekawostką jest to, że każdy przełożony/-a jest czyimś synem czy córką. Bywa też – wcale nierzadko – mężem, żoną, ojcem, matką, ciotką, wujem, kolegą i co tam jeszcze wyczarowano w temacie stosunków międzyludzkich. Jednak większości prawdziwych biznesmenów, czyli takich, którzy odnoszą sukcesy, udaje się oddzielić życie zawodowe od prywatnego. Zazwyczaj wygląda to tak, że są super kumplami i ludźmi do rany przyłóż, niemniej te oceany dobroci rekompensują sobie w życiu zawodowym. W końcu od dawna wiadomo, że w świecie musi być równowaga, yin i yang, taoizm jak w pysk strzelił, jeżeli ktoś posiedział i pożartował z kumplami przy niedzielnym meczu, to jasne jest, że w poniedziałkowy poranek musi wyrównać to dobro, odnosząc się do ludzi spoza kręgu swoich znajomych w sposób nieco mniej przyjazny.

Zdobycie tej wiedzy nie było przyjemne, a co gorsza początkowo połączone z etapem wyparcia, zaprzeczania samemu sobie i zdrowemu rozsądkowi. Ludzkie zdolności do wmawiania sobie, że życie jest całkiem znośne w sytuacji, gdy takowe nie jest, są niesamowite. Ileż osób ma odwagę stanąć o poranku przed lustrem i powiedzieć sobie, że właśnie marnuje jeden z pozostałych im dni? Że idzie cierpieć, męczyć się, walczyć, gardzić, nienawidzić? Że przecież są inne rzeczy na tym łożu padole niż walka o przetrwanie? O ile można zrozumieć tych bez wyboru, o tyle jest to proces istotnie fascynujący, jeżeli chodzi o ludzi żyjących w XXI wieku. Gdyby pewnego ranka wszyscy wstali i dokonali procesu samooceny swych dokonań i perspektyw, światem wstrząsnęłaby taka fala samobójstw, że bitwa na Łuku Kurskim okazałaby się niepozorną potyczką z małą liczbą poległych.

Ach, cóż to byłby za dzień, kierownik chińskiej fabryki trampek myśli sobie: „tyle osób skrzywdziłem, oszukałem, nie zasługuję by żyć”. Doradcy finansowi banków płaczą nad losem wpuszczonych w kredyt i podcinają sobie żyły nad umywalką. Telemarketerzy rzucają się z okien apartamentowców kupionych z wypłaty za wmanewrowanie emerytek w prezentacje kołder. Taksiarze kładą się na torach, by odpokutować za oszukanych pasażerów. Jednak pociąg nie pojedzie, bo maszynista wisi smętnie na pasku spodni przyczepionym do klamki, gdyż podliczył, ilu to osobom zmarnował przez lata czas poprzez swoje pijaństwa i spóźnienia.

Niemniej przypadki zakończenia własnej egzystencji w oparciu o przemyślenia o jakości tejże są bardzo rzadkie, bo każdy znajdzie zawsze milion powodów, którymi usprawiedliwia się sam przed sobą. Ostatnie wywiady z Pol Potem to potwierdzają, a skoro nawet on dał sobie radę z adaptacją rzeczywistości do własnych potrzeb i oceną siebie jako całkiem

fajnego faceta, to czemu miałby nie podołać temu szeregowy pracownik korporacji? Czy też firmy z rodzinną atmosferą...

Każdego roku miliony polskich studentów żyją w dramacie pod tytułem: koniec studiów i co potem? Staż? Praktyki? Kolejny kierunek? Doktorat? Rynek pracy? Losy gorsze od śmierci? Badyńskiego dylemat ten nie dotyczył: od połowy liceum wiedział, gdzie będzie pracował. W firmie swego wuja, gdzie przez lata dorabiał jako kierowca i człowiek od wszystkiego. Przewieźć paczki? Tomasz. Wywalić do kibla przeterminowane leki? Tomasz. Przesyłki z urzędu celnego? Tomasz. Przewieźć pracownicze podstawki do kwiatów? Tomasz. Naprawić prywatny samochód w warsztacie? Też on. Czasem nawet załatwiał pracę swojemu koledze, Lucjanowi. Stawkę godzinową mieli o wiele wyższą niż krajowa, a co znacznie ważniejsze: nikt nie kwestionował ich czasu pracy. Zdarzało się więc, że w ramach dostarczania pilnej przesyłki szli sobie na obiad – nawet siedemnastolatki szybko zorientowali się, jak szerokie pole znaczeniowe może mieć słowo pilny w tak zwanym świecie biznesu. Jeżeli komuś naprawdę zależy, to będzie czekał choćby i do 22, nawet jeżeli jest największym prezesem w regionie. Jeżeli mu nie zależy, to ty będziesz czekał do 22, żeby ci łaskawie podpisał, że odebrał przesyłkę. Bilans zysków i strat był jasny.

Jednak w pewnym momencie róża wiatrów obróciła się nieco inaczej. Krewny porzucił międzynarodową firmę na rzecz własnego interesu.

– Teraz dopiero będziemy wszyscy dobrze zarabiać! – powiedział Badyńskiemu i tym, którzy poszli za nim z firmy macierzystej. – Przestaniemy dopłacać do nierentownych filii zagranicznych, od dzisiaj cały zysk będzie szedł dla nas. Będziemy mieli znaczne zwiększenie wynagrodzeń. W tym biznesie są naprawdę duże pieniądze, opłaci się wam praca tutaj!

Wszyscy się ucieszyli. Więcej pieniędzy, mniej pracy – z taką myślą otwierano nowe biuro. W starym biurze kręcili się akurat prawnicy, którzy bardzo chcieli zapewnić dłuższe lokum i pożywienie zaangażowanym w upadek międzynarodowej firmy. Mimo swoich starań niczego nie znaleźli i bardziej się ośmieszyli, niż postraszyli. Niemal cała stara firma stała się nową, pod ładniejszą nazwą. Badyński zaczynał drugi rok studiów i wiedział, że przyszłość ma zapewnioną, prostą, jasną. Trochę martwił go fakt, że na expose wuja trafił przypadkiem, przyszedł wcześniej, niż miał, i usłyszał opowieść o wielkich zarobkach. Dużo później zrozumiał, że te opowieści nie były skierowane do niego, ale początkowo się ucieszył. Nigdy przesadnie nie narzekał na pieniądze, a teraz miało być jeszcze lepiej za to samo. Ba, była nawet taka chwila, gdy myślał, że może by tak rzucić studia i oddać się w pełni karierze. Chętnie wykonywał kolejne zlecenia, bo nawet jak coś mu nie grało, to wiedział, że to taki początkowy okres, potem wszystko się rozkręci

i poświęcenia zostaną wynagrodzone. Od dawna wiadomo, że nie ma lepszego momentu, żeby dołączyć do firmy skazanej na sukces, niż wtedy, gdy dopiero ona powstaje. Tak więc ilekroć trzeba było jechać w sobotę rano, Tomasz jechał. Ilekroć bywały jakieś przysługi poza pracą, nie było problemu.

Miał jednak miejsce taki dzień, w którym Lucjan powiedział do Tomasza:

– Ej, nas tu robią w chuja!

Badyński automatycznie zaprotestował. Może ktoś się w czymś pomylił, ale to przecież moja rodzina, super firma, w chuja nas tu na pewno nikt nie robi celowo. Na pewno nas tu nikt nie oszukuje!

Na to Lucjan sygnął liczbami i zdaniami z masą konkretów i to były straszne konkrety, bo mające oparcie w królowej nauk. Lucjan argumentował, że po pierwsze, to jeździmy swoimi samochodami, spalamy jakieś x litrów i to potem rozliczamy jako kilometrówkę, robimy za tragarzy, a od paru tygodni wychodzi, że po dziesięciu godzinach pracy straciliśmy na paliwie, nie mówiąc o tym, że nic nie dostaliśmy za wykonaną pracę. Stawki, które pojawiły się z nastaniem czasów firmy skazanej na sukces, sprawiały, że bardziej się opłacało niczego nie robić, bo przynajmniej się nie traciło jakoś przesadnie czasu i sił, a niekiedy nawet pieniędzy.

Tomasz powiedział Lucjanowi, że to na pewno jakaś pomyłka, chociaż niestety, jego wyliczenia się zgadzają. Ma rację, wychodzi na to, że robią nas tu w totalnego chuja, ale to na pewno przypadkiem i że uda się to wyprostować, że on to załatwi.

Sam poszedł do przełożonego, czyli swojego chrzestnego, który przez lata realizował się w obowiązkach jego nieobecnego ojca. Wuja, z którym się znał od dnia narodzin, z którym mieszkał większość życia i z którym zawsze miał tyle tematów do rozmowy. Okazało się, że pieniądze nie są jednym z nich. Tomasz dowiedział się, że rynek pracy jest brutalny. Że stawki, które obowiązywały wcześniej, już dawno przeminęły. Że o pieniądzach należy rozmawiać przed wykonaniem pracy, a nie liczyć sobie, że będzie tak, jak było wcześniej. To jest inna firma i inne realia.

Wszystkie te słowa potwierdzała pani księgowa, rytmicznie potakując głową. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Nie dość, że zrobili, to jeszcze mają czelność dopominać się o tak zwane swoje. Zresztą, co oni tam zrobili, to każdy mógł zrobić, właściwie najbardziej szokująca w tym wszystkim jest ich beczelność i zajmowanie czasu kierownictwa.

To była wina, a nawet dwie winy: Tomasza i Lucjana. Nie zrozumieli realiów rynku i płacy. Nie zrozumieli, że sposób, w jaki przeprowadzali prywatne mieszkanie pana prezesa do nowego, podlegał całkowicie innym normom – takim, że to oni musieli ponieść koszty tego wszystkiego i spędzić na

tym wolną sobotę. Po tym wyjaśnieniu Lucjan zrozumiał wszystko i już nigdy nie przepracował nawet sekundy dla firmy AlfAlfa. Badyński nie rozumiał niczego i został tak zwanym pracownikiem dochodzącym. Nawet z kolejnymi wypłatami, dalej niczego nie rozumiał, niemniej wierzył w ludzką uczciwość i ciężką pracę. Poza tym pracował z rodziną, w rodzinnej atmosferze. To było o wiele ważniejsze niż pieniądze. Te miały nadejść w momencie przejścia na pełną formę zatrudnienia.

Kilka miesięcy później Badyński miał nieco inne przemyślenia. Odkąd firma stała się rodzinną, zarabiał o wiele mniej. Co gorsza, imprezowy charakter pracy przeminął, bo Lucjan odmówił robienia czegokolwiek dla tych cwaniaków, a i w biurze wszyscy pożytkowali każdą sekundę na pracy. Tomasz nie znalazł innego partnera (trochę się bał prosić o pomoc jakiegoś znajomego, bo o ile z Lucjanem znali się od 16. roku życia i dużo sobie byli w stanie wybaczyć, o tyle wiele innych osób mogłoby się na niego obrazić za tak cudowną ofertę popracowania sobie) i teraz samemu odwał robotę za dwóch, co zajmowało mu o wiele więcej czasu i przynosiło o wiele mniej dochodu. Wprawdzie na forum rodzinnym dowiadywał się o tym, jakże cenny jest jego wkład w funkcjonowanie firmy, ale prawda ekonomiczna była okrutna: zarabiał żałośnie, a bywało, że spędzał wiele godzin na wykonywaniu różnych prac dla firmy skazanej na sukces.

Czekałeś na przesyłkę w urzędzie celnym? To nie jest czas pracy, jaką ty pracę wykonywałeś?

Zawiozłeś auto kierownika do warsztatu i cztery godziny czekałeś na swoją kolej? To nie jest praca, to jest przysługa rodzinna. Oni naprawiali tarcze hamulcowe, a ty czekałeś? To nie jest praca, ty niczego nie robiłeś.

W efekcie, jak wcześniej Badyński jeździł chętnie do zleceń, tak teraz ilekroć widział na wyświetlaczu numer swego chrzestnego, tym bardziej wiedział, że zmarnuje przynajmniej pół dnia, a potem nic z tego nie będzie miał. Wyjazd na wakacje w środku nocy z lotniska oddalonego o ponad sto kilometrów? Przysługa rodzinna, przecież nie wzięłybyś za to pieniędzy! Odwózka na imprezę, a potem odbiór z niej – przecież i tak nie miałeś nic do roboty, pojeździsz sobie o 3 w nocy, co z tego, że jest sobota? Cóż za małostkowość prosić o zwrot za paliwo!

Poboczne przysługi zaczęły zapełniać terminarz w zastraszającym tempie. Rekordem było wezwanie przez pół miasta do ważnej sprawy. Ważną sprawą okazało się przyniesienie coli z pobliskiego sklepu (za colę i paliwo pieniędzy nie zwrócono). Akurat naprawiano drzwi i nie można było wyjść z mieszkania. Jednak czas mijał, aż w końcu Badyński zakończył studia. To znaczyło jedno: przechodzi na etat do firmy AlfAlfa, gdzie wszyscy są szczęśliwi, bo tak dobrze zarabiają, a praca jest taka lekka i przyjemna. Koniec

z wyliczaniem godzin co do minuty, koniec z niepewnością finansową, nadszedł czas złotych żniw! W tym wypadku miało się obejść bez ofiar w ludziach i incydentów rasowych.

Nadszedł też czas, żeby się uśmiechnąć nad naiwnym 25-latkim. Wydaje mu się, że dostanie etat. Wydaje mu się, że skoro ma pracować z członkiem rodziny, to będzie dobrze. Wybaczmy dziecku kapitalizmu wychowanemu na czasopiśmie wolnego rynku tę naiwność. Co będzie dalej, wie każdy zorientowany w realiach Polski po zmianach roku 1989. Pewną atrakcyjność i walor humorystyczny poniższej opowieści gwarantuje fakt, że nasz bohater nie wie i dopiero się dowie. Chociaż to trochę tak jak śmianie się z Inguszków witających z uśmiechem rewolucję proletariatu.

Nastał problematyczny czas po studiach, już nie bardzo można było odesłać Badyńskiego na uniwersytet. Ten zresztą został zakończony z fanfarami, sam wuj z radością przekazał absolwentowi kilka tysięcy złotych, by ten zrozumiał, że edukacja się opłacała. No cóż, o ile znaczenie edukacji nadal było Badyńskiemu nielekkie zrozumieć, o tyle poprawę stanu konta pojął od razu, a po takim geście uczucia naszego bohatera względem wuja osiągnęły wartości najwyższe. Niemniej, jest prawda życia, jest prawda ekranu, jest prawda rodzinna, jest prawda firmy rodzinnej. Okazało się, że zasadniczo to Badyńskiego wszyscy chcieliby zatrudnić, nawet bardzo, ale koszty z tym związane są zbyt wysokie. Winne temu jest państwo, więc na razie nie dostanie etatu, ale jeżeli będzie się starał, to kto wie, może pewnego dnia spotka go i takie szczęście. Na razie musi pilnie uczyć się fachu i ma być wdzięcznym, bo innym albo nie pozwala się uczyć fachu, albo płacą za to bardzo dużo pieniędzy i nie mają takiego szczęścia jak on. Ten sposób definiowania szczęścia okazał się kluczowy dla wyjaśniania sobie rzeczywistości w sposób, który pozwalał nie oszaleć.

Badyński był skołowany. Nie podobało mu się to. Po pierwsze, zarabiał niewiele ponad minimalną krajową. Po drugie, zatrudniony na jakichś umowach o dzieło. Po trzecie, dalej robił niemal to samo. Z racji ukończenia studiów miał więcej wolnego czasu, ale mimo wszystko liczył na pracę z prawdziwego zdarzenia. Tej było de facto około trzech dni w miesiącu. Były za to inne misje, które obejmowały wożenie ludzi bez prawa jazdy z punktu A do B. Rekordem było ciągnięcie się od 4 rano do 10 do Wrocławia, żeby odebrać paczkę, a potem wracać do Krakowa. To wszystko było płacone umową o dzieło z podtekstem: „udało ci się, nie jesteś tyle wart, a zarobiłeś”.

Idiotyzm zleceń był jednym, idiotyzm pracowników drugim. Z większością Badyński był w stanie znaleźć tak zwane wspólne tory (lata rządów PiS-u były wdzięcznym czasem, gdzie wszyscy dość zgodnie uważali i oceniali, że to wariaci). Jednak w innych tematach musiał uważać, żeby nie powiedzieć czegoś zbyt zawilego i broń Boże niczego związanego z muzyką,

filmem lub literaturą spoza dziesiątki bestsellerów sieci Empik. Wprawdzie wszyscy byli bardzo czytani, znali się na historii kina i muzyki, niemniej nie należało przesadnie eksponować prywatnych zainteresowań na niwie pracowniczej. Również należało sobie wpoić przeświadczenie o tym, że rzeczywistość jest czarno-biała, jedni zawsze mają rację, inni nie mają jej nigdy. Racja nader często okazywała się wartością związaną ze stanem posiadania. Wolą też przemieszczać się raczej droższymi samochodami niż autobusem.

W tym wszystkim Badyński nie mógł zrozumieć jednego: czy oni go tam chcą, czy też się naprzykrza? Ilekroć był w firmie, miał wrażenie, że jest intruzem, ale nie brakowało też okazji, gdy dowiadywał się, jak bardzo ważny jest jego wkład w sukces firmy. Oczywiście bez przesady, nie powiedziano nigdy niczego konkretnie, niemniej gdy coś tam jęknął, że to chyba nie ma sensu, dowiadywał się, że przecież to wszystko jest bardzo ważne i edukacyjne.

Jednak pewnego dnia okazało się, że rozliczenia kilometrówki są tak odmienne od rzeczywistości, że nie dało się już tego zaakceptować, nawet najbardziej zindoktrynowany umysł gułagu pracowniczego się buntował. Kilometr używania samochodu rozliczono Badyńskiemu po stawce 23 groszy. Wówczas ustawowa wynosiła 88 groszy, więc ponad trzy razy tyle. Po długich rozmowach, zaangażowaniu połowy rodziny, wielkiej obrazie i kłótniach udało się w końcu osiągnąć coś bliżej realnej stawki, ale sprawa stała się jasna: po pierwsze, poszło się na rękę takiemu niewdzięcznemu gnojowi. Po drugie, to się więcej nie powtórzy. Po trzecie, wielkiej kariery tu zrobić się nie da, a o pieniądzach lepiej w ogóle nie mówić, bo to bardzo nie w porządku.

– Tylko na ile starczy człowiekowi oszczędności, żeby dopłacać do firmy skazanej na sukces? – gdzieś powoli zaczął się zastanawiać Badyński.

Do tego tak naprawdę panował wielki chaos, który utrudniał życie i jakoś zawsze sprawiał, że wypłata dla Badyńskiego była opóźniona. Z końcem roku 2007 wprowadził wszystkich w zdziwienie, mówiąc, że nie bardzo dalej to widzi. Namawiano go, żeby się zastanowił, więc postanowił zrobić to w Indiach, jednym z ostatnich krajów świata, które można uznać za inspirujące do siedzenia w biurze i babrania się w papierach, dlatego też po powrocie nie miał najmniejszej ochoty na ponowne pojawienie się w pracy, gdzie traktowano go jak idiotę i dziecko, gdzie nigdy nie mógł doprosić się żadnego konkretnego, gdzie każdy patrzył na niego przez pryzmat koligacji rodzinnych, a nad wszystkim panował wódz, który miał pod ręką niemało dodatkowych rzeczy, które zawsze można wykonać w imię przysługi rodzinnej.

Zanim przyjrzymy się dokładniej dalszym dziejom naszego bohatera, zastanówmy się: czym też zajmuje się najlepsza firma świata? Są w tym

pieniądze, są w tym delegacje, jest w tym trochę fizycznej roboty, jest w tym dużo papieru... Co to może być?

Zdradzamy sekret: są to badania kliniczne. W wielkim skrócie, proces, który doprowadza lek od fazy eksperymentalnej do półki apteki. Bez skrótów, temat prezentuje się mniej więcej tak, jak opisano poniżej.

Historia badań klinicznych sięga XVIII wieku, gdy to pewien lekarz okrętowy dokonał czegoś, co później nazwano ślepą próbą. Połowie marynarzy dawał cytrynę, a drugiej nie. Po jakimś czasie jedni zachorowali na szkorbut, drudzy nie, a pan lekarz odkrył, że choroba powodowana jest brakiem witaminy C. Lekarz wyciągnął wnioski i wiedział już, co należy robić, żeby żeglarze byli nieco mniej szczerbaci.

Można powiedzieć, że temat chwycił i w ten sposób testowano wiele mniej lub bardziej pomysłowych potencjalnych lekarstw. Dość szczególnym okresem była druga wojna światowa, w jej czasie naziści poświęcili nieco czasu na testowanie różnych leków w obozach. Biorąc pod uwagę jak daleko się posunęli, wielkich osiągnięć nie mieli. Gdyby obecnie pozwolić badaczom na te metody, mielibyśmy niemało ciekawych rezultatów i pewnie też niemało zgonów³.

Czasy nieco się zmieniły, chociaż w pewnym sensie schemat pozostał ten sam. Zaczyna się od tego, że najpierw potencjalny lek trzeba wyprodukować. Cytryna już nie przejdzie, mówimy o nieco bardziej skomplikowanych chemicznie lekarstwach. Współcześnie mądry człowiek z wykształceniem biol.-chem. myśli, wpisuje w komputerze, co też można zrobić i otrzymuje substancję. Ta jest następnie wprowadzana do roztworu mającego imitować ludzki organizm i zazwyczaj przepada jako mogąca zaszkodzić. Ci, którzy to widzieli, mówili, że kosmos: setki próbek mieszają się i rzucają rezultatami w komputery. Zdecydowana większość na próżno, niemniej jest to wliczone w ryzyko poszukiwań i w skali całego przedsięwzięcia wiele nie kosztuje. Czasem jednak zapala się zielona lampka, okazuje się, że jest szansa, że coś z tego będzie. Imitacja organizmu się zgodziła i nie zabiła pacjenta, więc rozważa się sprawdzenie tego na prawdziwym organizmie. Może się złożyć, że to ma szanse powodzenia i że warto się w to zabawić. Wtedy to przeprowadza się tak zwaną fazę zerową, gdzie daje się zwierzątkom potencjalny lek. Jeżeli nie padają w konwulsjach, a nasze odczyty nie sugerują, że właśnie ludzie zaczęli latać, przechodzimy do fazy pierwszej.

Jest ona prowadzona na zdrowych ochotnikach – to są właśnie te

³ Na marginesie dodać można, iż kilka obecnie prężnie działających koncernów farmaceutycznych w czasach III Rzeszy robiło w Niemczech wspianą karierę, testując leki na pensjonariuszach obozów pracy. Chlubnym przykładem jest Bayer, którego aspirynę chętnie łykamy podczas przeziębień.

ogłoszenia w gazetach dla studentów. Firma (jeżeli możliwe, unikająca podawania nazwy) testuje lek na (tu zostaje opisany najbardziej tajemniczo jak się da). Chcemy młodych, zdecydowanych, dynamicznych i lubiących wyzwania. Dodać, że gwarantuje się posiłki i cenny wpis do CV. I pieniądze, bo inaczej jednak trudno będzie znaleźć zainteresowanych. Tu firmy się nie hamują. Za podpisanie glejtu w stylu: „ja, niżej podpisany, urodzony dnia, świadomie zrzekam się...” dostaje się dobre kilkaset złotych. To w Polsce, na zachodzie jest nieco inaczej. Biorący udział w eksperymencie dobrowolnie (a nie dlatego, że nie ma na cebulę i chleb) zrzeka się jakichkolwiek roszczeń w razie powikłań i właściwie to on zawsze marzył o tym, a jego bytność na tym świecie była jedynie pretekstem do uczestnictwa w takim wydarzeniu.

Zazwyczaj wymaga to około tygodnia, należy podpisać, że zgadzamy się to zjeść, a jeżeli szlag nas trafi, to nie będziemy mieli pretensji, a przynajmniej nie zechcemy żadnych pieniędzy. Następnie udajemy się do specjalnego ośrodka, siadamy sobie w ładnym pokoiku, a stado lekarzy czeka, czy aby nie trzeba nam będzie pomóc lub też zadzwonić do zakładu pogrzebowego i rodziny.

Zarobić można od 800 do 2000 PLN, jednak nikt, kto siedzi w branży, nie poleca tego sposobu dorabiania. Ryzyko jest duże. Ba, aż tak duże, że pewnego dnia kochany krewniak odradził Badyńskiemu wzięcie udziału w takiej próbie. Najpierw są szczury, potem studenci, którzy mają tę przewagę nad gryzoniami, że potrafią pisać i że nikt nigdy nie upomni się o ich prawa. Pozostaje mieć nadzieję, że jeszcze uda się obalić ograniczające zapisy i początkowo desperaci z Polski B zastąpią szczury, a potem dołączą do nich koledzy z dużych miast.

Zakładając, że faza pierwsza zakończy się sukcesem, czyli nikt nie padnie, należy przejść do fazy drugiej, gdzie potencjalny lek podaje się ludziom, którzy właśnie mieli pecha zachorować na to, co tenże ma leczyć. W końcu celem leków nie jest niezabijanie biednych studentów, a pomaganie chorym. Prawda? Nie? Nie, ależ wcale nie nabijanie kabzy koncernom farmaceutycznym, ale właśnie poprawa standardu życia ludzkości!

Każdy przecież chce, żeby jego kochana babcia żyła nieco dłużej, a dziadziuś więcej się uśmiechał. W tej fazie bierze udział mało osób, celem jest ustalenie, czy jest szansa, że to naprawdę działa na przewidzianą chorobę. Wiele rzeczy się wykracza na którymś z tych etapów, a to szkodzi zdrowym, a to za bardzo nie pomaga chorym.

No i jeżeli cudownie okaże się, że ten lek być może pomaga, przechodzi się wówczas do fazy trzeciej, czyli całego wielkiego cyrku, który daje pracę firmom takim jak wyżej wymieniana i naszemu przyjacielowi. Za pomocą wiarygodnej próby statystycznej należy wykazać, że badany preparat jest lepszy niż dotychczas dostępne na rynku. Sprawy nie wyglądają jednak różowo, bo

tylko około 20% leków przechodzi z powodzeniem tę fazę, a wszystkie te zabawy kosztują w dolarach i euro. Niemniej jeżeli nam się to uda, to jesteśmy w domu, rejestrujemy lek i patrzymy, jak nasze konto puchnie od pieniędzy przez następne lata. My w tym czasie pracujemy już nad kolejnymi produktami.

Następnie można przeprowadzić fazę czwartą, która ma głównie znaczenie marketingowe, czyli musi wykazać, że nasz lek jest lepszy niż produkt konkurencji. Faza czwarta nie jest obowiązkowa, wcześniejsze owszem.

Po skończeniu trzeciej fazy i rejestracji specyfiku otwiera się szampana i idzie na dziwki. Od momentu otrzymania potencjalnego leku do końca mijają przynajmniej dwa lata, zazwyczaj znacznie więcej. Jeżeli temat wygląda na radosny, to możemy zagwarantować, że taki nie jest. Powtórzmy: zdecydowana większość leków zostaje uwalona na etapie badań klinicznych jednej z faz. Istnieje też ryzyko, że chociaż mamy coś fajnego, to konkurencja właśnie stworzyła coś jeszcze lepszego i nasze to już jest musztarda po obiedzie. Jednak jakoś tak wychodzi, że wielkie korporacje farmaceutyczne (akurat w tym biznesie trudno o małe firmy, które by dla siebie coś ugryzły z całego tortu) mają niezłe zyski mimo wielkiej liczby inwestycji zakończonych fiaskiem.

Różne regulacje (głównie amerykańskiego FDA, bo inne kraje są niczym ślepcy w ciemnościach) powodują, że procedur, które należy spełnić, nie brakuje. Polska ledwo zaczęła temat, właściwie dopiero koło roku 2003 popracowano coś nad tym, ale trudno odnieść wrażenie, że ktoś ma o tym większe pojęcie, z kolejnymi ministrami zdrowia włącznie, by nie powiedzieć, że szczególnie ministerstwo zdrowia nie wie, co się dzieje. I nie jest w jego interesie dowiadywanie się tego. Gdyby zaczęto pracować nad patologiami badań klinicznych, zapewne skończyłoby się zamordowaniem całego rynku, paroma wyrokami sądowymi i znacznym zwiększeniem bezrobocia.

Są pewne plusy dla firm, które zdecydują się badać leki w Polsce. Po pierwsze i co najważniejsze można sobie pozwolić na nieco więcej nonszalancji niż w Niemczech. Po drugie, kwoty oferowane lekarzom potrafią obudzić w nich prawdziwą pasję do badania leków. Po trzecie, ludziom nierzadko lekarz myli się z Bogiem i za chwilę uwagi pana doktora gotowi są podpisać każdy cyrograf, najczęściej nie rozumiejąc go ani trochę, ale skoro pan tak ładnie pachnie i jest taki wykształcony...

Fachowo firmy te zwą się CRA – Contract Research Organization. Tu bywa kilka dróg tzw. rozwoju: albo wielka firma z zachodu robi to wszystko, albo i nie. Gdy wielkie korpo nie chce otwierać następnego biura w kolejnym kraju na zadupiu świata, który to kraj jakoś wpadł w europejską orbitę, wynajmuje taką firmę. To ona oferuje pracowników, którzy zadbają o odpowiedni przebieg badania. Czasem też wielkie korpo ma już biuro, ale dowiaduje się, że można zrobić to wszystko o wiele, wiele taniej, podnajmując

firmę lokalną. Dlaczego mieliby to robić? Bo populacja pod 40 milionów ludzi jest świetna – pacjentów cierpiących na wybrane schorzenie zawsze kilku będzie. Bo w krajach, gdzie wielu osobom lekarz myli się z Panem Bogiem, jest to szczególnie łatwe. Bo gdzie służba zdrowia interesuje się człowiekiem mniej niż pogrzebowa, tym łatwiej zbierać wyniki. Bo więcej tam warta jest skórka niż człowiek. Bo w miejscu, gdzie lekarz zarabia oficjalnie mniej niż tysiąc euro, tak łatwo zyskać jego przychylność, gdy da mu się jakieś dwa. Miesięcznie. Bo cała rozbuchana biurokracja i tak tego nigdy nie ogarnie, połowa pacjentów nawet pisać nie umie, a druga i tak się boi. Bo to jest kraj Unii Europejskiej, który od wielu lat dostarcza jej robol, ale też zawsze może grzecznie poprosić, żeby to na jej obywatelach, dziadkach i babciach, przetestowano jakieś eksperymentalne leki. Może i wygraliśmy drugą wojnę światową, może to i nasza była moralna racja w Jałcie, ale albo podpisujesz i pan doktor cię zobaczy, albo nie. Wybór należy do Ciebie. Niech żyje demokracja. W końcu o to była ta cała walka.

Aby wziąć udział w badaniu klinicznym, pacjent musi podpisać świadomą zgodę. To jest tak zwany absolutny *must*. W niej zawarte mogą być różne klauzule. Zwyczajowe ograniczają się do tego, że pacjent pozwala się zabić przez pana doktora/doktorkę w imię testowania nowego leku. To jest właśnie najpiękniejsze imię prywatyzacji służby zdrowia. Imię piękne niczym Oskar lub Róża. Oczywiście, nie żyjemy w ustroju totalitarnym. Pacjent zawsze może powiedzieć nie. Jego wartość rynkowa jednak wówczas znacznie spadnie. Mniej więcej do poziomu padliny. Ale nie na darmo górnicy z Wujka dali się zabić, nie na darmo Janek Wiśniewski padł. Wygraliśmy wolność. Jednak to, że my możemy, to jest jedno, co jest drugie, ale równie ważne: tak samo mogą sobie wybrać nasze babcie i nasi dziadkowie, nasze matki i nasi ojcowie. Jeszcze nigdy i nigdzie człowiek nie widział takiego miejsca, gdzie można żyć tak wolno.

Życie przybiera różne koleje. Ogół doświadczeń Badyńskiego związany z życiem i pracą w Polsce sprawił, iż wiedział, że w trosce o własne zdrowie psychofizyczne wskazane będzie prowadzenie egzystencji jak najdalej od ziem piastowskich, a zwłaszcza od ludzi zamieszkujących wymienione tereny. Patrząc na rynek pracy w Polsce w XXI wieku, trudno aż wybrać, co najbardziej może zachęcić młodego człowieka do wiązania swej kariery zawodowej z tym krajem. Czy będą to szalone zarobki? Atmosfera w pracy? Atrakcyjny pakiet socjalny? Perspektywy rozwoju zawodowego i osobistego? Relacja zarobków do cen (zwłaszcza nieruchomości)? Mnogość ofert zatrudnienia? Przejrzyste warunki i zakres obowiązków? Rozliczanie czasu pracy?

O dobrej sytuacji najlepiej świadczy fakt, że gdy tylko okazało się, że

można legalnie pracować w Irlandii czy Wielkiej Brytanii, nagle z Polski zniknęło około dwóch milionów osób, co przynajmniej na chwilę nieco poprawiło sytuację tych, którzy zostali, bo zaczęła zachodzić obawa, iż ostatni zgasi światło i wówczas dopiero okaże się, że ludziom naprawdę trzeba zacząć płacić jakieś prawdziwe pieniądze, a nie tylko oferować możliwości zdobycia doświadczenia i atrakcyjnego wpisu do CV.

Badyński wpisał się w mainstreamowy trend emigracyjny i nagle odkrył, że pracując na nocnej zmianie przy rozładunku ciężarówek, zarabia jakieś cztery razy lepiej niż w Polsce przy tak zwanych pracach umysłowych, a jako dodatkowy prezent od losu ma pod ręką nieco więcej wydarzeń kulturalnych, zaś w księgarniach może sobie kupować J.G. Ballarda w oryginale. Gdzieś na drugim planie pojawił się drobniaczek, iż niemało rzeczy w sklepach okazało się być tańszych niż w Polsce.

Sytuacja, w której ludzie mogli szczęśliwie żyć, okazała się nie do zniesienia dla wielu, szybko dokonano jej demontażu, co jak zwykle w historii świata, nie licząc paru rewolucji, miało katastrofalne skutki dla biedniejszych i zbawienne dla bogatszych. Rok 2010 Badyński powitał z głową pełną obrazów Azji Południowo-Wschodniej i Bliskiego Wschodu, niemniej z sytuacją osobistą, która dość zdecydowanie nakłaniała go do życia i pracy w Rzeczypospolitej Polskiej.

W tym kraju przeszukiwanie internetu i gazet celem znalezienia pracy jest idealnym środkiem na nieznalezienie żadnej pracy. Jeżeli już jakaś się trafi, to będzie podła, nierzadko upokarzająca, a na końcu nam za nią i tak nie zapłacą. Są jednak inne możliwości znalezienia zatrudnienia.

Po pierwsze, należy dokonać przeglądu znajomych (i to raczej takich, co mają więcej niż mniej lat) pod kątem ich zatrudnienia w administracji państwowej. Następnie należy się z nimi skontaktować w wersji ograniczonej – przez telefon, zadając pytanie o pracę, to droga zazwyczaj nieprowadząca do niczego – lub rozbudowanej, czyli zaprosić, porozmawiać, poopowiadać co u nas i gdzieś mimochodem zapytać, czy absolutnym przypadkiem nie prowadzą u nich rekrutacji lub też czy gdyby takową ogłoszono, to czy można prosić o informację. Tu już wiele zależy od czynnika osobistego, czasem można odnieść pełen sukces, czasem połowiczny („to ja się kiedyś odezwę”), a czasem można wykreślić jeden numer z listy kontaktów w telefonie.

Sposób numer dwa zakłada zaprzyjaźnienie się z jakąś korporacją i – dla tak zwanych humanistów – przypomnienie sobie zagadnień z matematyki, a dla tak zwanych ścisłowców – języka angielskiego, następnie zaś zgłoszenie się na testy. Tu posiadanie zaprzyjaźnionego człowieka również nie zaszkodzi, ba, nawet nierzadko zostanie on nagrodzony za polecenie nas, jeżeli cudownie okaże się, iż nadajemy się na dane stanowisko. A jeżeli przy okazji by sprawdzał testy, czy też znał je na wylot...

Jest jeszcze sposób numer trzy: porozmawiać z rodziną. Tomasz Badyński zdecydował się na połączenie dwóch ostatnich sposobów.

Tak naprawdę to Tomasz Badyński leżał przed telewizorem i czekał na mający nadejść za kilka dni Nowy Rok. Głowę miał szczęśliwie pełną obrazków Bliskiego Wschodu i postanowił jeszcze parę dni nie zastanawiać się nad tym, co też będzie robił z życiem. Rozwiązanie spadło z nieba, gdyż nagle członek jego rodziny zaczął rozwijać wizję importowania win z Włoch. Okazało się, że dzięki normom unijnym i paru kombinacjom da się pominąć radosny moment, w którym to państwo polskie nakleja akcyzę, co automatycznie sprawia, że butelka wina z dwóch euro szybuje gdzieś przynajmniej pod pięć. Co więcej, okazało się, że jest znana nawet pewna winiarnia we Włoszech, która oferuje świetne wino (akurat popijane przez piszącego te słowa) w cenach nawet detalicznie bardzo śmiesznych, a przy podpisaniu większego zamówienia na pewno można jeszcze nieco urwać. Prawdopodobnie przedsięwzięcie wymagało będzie jeżdżenia tam i z powrotem, a także przejścia dość męczącego „wstrzeliwania się w polski rynek”, niemniej gra wydawała się warta świeczki, cała sprawa zaś mogła mieć sens, a nawet ręce i nogi. Do tego możliwość pracy w branży, która jest ciekawa i o której ma się jakieś tam pojęcie, potrafi odróżnić chardonnay od merlota, a reszty się można nauczyć w trakcie. Zresztą potencjalni klienci pewnie i tego nie rozróżnią.

Dwa miesiące później Tomasz Badyński ponownie siedział w firmie, z której wypisał się ponad dwa lata wcześniej i robił coś tak wybitnie nudnego, że gdyby słowo pisane miało to oddać, musiałoby się posunąć do cytowania obszernych fragmentów z dziennika ustaw. Sprawa importu wina miała cały czas charakter rozwojowy, więc dostał ofertę popracowania trochę nad administracją takiego dużego badania, oczywiście tylko do momentu, aż rozpocznie się biznes właściwy. Plusami takiej pracy był fakt, iż nie wymagała ona bardzo wczesnego wstawania (start koło 10), a także siedzenia zbyt długo w biurze (wyjście koło 15). Zmierzyć miarodajnie efektów się nie dało, gdyż wypełnianie kretyńskich tabel i dzwonienie po ludziach celem zdobycia danych do tychże wymyka się ocenianiu za pomocą kilogramów czy metrów. Zresztą Badyński nie miał zamiaru nikogo oszukiwać, pracę wykonywał na tyle rzetelnie, na ile się dało i raczej nie opowiadał bajek. Wynagrodzenie otrzymał umiarkowanie oszałamiające, ale z racji mieszkania w rodzinnym domu nie gnębiły go żadne opłaty, podobnie i rachunki za jedzenie, więc na tak zwane papierosy, wino i kino miał. Znacznie bardziej zmartwił go fakt, iż o wypłatę musiał raczej walczyć delikatnymi insynuacjami, a nie zaproponowano mu jej tak po prostu. Do tego miał poczucie powrotu dokładnie do miejsca, które opuścił dwa lata wcześniej. Na tych samych fatalnych warunkach.

Po kolejnym miesiącu zaczął naciskać nieco bardziej na temat importu wina. Poczucie bezcelowości siedzenia nad papierami w wersji elektronicznej coraz bardziej go dopadało. W międzyczasie znajomi Badyńskiego podawali mu dwie oferty pracy, niemniej obie obciążone były stemplem: KORPORACJA. Wprawdzie gdyby się dostał, to pracowałby z kolegami, niemniej jednak uznał, że ma swoją godność i że skoro chodzi w koszulce z podwójną anarchią, to nie będzie stosował podwójnych standardów moralnych i trybikiem nie zostanie.

Tuż przed świętami Wielkiejnocy odbyło się spotkanie biznesowe. Przewinął się w niej temat, że firma zajmująca się badaniami klinicznymi nie może importować wina, to było jasne. Konieczne było założenie kolejnej, oczywiście na imię i nazwisko Badyńskiego. Ten przyjął to z pełnym zrozumieniem i poczuł, że sprawa ponownie nabiera wiatru w żagle, co więcej: pod jego personaliami. Mając około trzydziestu minut drogi na podjęcie decyzji o nazwie przedsięwzięcia, postanowił uhonorować jedno ze swoich ulubionych zwierząt, jenota. Jenocisko, jenociątko, jenotozwierz, jenotoproducts, wszystko brzmiało źle lub bardzo źle. Gdy autobus zajechał mu drogę, zobaczył reklamę planetarium na jego tylnej szybie. Olśnienie: Jenotarium! Czy to miejsce hodowli jenotów? Obserwowania jenotów? Rozmnażania jenotów? Muzeum jenotów?

Nie miał pojęcia, ale własnym podpisem poświadczył powołanie do życia takiego bytu prawnego. Dzięki świątym reformom, które już lata temu dotknęły Polskę, operacja „założenie firmy w jednym okienku” trwa poniżej godziny. Konsekwencje tegoż działania zaś lubią ciągnąć się nieproporcjonalnie długo.

Po trzech miesiącach pracy w biurze Badyński nie miał tam żadnych znajomych, chociaż pracowało wokół niego jakieś dziesięć osób. Miał ludzi, z którymi mniej lub bardziej wymieniał banalne uwagi o pogodzie, nastroju i o tym, co zamówić na obiad. Badyński obiadów nie zamawiał, bo po pierwsze był urodzonym skąpiradłem, po drugie nie spędzał tam całego dnia, a po trzecie odrzucała go oferta obu restauracji, które były łaskawe przywozić jedzenie. Niemniej gdyby je nawet zamawiał, wiele by to nie pomogło. Wiedział dobrze, że pośród pracowników uchodził za człowieka kierownictwa, co go specjalnie nie dziwiło, zważając na pokrewieństwo z tymże. Nie martwiło go to także, bo wiedział, że gra w innej lidze niż ci ludzie, no oni tu będą siedzieli i liczyli słupki, a on właśnie wypływa na szerokie wody interesów międzynarodowych i ciekawych przedsięwzięć.

Gdy tego dnia wrócił do kwatery głównej prężnie rozwijającej się firmy międzynarodowej, wezwano go do biura. Tam dowiedział się, że po długich dyskusjach sam prezes i pani Grażyna, czyli jego naczelna asystentka,

zdecydowali, że będzie zarabiał 3000 PLN miesięcznie. Badyński powinien paść pod wpływem tej kwoty, ale coś mu zadzwoniło w głowie:

– Czy mogę prosić o telefon służbowy?

Po paru minutach zdecydowano, że nie, aczkolwiek wytargował 150 PLN z racji tego, iż będzie korzystał ze swojego numeru. Dowiedział się też, że to tylko próg startowy, pierwsze pieniądze, musi być jednak świadom, że w tej branży można zarabiać o wiele, wiele więcej.

Badyński szedł do pokoju z wrażeniem, że złapał Pana Boga za nogi. Że tym razem wuj potraktował go poważnie i dał mu prawdziwe pieniądze. To były tylko badania, a zaraz miał ruszyć import wina. Tam dopiero leżała prawdziwa fortuna. Wizja zostania kapitalistą-obszarnikiem zaczynała coraz bardziej grać Badyńskiemu w duszy.

Po powrocie z Bliskiego Wschodu Badyński miał zamiar powtórzyć swoje emigranckie doświadczenia sprzed dwóch lat. Tym razem byłoby o wiele łatwiej, miał znajomych, znał rzeczywistość, dysponował nawet krótką historią pracy i składek członkowskich w Irlandii. Jednak spotkanie kogoś, w kim się zakochał, jak również opcja rozkręcenia biznesu na rodzimej ziemi, sprawiły, że podziękował dwóm osobom, które chciały pomóc mu wyjechać z Polski na rzecz urzędzenia sobie życia z nimi w Irlandii. Ponieważ decyzję podejmował długo, wyszło w pewnym sensie dość podle. Chociaż nie, wyszło po polsku. Omamiał tych, którzy chcieli mu pomóc, aż w końcu powiedział „nie”, które powinien był wypowiedzieć o wiele wcześniej (nie wspominając o takim drobiazgu, iż faktycznie należało zdecydowanie powiedzieć „tak!”). Jednak wcześniej nie wiedział, że nadejdzie taki dzień, że przyjdzie do *common roomu* (nawet nie wiedząc, że ten tak się nazywa) i krzyknie z dumą:

– Założyłem firmę!

Poczuł spojżenia na sobie. Pomyślał, że to zazdrość. O wiele później zrozumiał, że to było współczucie. Jedną osobę jego głupota wzruszyła na tyle, że powiedziała:

– Patrzcie, jaki głupi! Samozatrudniony i się jeszcze cieszy! Ja też jestem samozatrudniona, ale jeszcze nie jestem tak głupia, żeby się z tego cieszyć.

To była Lidka, jedyna twarz ze zbioru tychże, która wzbudzała w Tomaszu minimalnie cieplejsze uczucia. Nie jakoś przesadnie wielkie, ale przynajmniej o stopień wyższe niż obojętność. Za chwilę mieli wszyscy iść na święta, wywiązało się zamieszanie, więc Badyński nie zdołał dopytać się, co dokładnie miała na myśli. Pomyślał, że to jakaś płotka, a on jest rekinem biznesu.

Ze snu o byciu rekinem wyrwał go 6 kwietnia telefon. Wcześniej wstał spokojnie, odebrał od listonosza paczkę ze specjalną edycją *Blade Runnera* (pięć płyt z pięcioma różnymi zakończeniami, trójwymiarowe szkła i kadry z filmu) i myślał sobie, że zdąży jeszcze to ładnie oglądnąć przed wyjściem do pracy, gdzie zwyczajowo docierał koło 10. O 8:32 zadzwonił telefon:

- Gdzie jesteś?
- W domu.
- Czemu nie w pracy?
- Przecież zaczynam o 10.
- Zaczynasz o 8:30, przyjeżdżaj, zanim szef się wścieknie!

Tomasz Badyński jechał tak wściekły, że szef mógłby polecieć na orbitę Saturna i tam się wkurwić, a jeszcze nie byłby nawet w pobliżu tych rejestrów wściekłości. W biurze dowiedział się, że szef nie wie, że ten się tak strasznie spóźnił i żeby cichutko biegł na swoje stanowisko.

- Jak to spóźnił? Przecież zaczynam o 10.

– Nie, nie, wszyscy zaczynamy o 8:30. No idź, bo będzie problem, że tu ze mną rozmawiasz – przyjacielsko uświadomiła go pani Grażyna.

Badyński poszedł na swoje stanowisko i ani myślał pracować. Popisał maile do znajomych z pytaniami, co u nich i stwierdził, że nie zajęło mu to nawet godziny. Była dopiero 10, ani myślał pracować, ty, kurwa, ze mną tak? No to dzisiaj nie udało się dodzwonić do nikogo, a tabelki mnie pierdola.

Okazało się, że to nie było tylko „ty dzisiaj, kurwa, ze mną tak”, ale „ty tak będziesz ze mną, kurwa, codziennie”. Na koniec pierwszego dnia zaliczył trzy kolejne pomyłki o charakterze biznesowym. Po pierwsze, chciał wyjść o 15, jak zawsze wychodził. Okazało się, że musi siedzieć do końca dnia. Kolejne faux pax zaliczył o 16:55, gdy uznał, że dzień roboczy się skończył. Sam pan prezes wybiegł za nim na podjazd i zawrócił go do pracy. Na kilka pytań:

– Skoro skończyłem na dzisiaj, co mam teraz robić? Do czego mam wracać? Po co miałbym wracać? – znalazł kojącą odpowiedź, że musi wracać i wyczekać przynajmniej do 17, aczkolwiek w dobrym tonie postrzegane jest wyczekanie, a raczej wykonywanie pracy, nieco dłużej.

Następne dni minęły Badyńskiemu na przemyśleniach, że wpierdolił się niczym gównem we wrotki. Niemniej wiedział i widział. Firma, własna firma. Wina, import, pasja. Koniec cyrku w tabelkach Excela i dzwonienia po spierdol. Praca życia z cywilizowanym przychodem. Jeszcze chwilę ten gnój, dobra, mam nie mieć lepiej niż inni, ale potem wyjdzie na moje.

Miesiąc później Badyński nie widział nawet końca swojego fiuta w toalecie. Był krańcowo zmęczony. Codziennie wstawał koło 7 rano. Czołgał

się do pracy. Tam siedział za biurkiem i pracował lub też pozorował pracę. Koło 14 szedł na obiad. Potem siedział do 17, ale właściwie chwilę dłużej, bo w dobrym tonie było wychodzenie później. Początkowo jego mózg nie obejmował wielu aspektów rzeczywistości.

Kiedy ma czytać?

Kiedy ma pisać?

Kiedy ma iść do kina?

Kiedy ma się wyspać?

Kiedy ma się spotkać z dziewczęciem?

Kiedy ma się spotkać ze znajomymi?

Z czasem wyleczył się i z tego. Nauczył się robić kilka rzeczy jednocześnie. Rozmawiał z kimś i odpisywał ludziom na maile. Czytał gazetę i robił internetowe szkolenie. Miał poczucie, że każdą z nich robił źle, ale gdy pewnego dnia złapał się na próbach czytania przy filmie, uznał, że wariuje.

Była jedna pozytywna strona tego całego gnoju. Pokochali go inni pracownicy. Szybko zrozumieli, że Badyński nie gra w kategorii wuja i jego gwardii, a ich, czyli niewolników plantatora. Cholernie im się to spodobało. Badyński znalazł przyjaciół. Niektórzy wierzyli w poprawę swego losu dzięki przyjaźni z nim, ale dość szybko musieli się rozczarować: na przyjaźni z Badyńskim nie dało się niczego ugrać, poza tonami opowieści o starych filmach, rosyjskich pisarzach i Azji. Jednym wystarczyło to, by przestać się niemal z nim zadawać. Innych nie zraziło i zaczęli nawet do siebie dzwonić w tak zwanym wolnym czasie. Badyński odkrył, że jeszcze parę osób nie jest zachwyconych tym rajem na ziemi, atmosferą rodzinną i przyjemnościami związanymi z każdym dniem w biurze. Wiedział, że początkowo obawiano się, iż może być wtyczką i donosicielem, ale szybko zrozumiano, że nie, nie wchodzi to w rachubę, bo najwięcej na wszystko wściekał się właśnie on. Spierdol lepszy też docierał głównie do niego. Przy okazji najmniej się z tym wszystkim krył, więc najpierw zastanawiano się, czy idiota, czy wariat, a po wykluczeniu możliwości zainstalowania podwójnego agenta, zyskał pewną popularność.

Znacznie gorzej poszło mu z radością z uzyskiwanych dochodów. Okazało się, że źle się zrozumiano, że „będziesz zarabiał 3000 PLN” wcale nie oznaczało przychodów na rękę. O nie, każdy dojrzały człowiek to wie, ale Badyński nie wiedział, do tego nie sądził, że osoba mu znana nie od wczoraj będzie chciała zrobić go w Jana. Chociaż tak naprawdę, znając tę osobę, powinien był się tego spodziewać pięć razy bardziej, niż gdyby robił interes z pijakiem na rogu ulicy. Okazało się, że to jest wszystko na rachunku. Po zabawach ze zdrowotnym, emerytalnym i dochodowym, zostawało niewiele ponad 2000 PLN. Badyński pocieszał się w sposób właściwy pokonanym:

to i tak nie jest źle, niektórzy mają gorzej. Poza tym przecież wkrótce odpalamy biznes międzynarodowy i to będą wielkie zyski. Trzeba przetrwać tych kilka trudnych chwil, potem będzie już z górki. Powtarzał sobie, bo wiele więcej mu nie pozostawało.

Jego życie osobiste rozwijało się. Jego dziewczę cieszyło się statusem dziennikarki, co znaczyło, że poza paroma dniami w miesiącu, gdy miała dyżur, pracowała z domu. Wstawiała raczej później niż wcześniej. Miał to szczęście, że wynajmowała mieszkanie w bardzo dogodnej lokalizacji, co pozwalało mu spać chwilę dłużej. Odkrywał nową rzeczywistość, dziesięć minut snu było błogosławieństwem. Przez lata uważał, że są spotkania, które warto ciągnąć do białego rana, teraz po 23 wymownie patrzył na zegarek, po północy niemal wpadał w panikę: nie wyśpi się. Do tego tyle alkoholu, Jezus Maria, to będzie śmierć w biurze, trzeba będzie trzymać się z daleka od ludzi i udawać bardzo zaangażowanego w jakiś idiotyzm. Niemniej chodzili do kina, chodzili do znajomych takich samych jak oni. Opcja wbicia się w średnią społeczną przestawała być opcją, stawała się główną atrakcją dnia poprzedniego.

Chyba że był piątek. Wtedy... Wtedy się upijał strasznie szybko i wcześniej zasypiał, bo kumulował mu się deficyt snu z całego tygodnia i potrafił spać ponad dwanaście godzin. Jednak życie osobiste nie mogło wkraczać w kompetencje jego życia zawodowego. To byłoby bardzo nieprofesjonalne, niemniej opowiadał, gdzie też byli i co robili. Co Badyńskiego przerażało, to fakt, że w jego opinii jego życie kulturalne nie istniało, czasem jakiś film, czasem jakaś promocja książki i amen. Ilekroć o tym mówił, okazywało się, że nikt nie ma żadnego pojęcia. Wszyscy byli bardzo zainteresowani, ale niebiosa trzeszczały nad głową Badyńskiego, gdy wysłuchiwał ich uwag na temat. Jednak to nie trwało długo, jednocyli się przy klawiaturach i solidarnie naciskali klawisze, by urodzić swoją dawkę absurdu dla ludzi w innych krajach. Niech też chuje i cipy cierpią.

Miejsca takie jak najlepsze firmy świata nie są zawieszone w przestrzeni kosmicznej. Mieszczą się w lokacjach, które minąć można każdego dnia. Z lubością osadzają się w szklanych wieżowcach, ale nie wzgardzą też odpowiednim adresem w mniejszym budynku. Może się zdarzyć, że tak prestiżowe i dobre miejsca jak firma Badyńskiego muszą dzielić siedzibę z innymi, oczywiście o wiele mniej godnymi. Przez lata dotyczyło to firmy AlfAlfa, musiała godzić się z sąsiedztwem firmy wybitnie mało prestiżowej, bo zajmującej się sprzątaniami. Co gorsza, wynajmowaniem ludzi do sprzątania. Co już było absolutnie obrzydliwe: ludzie chcący pracować w firmie położonej o piętro wyżej czasem mylili się i dzwoniли do najlepszej świata, rozpalając tym samym furię kierownictwa, bo przecież nie jesteśmy agencją sprząającą. I w rzeczy samej, sprzątanie było bardzo nisko na liście priorytetów firmy Badyńskiego. Zatrudnianie kogoś tylko po to, żeby zamykał i podpisywanie

z nim umowy? To byłoby marnotrawstwo, przecież jest tyle osób, które nie muszą płacić tych podłych składek na złodziejskie państwo, bo są rencistami lub emerytami, a które przecież dadzą sobie radę ze sprzątaniami. W końcu są też pracownicy, których praca jest wprawdzie warta bardzo wiele, ale jak już lodówka gnije, kłęby kurzu sięgają kostek, to można odesłać ich do posprzątania i tego.

Można mieć jakieś tam życie prywatne, ale nie należy przesadzać, a nade wszystko się oszukiwać. Prawdziwe życie dzieje się w biurze, W PRACY!

Pierwszą wielką miłością pracowniczą Tomasza Badyńskiego była Lidka, która miała więcej odwagi od ogółu i znacznie częściej mówiła, co też jej się nie podoba. Zazdrościł jej, iż nie jest ona spętana więzami krwi z pracodawcą i może nieco śmielej walczyć o swoje prawa, aczkolwiek wiedział, że rezultaty tej walki są mizerne. Lidka wygrywała każde starcie na płaszczyźnie zdrowego rozsądku, jednak przegrywała z rzeczywistością, niemniej determinacja, z jaką walczyła, imponowała Badyńskiemu. Lidka też nie pojawiła się w tej firmie z rekrutacji, była znajomą towarzyszką życiowej pana prezesa. Jakoś tak dziwnie się składa, że wielu mężczyzn odczuwa potrzebę wymieniania tejże na nowszy model, aż osiągają w końcu rozpiętość wieku dobrze przekraczającą dekadę, a co lepsi nawet i dwie. Tu na razie różnica wynosiła skromne piętnaście lat. Podczas jakiegoś spotkania towarzyskiego Lidce zaoferowano możliwość pracy w najlepszej firmie świata, miejscu, gdzie robota jest zabawą, a pieniądze same przychodzą na konto. Lidka zgodziła się i mijał mniej więcej rok od tego momentu. Jej odczucia związane z pracą były oddalone o kilometry od katalogu pojęć zawierającego termin radość, zaś miesięczne wynagrodzenie kwalifikowało do otrzymania pomocy socjalnej w rozwiniętych krajach. Przeszła ona na wyższy etap koszmaru pracowniczego, umiarkowanie ukrywała swoje uczucia związane z frustracją wywoływaną pracą.

Po paru tygodniach siedzenia wspólnie w pokoju, Badyński zaryzykował i podzielił się z nią swymi przemyśleniami. Ona też zaryzykowała i powiedziała mu nawet więcej. Rzadko spotykanym w XXI wieku cudem wzajemnie nie zawiedli swojego zaufania, nie pobiegli na siebie donieść, by zapunktować. Wspólnie kontestowali czas pracy i od 16:55 stali przy drzwiach wejściowych do biura, żeby wraz w wybiciem 17 nimi trzasnąć z całą świadomością, iż nie jest to w dobrym tonie, a nawet bywa bardzo źle postrzegane. Badyński zaczął odprowadzać Lidkę na przystanek. Rozmowy się rozkręcały. Okazało się, że wbrew opowieściom świadczonym na niwie rodzinnej firma AlfAlfa nie jest rajem na ziemi. Nie wszyscy jej pracownicy są

zadowoleni. Im więcej o tym rozmawiali, tym bardziej okazywało się, że najbardziej zadowolone jest kierownictwo, zaś reszta jest zadowolona niczym Żydzi za okupacji.

Pewnego dnia Lidka wpadła do ich pokoju, zamknęła drzwi i powiedziała, że ma wielkiego newsa. Poprzez AlfAlfa była wynajmowana innej firmie i okazało się, że ta ją tak kocha, że zaproponowała jej pracę bezpośrednio dla nich. Była jednak ciemna strona tej radości: musiała powiedzieć panu prezesowi, że planuje się pakować. Niemniej obmyśliła wszystko: chociaż jest na samozatrudnieniu, to da trzymiesięczny termin wypowiedzenia, jak gdyby była na überetacie. To pozwoli na ewentualne zamknięcie wszystkich spraw i znalezienie zastępstwa na jej miejsce.

No cóż, Badyński szczerze pogratulował koleżance. Sam wiedział, że obecna praca to dla niego stan przejściowy, nie miał ambicji zmieniania pracodawcy w obrębie branży, miał zamiar i ochotę zmienić ją całkowicie, za rogiem czekały wina. Cieszył się, że jego koleżanka znalazła szczęście, nie wątpił, że gdziekolwiek nie pójdzie, to może jej być tylko lepiej. Wiedział też, że nikt nie straci na niej, bo polot i pociąg do roboty rzadko spotykany. Martwiło go tylko jedno proste prawo fizyki: jeżeli Lidka będzie tam, to nie będzie jej tu. Zrobiło mu się smutno. Za chwilę zabraknie mu kogoś, z kim może swobodnie rozmawiać. Zostanie taki jeden Rydz, ale bez Lidki to nie będzie to samo, dla nich obojga. Jedna trzecia ich teamu miała zniknąć. Jedna trzecia zdrowego rozsądku miała zniknąć. Jedynym pocieszeniem było to, że dopiero za trzy miesiące. Do tej pory wina muszą ruszyć, idą wakacje, trzeba to ściągnąć!

Natura pracy Badyńskiego w firmie AlfAlfa była początkowo dość prosta. Musiał sprawdzać, czy dane w excelowych tabelkach pokrywają się z papierowymi. Przeszukiwania tabel długich na jakieś 400 linii i 20 kolumn są wodą na młyn każdego myślącego człowieka. Pozwalają na realizowanie się w robocie i opuszczanie jej z żalem w sercu. Przecież można było sprawdzić jeszcze kilkadziesiąt innych wpisów. Niemniej jak benedyktyńsko do roboty Badyński by się nie przyłożył, zdarzało mu się popełniać błędy. Po jakimś miesiącu okazało się, że od dawna istnieją makra, które sprawdzają przynajmniej część poprawności danych, niemniej po co dawać je komuś, kogo praca nie jest zbyt wysoko wyceniania i można go tym sposobem zająć, a przy okazji pokazać błąd.

Gdy skończyły się na chwilę tabele, zaczęła się weryfikacja danych. Nie ma niczego lepszego do roboty niż dzwonienie do profesorów kardiologii i pytanie ich o poranku lub w trakcie obchodu, czy ten numer, co dali sześć miesięcy wcześniej, jest aby na pewno poprawny. Przemnożenie liczby osób przez kilkaset sprawiało, że jakiś kolejny miesiąc zajęć został Badyńskiemu

zapewniony. Radość wielu osób wywołana jego telefonem zapadła mu na dłużej w pamięć.

Potem okazało się, że wszystko trzeba zeskanować. Badyński zaczął myśleć, że widzi światelko w tunelu, bo skanowanie było robotą ekstatycznie ciekawą i przyjemną wobec wcześniejszych misji, przede wszystkim nie wymagało trucia dupy ludziom niczym teleankieter. Badyńskiego nieco dziwiło, że w tak prestiżowej i dobrej firmie używa się sprzętu ręcznego, który skanuje w tempie poniżej strony na minutę, ale w ciągu tej minuty można było kliknąć w gazetkę czy popularny portal społecznościowy. Ba, można nawet było pracować, gaworząc sobie spokojnie z innymi pracownikami.

Sposób rozplanowania miejsca pracy miał wielkie znaczenie. Jakoś tak dziwnie się składało, że każdy chciał siedzieć jak najdalej od drzwi, by znienacka wchodzący przełożony nie zobaczył, co też tam na ekranie się wyświetla. Ponieważ Badyński przełożonym nie był, zarejestrował, iż jednym zdarzało się grywać w robaczki, innym oglądać podsumowanie ligowej kolejki, a jeszcze komuś tam badać możliwości kredytowe. O ile początkowo miał najlepsze miejsce w pomieszczeniu, które dawało mu wystarczająco czasu, żeby ukryć zawartość ekranu, o tyle później przeniesiono go w miejsce, gdzie absolutnie wszyscy widzieli, co też właśnie robi. Taki mały dowód zaufania, typowy dla firmy z rodzinną atmosferą, gdzie wszyscy pracujący się kochają i dobrze widzą, że ich trud przekłada się na wyniki.

Nie minął nawet miesiąc, gdy w pewien poniedziałek wszyscy pracownicy zostali wezwani do pokoju prezesa. Lidki nie było.

– Pewnie się spóźni – pomyślał Badyński. – Chociaż przecież raczej jej się to nie zdarza, bo wie, jakie piekło wtedy wybucha.

– Zebrałem was tu dzisiaj wszystkich, którym muszę przekazać pewną istotną informację. Dzisiaj byłem zmuszony zwolnić Edytę.

Pan prezes mówił około 20 minut o tym, że firma ma rodzinną atmosferę. Że nie blokuje nikomu możliwości rozwoju zawodowego, ale nie wolno oszukiwać. Że każdy może odejść, że nikomu nie będzie to utrudniane, ale niestety... Badyński robił niegdyś podpisy do filmów. Gdyby miał zrobić do tego, wszystkie głośniłyby jedno: „Sranie, sranie, sranie, sranie, więcej srania, sranie, sranie”.

– Nikomu nie blokujemy możliwości rozwoju, ale Lidka piłowała konar, na którym wszyscy siedzimy!

Sranie, sranie, sranie. Na jakim konarze wszyscy siedzimy? My wszyscy? Wszyscy, którzy dojeżdżamy do pracy samochodem za jakiś milion i wszyscy, którzy jeździmy tramwajem? Wszyscy, którzy robimy dyscyplinujące rozmowy za dwie minuty spóźnienia? Badyński nie chciał

wychodzić przed szereg i zapytać: „ale co to za sranie?”. Od kilku tygodni Lidka wszystkim i wszędzie w kółko powtarzała, że od lipca idzie do innej pracy. Czy to podczas obiadów, czy to jakiegokolwiek wolnego czasu. Głuchy by wiedział, że kobieta tańczy ze szczęścia pod sufitem, że nie będzie musiała więcej pracować w firmie AlfAlfa i znosić pana prezesa. Bo to, że pan prezes jej nienawidził w sposób właściwy dyktatorom, to jedno, ale to, że ona potrafiła go ośmieszyć, to drugie. Że była jedną z najlepszych koleżanek jego wybranki to jedno, ale że ten wymyślił sobie, że robi z niej kolejnego jelenia na miarę Badyńskiego, to jednak było myślenie przesadnie życzeniowe.

Po zakończeniu spotkania, Badyński udał się do toalety i napisał Lidce: „KURWAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA, NIE WIERZĘ!!!”. Mógł sobie nie wierzyć, w co tylko chciał. Rzeczywistość sterowana rękoma jego wuja próbowała zniszczyć jedną z jego najlepszych przyjaciółek i świetnie jej to szło. Badyńskiego zawsze fascynowały systemy totalitarne. Jak to możliwe, że ludzie wyrzekają się zdrowego rozsądku na rzecz wizji wariata? Zawsze rozumiał, że po paru dniach sam na sam z NKWD czy Gestapo ludzie są w stanie uwierzyć i podpisać wszystko, niemniej zawsze była ta szara większość, która robiła to dobrowolnie, to ich nie mógł zrozumieć. Dopiero wracając po pracy do domu, dotarło do niego. Nikt nie groził mu karabinem. Nikt nie groził mu więzieniem czy nawet zmniejszeniem racji jedzenia. Jedyne, co mu groziło, to utrata pracy, której nienawidził. Wybrał kłamstwo. Sam zgodził się na kłamstwo. Powinien był wstać i powiedzieć:

– Przepraszam, ale to nieprawda! Wszyscy wiedzieliśmy, że Lidka chce stąd odejść. Nie piłowała żadnego konara, zachowała się najuczciwiej na świecie, a nawet bardziej. Według umowy mogła stąd wyjść w każdej chwili, bo była przecież zewnętrzną firmą, niemniej chciała dać okres wypowiedzenia jak przy etacie, żeby ci nie robić problemów. Dobrze wiem, że z tobą rozmawiała, bo przyszła do mnie niemal w hysterii po tej rozmowie. Nie, bo jest zjebana, ale dlatego, że ją zgnoileś za to, że śmie nie klaskać ze szczęścia z powodu żenującej pensji i jeszcze bardziej żenujących warunków pracy.

Niemniej Badyński nie zrobił tego, co powinien. Nic nie powiedział. Wysłuchał przemowy wuja-pana prezesa i wrócił do komputera, by dalej pracować nad danymi z Excela. Bez Lidki.

Jednak rekord padł jakąś godzinę później. Mimo rodzinnego charakteru firmy, przełożonym nigdy tak nienazwanego teamu był Zbigniew. Ledwo co skończył 30 lat i był największym wyznawcą pana prezesa. Już dużo później w swych dziejach Badyński poświęcił około minuty na rozważenie tego psiego oddania. Pieniądze i warunki pracy, jakich nikt nie ma – skonkludował szybko. Marzenia o osiągnięciu takiego statusu – dodał ostatnią niewiadomą równania i wszystko zrozumiał. Zbigniew mógł przyjść do pracy o niemal dowolnej godzinie, ponieważ dużo pracował z domu. W odróżnieniu od wszystkich

innych nigdy nie był spóźniony, bo przecież odpracuje to po godzinach, a firma nawet na tym zyska. Gdy Zbigniew dowiedział się o zwolnieniu Lidki, powiedział:

– Ja i tak cię podziwiam, że tak długo z nią wytrzymałeś.

Stało to nieco w kontraście Badyńskiemu z jego wspomnieniem z ostatniego piątku: wszyscy siedzą w pokoju i wyśmiewają się z międzynarodowego kontrahenta, który wymyślił tak idealnie durną pracę, że nic innego nie pozostawało do zrobienia, tylko to wyszydzić. Wówczas to Badyńskiemu wydało się, iż pomimo wielkiej niechęci, jaką żywili do siebie, Zbigniew i Lidka może nawet się polubią, a przynajmniej w tej chwili znaleźli wspólny język. Gdy dowiedział się o reakcji przełożonego na zwolnienie jego koleżanki, zrozumiał, na czym polega przyjaźń biznesowa. Zaczęły przerażać go myśli, że pewnego dnia może zachować się dokładnie tak samo. Potem zrozumiał, że właściwie już to zrobił, zaś dalsze kroki są kwestią najbliższego czasu.

Brak ⅓ z ich trójcy sprawił, że Badyński postanowił zaryzykować i rzucić się w objęcia kogoś innego. Okazało się też, że jest jeszcze jedna czarna owca w firmie z rodzinną atmosferą, chociaż nie aż tak czarna jak Lidka. Owca zwała się Rydz. Początkowo Rydz wydawał się Badyńskiemu dość nudną osobą. Poszybował w rankingu, gdy pewnego dnia siedzieli sami w pokoju, a ten zapytał Tomasza, czy może by nie włączyli muzyki, może Faith No More? Badyński był kupiony, niemniej początkowo miał wrażenie, że to człowiek szefa. Szybko jednak zrozumiał, że to obiekt Omega, czyli kozioł ofiarny, jednostka potrzebna w każdej grupie, z której pozostali się śmieją i na niej wyżywają, niemniej akceptują ją, gdyż wykluczenie jej spowodowałoby, że to ktoś inny musiałby zająć to miejsce. Rydz akurat miał tę rzadką właściwość, którą Badyński uwielbiał, potrafił śmiać się z siebie i swoich błędów. Niemniej jest pewna granica między śmianiem się z własnych błędów, a byciem co drugi dzień pod obstrzałem kilkunastu osób, w większości głupszych od samego siebie.

Po paru tygodniach Badyński zrozumiał, że wobec Rydza granicę tę szefostwo już dawno przekroczyło. Najwyżej go zwolnią z pracy, której nienawidzi. Im więcej z nim rozmawiał, tym bardziej mu ufał. Historia ich przyjaźni mogłaby służyć za niemal disneyowską, bo mimo wszystko okazało się, że mają całkiem wiele wspólnego. Szacunek dla ludzi, w tym też ludzi pracy fizycznej. Zainteresowania piłkarskie, chociaż te dzielali niemal wszyscy – jakoś nie znalazł się odważny, który przy panu prezesie powiedziałby, że woli Cracovię od Wisły, a Real od Barcelony. Pewnego dnia okazało się, że Rydz znał Mansona. Kochał też Motörhead, a takie sympatie w świecie Badyńskiego wystarczały za najlepsze referencje. Z rozmów o swojej

kretyńskiej pracy dochodzili do etapu gadania o życiu i tam spotykali się o wiele częściej niż w tematach klinicznych, bo w tych Badyński mógł na razie powiedzieć niewiele więcej niż „ja pierdolę, co za bzdury”. Zaś Rydz powinien szybko powiedzieć „dajcie mi kogoś kto ma chociaż śladowe pojęcie o czymkolwiek, a nie tego łoma, któremu wyjaśniam podstawy”. Rydz znał się na temacie, Badyński nie. W końcu miał wkrótce zacząć import wina, a nie siedzieć nad papierami ze szpitali. Pierwszy uznał, że da się pogadać, więc reszta jakoś się wyprostuje.

W trakcie swojej pracy w firmie AlfAlfa i oczekiwania na rozpoczęcie importu wina Badyński miał dwie oferty pracy. Odrzucił je. Szybko zrozumiał, że należało o nich pomyśleć nieco poważniej. Po paru miesiącach pierwsza z nich okazała się wałem, po kolejnych paru wyszło, że i druga była beznadziejna, niemniej nie gwarantowały one ciężkiej depresji i padania ze zmęczenia każdego niemal dnia. Dopiero dużo później Badyński zrozumiał, że jego krewniak nie był jego przyjacielem, a wrogiem.

Badyński całe życie uważał, że ubiór nic nie znaczy, współcześnie nawet menel jest w stanie ubrać się w garnitur. Pomysł kupowania ciuchów za tysiące złotych, żeby czuć się w nich fatalnie (a nierzadko tak też wyglądać) był dla niego dziką abstrakcją. Jedyne, o co dbał, to żeby zawsze wyglądać odpowiednio obdarcie, co przychodziło mu bez trudu, niemniej w tym szaleństwie była metoda. Czterdziestocentymetrowe glany nosił cały rok, niezależnie od mrozu lub upału, zawsze było mu w nich wygodnie. Bluzę z kapturem podobnie – nigdy nie wiadomo, kiedy deszcz może spaść, w zimie zaś przydaje się kolejna warstwa materiału na głowie. Bojówki to najlepsze spodnie świata, bo mają dużą ilość kieszeni na portfel, papierosy, zapalniczkę, telefon, czasem piwo. Ta sama zasada stosuje się do kurtek, kieszenie, twój przyjaciel. Golenie się, zwłaszcza w zimie, jest kretyńskie, bo jest ci tylko przez to chłodniej. Plecak jest wygodniejszy od jakiegokolwiek torby lub teczki, bo nie zajmuje rąk i łatwiej z nim biec – czy to do autobusu, czy jak uciekasz przed pojebami. Jeżeli masz już plecak, to masz powierzchnię reklamową, na której możesz umieścić swoje ulubione zespoły lub symbole, z którymi się identyfikujesz – dzięki temu ludzie za tobą w tramwaju będą wiedzieli, kim jesteś, a może nawet ktoś cię za to polubi (albo pobije).

Niestety, Badyńskiego podejście do ubioru nie znalazło zrozumienia w firmie o rodzinnej atmosferze. O ile przez pierwsze trzy miesiące nie usłyszał nawet słowa na temat, o tyle odkąd założył własną działalność, uwagi narastały. Przy posiłkach, w czasie pracy, uwagi o goleniu się, uwagi o tym, że chyba wszyscy powinni zacząć nosić garnitury. Badyński nieco durniał. Sam Zbigniew przychodził do pracy w białych adidasach i podkoszulku. Pan prezes często cały tydzień stawiał się dzień w dzień w tym samym swetrze. Co więcej,

jeżeli w poniedziałek upieprzył mu się on sosem, plama pozostawała tam przez kolejne dni. Rekordami były przemowy do Badyńskiego na temat elegancji wygłaszane przez pana prezesa z koszulą wystającą z rozporka. Dodatkowo pan prezes miał problem otyłości, więc kupował wszystko tak, by wyglądało dobrze na brzuchu, co z powodu nieproporcjonalnych nóg i klatki piersiowej owocowało modelem „strach na wróble”. Badyński nie śmiał się nigdy z cudzych cech fizycznych, ale będąc pouczanym o konieczności wymiany swojego obuwia przez osobę, która ma po dziesięć centymetrów luzu w każdej nogawce, czuł się uczestnikiem programu „Ukryta kamera”. Racjonalne argumenty – wszyscy się znamy i siedzimy całe dni za biurkiem, żaden klient do nas nie przychodzi, to nie są funkcje reprezentatywne – zawodziły, Badyński dowiadywał się, że ma dawać przykład, że zawsze może ktoś przyjść i zobaczyć, że siedzi w samym podkoszulku, a nie w koszuli. Ba, może też zobaczyć, że ma wysokie buty! Jak od dawna wiadomo, głównym kryterium doboru firm przez klientów są cholewy butów szeregowych pracowników. Z nadejściem cieplejszych dni sprawa zaczynała być naprawdę męcząca.

Po jakimś czasie Badyński odkrył, skąd brała się część pomysłów pana prezesa dotycząca jego wyglądu. Wszyscy inni mogą przyjść w koszulce i krótkich spodenkach, zaś on ma się męczyć w koszuli i półspodniach mimo trzydziestu stopni na zewnątrz. Pomysły nie płynęły jedynie z przemądrej głowy kierownika. Pomagała mu w tym inna mózgownica.

Pensja, a raczej wynagrodzenie Badyńskiego nie pozwalało na wynajęcie samodzielnego mieszkania, więc mieszkał nadal z matką i kotami. Było to całkiem wygodne względem pracy, kwestia kotów zaś wielce przyjemna, niemniej nieco krępująca wolność osobistą w weekendy. Piętro niżej mieszkała babcia Badyńskiego, matka jego matki i jego pracodawcy. Okazało się, że zainspirowana tym, co widziała w telewizji, zamarzyła, żeby kochany wnusio chodził do pracy w garniturze. Ponieważ wnusia taka sugestia rozbawiła do łez, kochana babcia rozpoczęła ofensywę na innym froncie, froncie przełożonego. Tam pomysł spotkał się z zachwytem.

Wspólnie rozpoczęto urabianie młodego człowieka, aby pasował do obrazów pokazywanych w gazetach i telewizji, bo w końcu ma 28 lat i musi wziąć się za życie. Branie się za życie postrzegane było jako wyrzeczenie się wszelakich atrybutów indywidualności, no, poza paroma dopuszczonymi przez kierownictwo, czyli szaleństwo pod kontrolą (szaleństwo zakładało akceptację dla rzeczy, które Badyński otrzymał w prezencie od krewnego, nieważne, w jak złym guście niektóre były).

W ramach tego brania się za życie Badyński dostał w prezencie zegarek firmy Adriatica, z kartą gwarancyjną. Zobaczył cenę czasomierza i zadumał się:

– Dlaczego ktoś chciałby mieć zegarek za prawie 400 złotych, skoro tak samo dobrze godzinę pokazuje taki za 40? – myślał, dziękując mechanicznie

za prezent.

Kolejne prezenty, jakie otrzymywał od rodziny, koncentrowały się na koszulach i krawatach. Jedno było mu bardziej niepotrzebne od drugiego. Otrzymał też sporo ubrań w „bardzo dobrym gatunku”, prosto z szafy samego prezesa. Wszystkie już dawno były za małe na przełożonego, zaś na Badyńskiego nierzadko zbyt duże. Wiele z nich było w fatalnym guście i stanie. Pewnego dnia padł komentarz:

– Wielu wstydziłoby się oddać to na biednych, a on to dał swojej rodzinie.

Pewnego poranka całkiem przypadkiem usłyszał rozmowę telefoniczną swojej kochanej babci. Były to może trzy zdania, ale wystarczyły, żeby zrozumieć, kto i jak dorzuca mu widłami gnoju do życia i kto też chce widzieć kochanego wnusia ubranego w jedyny strój godny ich rodziny.

Lato naznaczone było urlopami. Wszyscy dostali maile z prośbą o określenie swych planów. Badyński nie wiedział, co robić. Z jednej strony, odpowiedź na maila mogła zaowocować wrzaskiem, że przecież jemu się urlop nie należy. Z drugiej, brak odpowiedzi mógł zostać źle odebrany. Najlepszą odpowiedzią byłoby oświadczenie, że chce się wziąć urlop i spędzić go w pracy, niemniej Badyński nie był jeszcze aż tak zgnojony. Miał jednak w pamięci słowa z odległej przeszłości, około trzech miesięcy wcześniej, gdy wyjaśniono mu, że dzięki samozatrudnieniu będzie mógł brać o wiele więcej urlopu niż pracownicy etatowi. Oczywiście miał mieć płacone za niego, to nawet nie podlegało dyskusji. Już na tyle w tym sobie posiedział, iż wiedział, że oceany urlopu z kwietnia, w czerwcu równają się powierzchni Morza Martwego.

Ostatecznie przybyła reprezentantka Jezusa na Ziemi, pani Grażyna, która wyznała Badyńskiemu, że mimo tak żenująco krótkiego stażu pracy został dopuszczony do szczęścia zwanego wakacjami. Pani Grażyna zdawała się Badyńskiemu w porządku. Wydawała się pomocą w negocjacjach z prezesem. Była w tym chlewie od samego początku, chociaż w sumie nieco krócej niż Badyński, za to bez przerwy. Mogła być świadkiem tak epokowych wydarzeń, jak to gdy kochany wuj bije Badyńskiego w twarz za w jego mniemaniu sknoconą robotę. Badyński wspominał panią Grażynę jako fajną osobę, która miała dystans do życia. Szybko zrozumiał, że rację miał tylko częściowo. Pani Grażyna miała dystans do jego życia, do swojego już nie. Po paru latach okazało się, że największą świętością, z jaką pani Grażyna zetknęła się w życiu, był pan prezes. Jak przystało na fanatyczną wyznawczynię, życie była gotowa oddać za niego. Chociaż nie konto, na aż tak zdecydowane ruchy nie była gotowa. Pan prezes wykazał się geniuszem kadrowym, zatrudniając osobę, która miała kwalifikacje dojarki, za to zapal tworzenia Najlepszej Firmy Świata

większy niż cały ukraiński Komsomoł. Niemniej przybyła do ich piwnicznego pokoju i wyznała Badyńskiemu, że nastał moment, gdy powinien pobiec i przynieść jej kwiaty, diamenty i złoto. Załatwiła mu PŁATNY URLOP.

– Klękajcie narody, tylko mnie do łba nie przyszło, że może być jakikolwiek inny – pomyślał Badyński, dziękując z rezerwą posłance niebios.

Ustalono, że na dziesięć dni może wyciąć się z życia firmy. Oczywiście wcześniej musi domknąć wszystkie sprawy, którymi się zajmuje.

Statystyczna długość życia mężczyzny to około 68 lat – pomyślał Badyński. Zostało mi jakieś 40, żeby domknąć, co mam tu domknąć, a może to być za mało – domknął więc pokrywę laptopa, wyczekał do godziny, o której dobrze postrzegane było wychodzenie z pracy i pojechał.

Po powrocie do pracy zrozumiał, że wakacje spędził poprawnie. Wziął dziewczynę (potencjalną przyszłą żonę i matkę dzieci, ładną blondynkę z cyckami, niemniej wiedział, że przecież on nie mógł na nią zasługiwać) i kolegę (naj przyjaciela od 10. roku życia, alkoholika, ale z korporacji) z żoną i pojechał na Bałkany. Dobrze, bo jego wcześniejsze pomysły związane z wizytami w Tajlandiach i Kambodżach sprawiały, że inni pracownicy czuli się chujowo. Nawet nie była to kwestia finansowa, większość mogłaby sobie pozwolić na takie wyprawy, ale dla nich wakacje to z biurem podróży, do hotelu z basenem, może ze dwie wycieczki wykupione od pilota i tyle. Żadne tam łożenie po świątyniach, spanie w autobusach i odkrywanie w tym sensu życia, co to, to nie. Jego opowieści o tym, że był pracownikiem fizycznym w Irlandii i to pozwoliło mu na odkrywanie Azji, wzbudzały raczej pogardę niż radość i podziw.

Po jakimś czasie zrozumiał: on miał życie, teraz ma gówno. Ci ludzie mieli gówno i dla odmiany mają gówno. I niespecjalnie interesuje ich to, że ktoś nie tak dawno żarł ciastka. Przynajmniej nie na tyle, żeby wysłuchiwać jego opowieści o tym. Punkt numer dwa: wiele osób jest samotnych. Więc nie interesuje ich opowieść o tym, jak menel wygrywa biuściastą blondynę i jedzie się z nią zabawiać na wakacjach. Inni są w związkach, które już nieco osiadły, więc nie ma tej radości, a Badyński był jeszcze na tym radosnym etapie, że odkrywał drugą osobę. Jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej wychodziło mu, że aby być dobrze postrzeganym, należy mieć ohydne życie, z fatalną panną i płakać nad każdym dniem tegoż, znajdując jedyne ukojenie męki życia w pracy.

W tej całej imprezie pozostaje jedno zasadnicze pytanie: kiedy główny bohater zorientuje się do końca (no bo przecież coś podejrzewa), że go ruchają. Że wszyscy, na czele z kochanym krewniakiem, mają jelenia na własność. Właśnie o tym jest druga część bajań, gdzie jeleni pojmuje, że jest zwierzyną. Że byle kto może go wykorzystać, że został członkiem społeczeństwa, którym się brzydzi. Że w porównaniu do niego *homo sovieticus* to termin określający

wolność myśli, zaś on stał się *homo capitalisticus* i sam siebie okłamuje, że wcale nie.

Ciąg dalszy jest opowieścią o stosunku z tygrysem bengalskim; trochę śmieszne, trochę straszne. Niemniej bywały już rzeczy i śmieszniejsze, i straszniejsze.

2. Second

Dzięki odejściu Lidki Badyński rąbał za dwoje. Co jakiś czas nieśmiało pytał, kiedy zatrudnią kogoś na jej miejsce, dowiadywał się, że wkrótce. Po ponad miesiącu odkrył pewną wisienkę na torcie: oficjalnie Lidka dalej tam pracowała, liczba osób przydzielonych do projektu nie uległa zmianie. Oczywiście, inaczej przecież międzynarodowy kontrahent oburzyłby się, iż za mało osób przydzielono do tak ważnego zadania. Badyński odkrywał dalsze sekrety biurowego życia: chociaż w ciągu dnia nierzadko przepadał niezły kawałek roboczogodzin na bzdury i rozmowy o niczym, gdy nadchodziła magiczna 17 on i tak musiał jeszcze zostać, żeby coś dokończyć, wysłać, obrobić. Godziny wyjścia zaczęły przypominać bardziej 18, a jeszcze później nawet i 18:30.

Pewnym fetyszem firmy były *timesheety* – tabelki, w które wpisywało się, jak spędzono czas danego dnia (z dokładnością do 15 minut). Na koniec tygodnia wysyłało się je kierownictwu, które – jednym dokładniej, innym mniej, sprawdzało zasadność ubiegania się o wynagrodzenie. Wypełnianie tego było sztuką samą w sobie, Badyński dość szybko zrozumiał, że szczerłość prowadzi na manowce, więc najpierw zapytał, dlaczego też w firmie o atmosferze rodzinnej oczekuje się spowiedzi z każdej minuty tygodnia. Okazało się, że to międzynarodowe wymogi. Firma wcale nie chce inwigilować pracowników, ba, wręcz brzydzi się tym, niemniej musi. Dość szybko Badyński zrozumiał, że to kłamstwo, bo jeżeli w jednym *timesheecie* można było wpisać czas poświęcony trzem różnym projektom, to jasno znaczyło, że nikt spoza kierownictwa oglądać ich nie może (klauzula tajności danych). Jednak z tym odkryciem już specjalnie się nie afiszował, bo po paru miesiącach zaczynał coraz lepiej rozumieć, że jeżeli chce mieć święty spokój i zasilek na przetrwanie, to lepiej, żeby swe wątpliwości zostawiał dla siebie, ewentualnie może ryzykować i po godzinach pracy dyskretnie wymienić je z Rydzem, z Lidką już nie.

Jego początkowe przeświadczenie, że trafił do miejsca, gdzie ludzie są względnie szczęśliwi, uległo weryfikacji, między innymi przez sposób podejścia do ich czasu pracy. Badyński początkowo naiwnie liczył, że gdy jego *timesheety* wykażą znaczne przekroczenie 40-godzinnego tygodnia pracy, wówczas pojawi się jakaś premia. Nie myślał, że od razu, ale wyliczył sobie, że jeżeli wyjdzie tych nadgodzin jakieś piętnaście w skali miesiąca, to już coś powinien dostać. Pozostaje się uśmiechnąć, bo przyjemniejsze jest to niż płacz. Człowiek, który pracował sobie w Irlandii, gdzie rozliczano mu każde piętnaście minut czasu pracy (zaś spóźnienia co do jednej minuty) i rzetelnie za

nie płacono w cyklu tygodniowym, myśli że w Polsce kapitalizmu Leszka Balcerowicza czeka go to samo. To jest tak niesamowity dowcip, połączony z tak piękną naiwnością, że można by na ten temat nakręcić komedię. Sequel do niej dotyczyłby tego, gdy pracownik nieśmiało pyta, kiedy może sobie odebrać nadgodziny.

– Nigdy. Nie wiesz jakie masz szczęście, że tutaj pracujesz? Z twoimi kwalifikacjami? Jakoś do poziomu pracy skarg nie było. Bardzo dobrze ci idzie, ale nie próbuj nawet iść do szefa, bo się bardzo zdenerwuje i cię wyrzuci.

Badyński zaczynał odkrywać pewien dysonans: ilekroć mógł coś zyskać, firma stawiała się rodzinną, w której nie ma praktyki wypłacania nadgodzin, zapewniania sprzętu biurowego i płacenia rachunków na czas. Ilekroć jednak oczekiwano czegoś od niego, wówczas firma stawiała się potężną organizacją międzynarodową, którą sabotowało dwuminutowe spóźnienie, zły kolor koszulki, czy też zbyt długi czas spędzony na rozmowie ze współpracownikiem. Wymagało kilku potknięć, by w końcu częściej niż rzadziej dawać sobie radę z trafieniem w nastrój chwili – czy zaraz wchodzimy na giełdę i ma się pięć minut na obiad, czy też właśnie oddajemy się radośnie wspólnie spędzaniu czasu, słuchając wysublimowanych dowcipów pana prezesa.

Braki kadrowe nie okazały się wieczne. W końcu pojawiła się Pajęczycza, bardzo doświadczona w branży pracowniczka. Niestety, na jej etapie rozwoju zawodowego nie do przyjęcia było marnowanie czasu i życia na takie bzdurki jak składanie dokumentów, więc wiele to życia Badyńskiemu nie zmieniło. Zaczęli jednak rozumieć, że czegoś nie rozumieją: dziewczyna zjawiała się w biurze raz na tydzień-dwa i to około 10. Posiedziała, pogadała, pokazała zdjęcia ze ślubu, z wakacji, roboty nie robiła, w tematach się nie orientowała i szła sobie spokojnie do domu ok. 15. Poczuli delikatnie pytać, o co chodzi, przy okazji zauważając, że chwilę po zatrudnieniu pojechała na wakacje, tym samym zostawiając niezły kawałek roboty w cudzych rękach.

– Ona jest na samozatrudnieniu...

– Ja też... – pomyślał Badyński. – A rąbię tu 8,5 dziennie, niekiedy nie bardzo mając czas na obiad.

–... jednak gdy projekt ruszy, to będzie miała straszne obłożenie pracą, będzie zasuwała po czternaście godzin dziennie, teraz ma taki czas wdrożenia, ale potem... Nie chcielibyście być jej w skórze.

Zanim nastało owo potem, Badyński pewnego dnia kserował jakieś bzdurki. Obok kopiarki zobaczył rachunek wystawiony przez Pajęczycę. Opiewał na ponad 6000 PLN.

– Ona przecież tu jest na pół etatu przy samozatrudnieniu – pomyślał. – Ja na całym mam połowę z tego.

Podzielił się odkryciem z Rydzem.

– Musiałeś źle zobaczyć, to niemożliwe. Ja mam mniej na całym etacie, a siedzę tu całymi dniami.

– Wiem, że to niemożliwe, ale ona dostaje ponad 6000 PLN za bycie w biurze jakieś może dwadzieścia godzin w miesiącu, kiedy i tak niczego nie robi. Była na urlopie, ledwo się przyjęła. Wszystko na nas, a ona ma wynagrodzenie z gwiazd za nicnierobienie

Przeprowadzili śledztwo. Po paru dniach wiedzieli, że Badyńskiemu się nie przywidziało. Tak, ich koleżanka zarabia jakieś dwa razy więcej niż Rydz i jakieś cztery razy więcej niż Badyński, przy tym nie robi niemal nic. Oczywiście Badyński powinien być wdzięczny, że w ogóle może pracować, zaś Rydz też nie powinien głowy wychylać, bo w końcu ma żonę i dziecko na utrzymaniu, jednak szlag ich trafił ze zbyt wielką siłą. Nie udałooby się znaleźć niczego innego, co tak dobrze wpływa na nastroje na zakładzie, jak odkrycie, że z przyczyn nikomu nieznanych, osoba, która nie robi nic, zarabia o wiele więcej niż ci, którzy nosem ryją po biurku, nierzadko do 18. Oczywiście, mamy wolny rynek, każdemu można płacić, ile się chce, ale gdy zdrowy rozsądek przegrywa z rzeczywistością, pojawiają się opcje niebezpiecznie zbliżone do obłędu.

Jest to taki smutny przypadek, który pokazuje, że Badyński i Rydz nie rozumieli fenomenu Królika. Specjalną kategorią są znajomi Królika lub ci, których Królik postrzega inaczej. Oni byli postrzegani jako dzieci, którym się pozwala popracować, zaś ich koleżanka jako poważna osoba, businesswoman, która sama prowadzi prężnie działającą firmę monitorującą. Jasnym jest, że nie miała czasu na tak przyziemne zabawy jak żmudne rzeźbienie w papierze z nimi.

Trafił ich wspomniany szlag. Zastanawiali się, co mogą zrobić. Badyński chwilę pomyślał i uznał: to jednak jest moja rodzina. Widzimy się niemal co weekend na niedzielnych obiadach. W firmie jest rodzinna atmosfera. Zagryzienie zębów nie jest opcją, tego się nie da przełknąć, bo jeżeli przełknie się to, wówczas oszustwo nie będzie miało żadnych granic. Badyński usiadł, pomyślał i zdecydował się napisać prawdę do samego przełożonego. W końcu każdy Polak wie, że prawda go wyzwoli, czyż nie? W ciągu jakichś czterdziestu minut napisał maila, w którym poruszył paręnaście problemów, które według niego trawiły najlepszą firmę świata.

Po pierwsze, pracownicy dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy mają Kanadę i tych, którzy mają Kambodżę. Tych z azjatyckiej części firmy zaczyna nieco irytować oglądanie tych z Północnej Ameryki. Podział nie jest nowy, ale ten przypadek jest już tak rażący, że nie sposób na to patrzeć i nie ocipieć. Po drugie, wynagrodzenia różnicują się tak, że przekracza to granice zdrowego rozsądku, niemniej skoro jedni dostają tyle, to znaczy, że projekt umożliwia

wypłacanie takich pieniędzy, więc ktoś tu kogoś robi w jelenia. Po trzecie, odczucia te nie są jednostkowe, niemniej prosi się o traktowanie tej epistoły jako głosu jednostki.

Czyż to nie jest przeżabawne, że dorosły, 28-letni człowiek może wierzyć, że rekina biznesu zainteresuje taki mail? Że pomyśli on sobie „no, kurwa, byłem niesprawiedliwy dla chłopaków, robią nadgodziny, nic z tego nie mają, źle to wyszło, trzeba im jakoś wynagrodzić”? Nie, tak może pomyśleć tylko ktoś, kto nie zna się nic a nic na ludziach, którzy mają pieniądze i widzą ich więcej w oddali. Tak może pomyśleć ktoś, kto jeszcze nie ma biznesowych nawyków.

Mail nie przeszedł niezauważony, przyniósł natychmiastowe efekty. W jakieś dwie godziny później, gdy Badyński zszedł na obiad, pani Grażyna wyszła z kuchni, zanim on do niej wszedł. W ślad za nią inni pracownicy. Jadł więc sam, co średnio go bolało, bo nie musiał się wysilać i gadać z ludźmi, z którymi przypadkiem los rzucił go do jednego miejsca pracy, niemniej demonstracja i rozkład sympatii były jasne. Kolejne dni wyglądały podobnie, ilekroć zjawiał się Badyński, ludzie przestawali rozmawiać i wychodzili z pokoju. Zastanawiał się, czy powiedziano innym, co też takiego ośmielił się zrobić, czy też po prostu, że jest złym chujem i wszystkim to wystarczyło. Zakładał, że nikt nie kłamał, bo przecież jak w grupie ludzi pracujących wspólnie, siedzących na jednym konarze ktoś mógłby kłamać? To przecież było niemożliwe. Jedni bardziej, inni mniej zdystansowali się od niego. Najszczęśliwsi byli ci, którzy zdawali się niczego nie wiedzieć o tym wszystkim. Bo jak powiedzieć ludziom: siostrzeniec pana prezesa ośmielił się zakwestionować jedyny słuszny porządek nagradzania pracowników w najlepszej firmie świata? Nie, precz, takich słów powiedzieć nie można! Badyński zaczął powoli i spokojnie zastanawiać się, kiedy zostanie pożegnany. Wstrzymano mu wypłatę, specjalnie go to nie zdziwiło, niemniej oczywiście podatek należny od tejże musiał zapłacić. Złapał się nawet na tym, że trudno cieszyć mu się, że Llosa dostał Nobla, bo intrygi pracowe zajmują mu większość czasu wolnego. Czas w pracy to jedno, ale potem: czy ona wyszła, bo ja wszedłem? Hmm, ale dzień wcześniej w sumie siedziała ze mną. Może dopiero teraz jej powiedzieli? Zwolnienie? Dam sobie radę, tylko zwalnajcie już, bo potem będzie trudno rozliczyć dni z tego miesiąca, oczywiście znam procenty, ale jak zdrowotne i emerytalne ogarniemy? No da się to zrobić, ale lepiej nie. No i zapłaćcie, co zalegacie!

Miarą człowieka jest to, jak wykorzystuje władzę, którą los go obdarzył – myślał sobie Badyński podczas tych wydarzeń. Na podstawie tej sentencji mógł sobie przewartościować parę odczuć, jakimi nagrodziło go życie. Życie rodzinne również. Jakże bardzo kochał swego krewniaka, jakże szanował

swoich przełożonych za ścianę milczenia i demonstracyjne wyjścia z kuchni, gdy tylko on się w niej pojawiał.

Badyński nie rozumiał, że nikt nie ma zamiaru go zwalniać. Mimo absolutnego braku kwalifikacji, mimo koszmarnie źle wykonywanej pracy, mimo braku biznesowych nawyków, jakoś wychodziło, że firma bardzo dużo nie traci na jego robocie. Tak, nie było nawet tak źle. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby pracował więcej, lepiej się ubierał, gdyby zrobił kierunkowe studia, ale to, że jest samozatrudniony, płaci mu się w terminach losowych, jakoś tam równoważy jego niedostatki. Oczywiście tego nikt nie powiedział, bo niewolnikowi należy mówić jak najmniej. Jeszcze zachorowałby na manię wielkości.

W tym wszystkim Badyńskiego zaskoczyła księgowa, która nadal chodziła z nim na przystanek i rozmawiała o wszystkim, w tym też o sytuacji na pokładzie. Był pewien, że to człowiek zarządu, najpierw był pewien, że próbuje ciągnąć go za język, żeby zdobyć personalia tych, którzy ośmielali się podzielać jego poglądy na sytuację (mówił więc, że nie ma żadnych przyjaciół w tej firmie, że same chuje i pizdy, nie chciał nikogo pociągnąć do swojego bagna). Po kilku dniach wezwano go na rozmowę. Czas od strasznego maila do rozmowy pokazywał, iż czytano nieco literatury przedmiotu, niemniej do standardów KGB jeszcze nie udało się dojść. Tam albo od razu bili w mordę, albo trzymali w niepewności kilka miesięcy, aż samemu się wariowało i błagało, by pozwolili mówić. Wysłanniczka zarządu, pani Grażyna, zaprosiła go na rozmowę. Badyński szedł, myśląc sobie, że w końcu wypowiedzenie i że chyba zdąży na seans o 15, bo wiele do zebrania nie miał, a i do domu blisko, tylko się przebrać i można zakończyć wegetację, powrócić do życia.

– Gówno wisi w powietrzu – dowiedział się Badyński, ledwo usiedli. Zrozumiał, że rozmowa będzie prowadzona na poziomie towarzysko-biznesowym. Czyli: w którym momencie jak władzy będzie wygodniej, raz przyjacielskie klepanie po plecach, raz wyciąganie biznesowych standardów, ty sobie tańcz do tego i spróbuj nie połamać nóg. A raczej czekamy, aż się wypierdolisz na środku parkietu i obyś obie złamał.

– Proszę, możesz teraz powiedzieć wszystko, co ci nie pasuje.

– Ostatnio napisałem, co mi nie pasuje, chyba wystarczy – odpowiedział Badyński, który postanowił przyjąć taktykę mówienia jak najmniej (uznając, że Sołżenicyn dawał dobre rady i że im mniej się powie, tym mniej mają punktów zaczepienia), koncentrując się na tym, czego też się dowie.

– O co ci chodzi, w czym masz problem? – krzyczała pani Grażyna do Badyńskiego.

Tak postawione pytanie wymagałoby bardzo rozbudowanej odpowiedzi. Chociaż nie wiedział dokładnie, o co chodzi. Chodziło mu, a nawet jeździło

metrem i kolejką napowietrzną, o szacunek i osobowość. Całe życie walczył o prawo do bycia sobą i jakieś kilka miesięcy wcześniej podjął robotę idioty, bo wydawało mu się, że ta będzie umiarkowanie inwazyjnie wpływała na jego styl życia. Do tego miał pracować u członka rodziny, czyli w segmencie biznesu uważanym za interesujący, bo osoby, które miałyby dobrą pracę bez znajomości stanowią mniejszość ledwo dostrzegalną w populacji. Zdecydował się na pracę w tym cyrku na chwilę, żeby przetrwać i przeżyć parę miesięcy, bo przecież mieli rozkręcić inny interes. Tę chwilę cechowało już trwanie bardzo długo. Zbyt długo. I chyba nadchodził czas, by się z nią pożegnać.

– Nasz kochany prezes, słońce Tatr, obiecał mi ustanowienie osobnego biznesu, w którym oboje jesteśmy dyrektorami, miałem się tu zaczepić tylko na parę miesięcy, wcale nie chciałem tu pracować, mieliśmy rozkręcić import wina z Włoch i innych krajów – Badyński postanowił trzymać się bezpiecznej strony bandy.

– Wiem, ale to był zły pomysł – krzyknęła pani Grażyna. – Nie miał szans powodzenia i od razu mu to powiedziałam, zgodził się ze mną. A jedyne, co możesz zrobić ze swym smutnym życiem, to prosić o dalszą pracę tutaj. Nie nadajesz się do niczego, wygrałeś los na loterii życia, że pozwolono ci tu pracować.

Używano innych słów, ale Tomasz już opanował przekład z języka biurowego na własny. Niemniej czuł się dość kiepsko, bo o sprawach dotyczących swojej przyszłości gaworzył z panią Grażyną, z którą poza tematami pracowymi za wiele porozmawiać nie mógł. Nie ze swym krewniakiem, dyrektorem tego burdelu, który nie miał odwagi i przyzwoitości posprzątać kibla po sobie. Okazało się, że musi gadać z jego giermkim, którego niekompetencje i ograniczenia stawały się wielkim atutem w takiej chwili.

Tomasz nie mógł przekazać niczego z tych przemyśleń w *real time*, na żywo. Był niewolnikiem systemu, człowiekiem modlącym się o wypłatę. Patrzącym w swego zbawiciela, który zlecał przelewy. Ostatni był już spóźniony o wiele dni, zaś po zapłaceniu należnych podatków, jego stan posiadania nie był oszałamiający.

Tomasz spędził dwie godziny na słuchaniu interpretacji rzeczywistości, którą cechował tylko jeden problem: nie przystawała do tejże. To był festiwal kłamstwa, plucia w twarz i oczerniania nieobecnych w pokoju. Co gorsza, nie bardzo dało się cokolwiek odpowiedzieć, bo spotykało się to z lawiną kontrargumentów niemożliwych do weryfikacji.

Dowiedział się, że tylko wydaje mu się, że Rydz to jego kolega. Rydz zarabia ponad 12.000 PLN i tylko udawał, że jest jego kolegą, robił to by mu zaszkodzić, bo jemu tu jest bardzo, bardzo dobrze, o wiele lepiej niż

gdziekolwiek indziej by być mogło.

– To chyba powinniśmy go zaprosić tutaj, żeby mógł się wypowiedzieć, bo jednak nie sądzę, żeby mi kłamał.

– Nie ma takiej potrzeby – dowiedział się.

Aha, to rzeczywiście on kłamie mi za plecami.

– Pajęczycza ma poza tym obowiązki, o których nie wiecie!

Zabrzmiało dość podejrzanie, chociaż raczej Badyńskiemu przypomniało się, że jakiś czas temu delikatnie sugerowano mu, czy nie chciałby przyjąć na konto swojej firmy pewnych kwot pieniędzy, które potem oddałby nieoficjalnie na ręce wiadomo kogo. Na delikatne pytanie, co z tego by miał mieć, dowiedział się, że większy zwrot podatku. Odpowiedział, że obawia się, że jedynie większy podatek dochodowy, niemniej proszę bardzo, przy pokryciu kosztów tego, można tak zrobić. Okazało się, że tak to nie, jak sam nie chce zapłacić dochodowego, to nie ma co. Do hipotez Badyński dopisał, że być może jedyne, co ma robić Pajęczycza, to brać na siebie wpłaty, niemniej wiedział, że raczej sobie za to zażyczyła pieniędzy, miałoby to mało sensu, ale widział już bardziej bezsensowne zjawiska w życiu, nie mówiąc o tym, co widział w tej firmie. Niemniej dowiadywał się ciekawych rzeczy, w ramach pognębienia go i stworzenia poczucia obłąkania pani Grażyna opowiadała, kiedy i komu co powiedział. Dzięki temu Badyński uzyskał wyczerpującą listę konfidentów i krótką, acz w tym momencie już bardzo mocną listę osób zaufanych. Nie wiedzą nic, co mówił księgowej – nie donosi. Wiedzą wszystko, co mówił Rudej – donosi. Kto był przy stole, gdy powiedział to? Aha, czyli zapewne on. A potem? Aha, jeden wspólny element zbiorów, czyli na pewno on. Temu powiedziałem to, a tego nie wiedzą, czyli chyba nie kabel.

Badyński wiele się spodziewał i domyślał, ale jednak przeraził go rozmiar inwigilacji prowadzonej w firmie, a raczej donosicielstwa. Oczywiście to nie było nigdy prowadzone w formie: „JA MAM DONOS!”, tylko: „tyyy, nie uwierzysz, co ona mi powiedziała, a co on zrobił!”. Nie dało się być poza tym, do tego całe zjawisko było wybitnie wciągające. Kto, grając kim, przebiję kogo. Dostawałeś newsa, że ktoś zjechał robotę i może zostać zwolnionym? Biegnij i opowiadaj w kiblu innym. Będą chcieli się odwdzińczyć i może dostaniesz coś lepszego w zamian. Wchodzą w rachubę też możliwości, że ktoś coś źle zrobił, to też dobrze powiedzieć, to również jest mile widziane. Oczywiście tej osobie nic się złego o niej samej nie mówi, zbiera się wszystko, żeby w odpowiednim momencie cisnąć w twarz niesamowitą ilością szczegółów.

– Trzy miesiące temu spóźniłeś się do pracy 20 minut, myślałeś, że ja nie wiem?”.

– Tak, ale nie wiesz o tym, że miesiąc temu spóźniłem się 40 minut, tego akurat nie miał kto donieść, bo informator z mojego pokoju był na urlopie.

Badyński zastanawiał się, jaki sens jest w tym, że się wie, czuje, domyśla, że ten człowiek to donosiciel, a tamten to kanalia. Tamta zaś to mściwy tchórz. Najbardziej przerażające było to, że bardziej korzystne, bardziej pożyteczne i zbawienne dla niego było pozostawać z nimi w przyjaźni, niż mieć w nich wrogów lub ewentualnie milczeć. Bo inaczej trzeba by tylko kłamać – i im, i samemu sobie. To zaś jest trudne, wręcz nie do zniesienia, znacznie trudniejsze niż mówienie prawdy.

Po części „jesteś złym człowiekiem”, nadeszła część „choć możesz być o wiele lepszy, my jesteśmy dobrzy, ucz się od nas. Patrz na piękno, zanurz się w nim i bądź jak my”. W tej części Badyński dowiedział się, że mimo tego, jaki jest podły, cały majątek prezesa zapisany jest na niego. Taka opowiadka, której nie da się w żaden sposób sprawdzić, ale przecież niesie ona ze sobą wielki ładunek zaufania. Podobnie jak opowieści o kochance pana prezesa, które po późniejszym zastanowieniu Badyński sklasyfikował jako testowe – gdyby podał je dalej, to wykazałby, że jest zdrajcą i że nie można mu ufać. Udowodnić nic się nie dało. Był to standard rozmowy biznesowej rodem z firmy o rodzinnej atmosferze, gdzie w ciągu dwóch minut udawało się przejść od opowieści o opóźnieniu kontraktu do zostawiania rodzicem.

Po dwóch godzinach wgniatania pracownika w glebę, zasugerowano, żeby sobie padli w ramiona, co miało rozwiązać wszystkie problemy. Padli, Badyński poszedł do swojej celi. Tam spotkał wzrok współpracowników. Dwie osoby, które być może nie kłamią. Rydz i Katia. Uznał, że ma tego dosyć i albo się wypierdala z pracy, albo jakoś to będzie. Okazało się, że to drugie. Rydz już był po praniu mózgu. Katia spodziewała się takowego wkrótce. Wieczorem tego dnia Badyński zadzwonił, dość asekuracyjnie powiedział jej, czego może się spodziewać.

Jednak między Badyńskim a Rydzem nie było jak parę dni wcześniej. Tyle się nasłuchali o sobie nawzajem, o tym jak się okłamywali przez wiele miesięcy, że trudno było uwierzyć, iż ktoś mógłby to wszystko wymyślić. Ludzka przyzwoitość, jakikolwiek cień moralności nie pozwoliłby na to. Badyńskiemu wydawało się niemożliwe, by tak bardzo mógł się pomylić względem drugiego człowieka. Może gdyby ten okazał się oficerem KGB po wielu latach szkoleń, ale przecież siedział koło kogoś takiego jak on sam. Przecież mu nie musiał kłamać, że lubi Smashing Pumpkins i Mansona. Przecież on też nie łął, że Motörhead to super kapela. Rzucono im piasek w tryby, ale coś w tym wszystkim nie grało.

Zdzwonili się jakoś wieczorem. Powoli, asekuracyjnie zaczęli rozmawiać. W końcu rzucili się na głęboką wodę. Po około stu minutach nie mieli wątpliwości. Każdy został obdarzony taką ilością informacji na temat

żałości drugiego, że zbyt kłóciło się to z obrazem wyrobionym poprzez wspólne siedzenie w pokoju. Tego jednak przemądre kierownictwo nie przewidziało, że relacja horyzontalna będzie nieco mocniejsza niż wertykalna. Że przez te godziny wspólnego siedzenia w jednym pomieszczeniu rozmawiali ze sobą, że wytworzyła się między nimi jakaś więź, której nie jest w stanie zniszczyć pranie mózgu, a raczej opierdalanie jednego za plecami drugiego. Opracowali listę osób, którym kogą ufać. Dwie. Z około dwudziestu. Chwała niebiosom, nie są sami.

Badyński dowiedział się, jakie to opowieści dostał Rydz, te były chyba jeszcze ciekawsze niż jego. O tym, że pan prezes chciał mu już dawno dać obiecaną podwyżkę i awans, ale ponieważ jego matka była umierająca, to nie mógł myśleć o tak przyziemnych sprawach. Tak, czy on teraz widzi, jaki jest niewdzięczny? Człowiekowi umiera matka, a ten chciałby te marne kilkaset złotych podwyżki!

– Co za pierdolenie, kiedy umierała? – spytał Badyński.

– Jakoś czerwiec-lipiec.

– Kurwa, mieszkam z nią, widzę ją codziennie i jakoś to przegapiłem, kochany syn widzi ją raz na tydzień jak przychodzi żreć, więc chyba wiem lepiej. Nie, nie umierała, wszystko było w porządku.

– Dowiedziałem się też, że ciąża i narodziny jego dziecka były zagrożone.

– To dowiadujesz się jako pierwszy, bo z rozmów przy stole wigilijnym, wielkanocnym i jeszcze jakimś tam, wszystko rozwijało się idealnie aż do samego porodu.

– Mam coś jeszcze, ale nie chce ci mówić, bo ci będzie smutno.

– Mów.

– Ale to jest pewnie taka sama lipa jak tamto, a wkurwisz się i boję się, co zrobisz, jak znowu cię szlag trafi.

– Nic nie powiem, ale mów, bo jestem po prostu ciekaw, co jeszcze wymyślono. – Nie powiesz? Nawet jak się wkurwisz strasznie? Nie napiszesz maila? Wiesz, że ja strasznie ryzykuję, mówiąc ci to?

– Zdzierzę, mam piwo, cztery już wypilem.

– Uratował ci życie i wyciągnął ze szpitala psychiatrycznego, a potem z rynsztoka.

Badyński skamieniał. Tak, był w psychiatryku, podciął sobie jakiś rok wcześniej żyły. Posadzili go na 37 godzin i zwolnili.

– Tak, wyciągnął, przyjechał autem, nie musiałem wracać autobusem. Rynsztok? Aha, bo dał mi pracę, o którą nie prosiłem? Dobrze.

Tak jak baron Munchausen wyciągnął się za włosy z bagna, tak Badyński trzymał się wszystkiego, co miał pod ręką i w zasięgu wzroku, żeby

się nie rozpierdolić na kawałki. Jak można tak kłamać? – zastanawiał się Badyński. Czyli nie ma żadnych norm, gdy się chce kogoś oszukać, okłamać i wykorzystać? Nic? Absolutnie nic nie znaczy? Można wszystko powiedzieć i wszystko zrobić?

Taki segment przemysłu jest dowodem na to, że studia są nieżyciowe i że brakuje na nich bardzo ważnego segmentu zajęć: przygotowania do pracy w biznesie. Można nimi zastąpić filozofię, mówić ludziom o tym, że nie, nie ma żadnych granic. Okazuje się, że można czynić podłości i żyć. Można kłamać i żyć. Można obiecywać i nie dotrzymując obietnic, mimo wszystko żyć.

Okazało się, że Lidkę również wyciągnięto z rynsztoka. Cudowna firma i empatyczny pan prezes, który wyciąga ludzi z kanału. Przypadkiem, są oni akurat potrzebni, dostają warunki rodem z trzeciego świata, a dookoła rozpowiada o tym, że hobbistycznie jest filantropem. Pomaga znajomym swojej kobiety, pomaga krewniakowi. Daje im możliwość pracy w prężnie rozwijającej się firmie międzynarodowej, oferuje atrakcyjne wynagrodzenie. Tylko ciągle trafia na takich niewdzięczników, którym daje palec, a oni mu rękę w łokciu chcą uciąć.

Badyński też miał ciekawą wiadomość dla swojego kolegi:

– Zarabiasz ponad 12 tysięcy miesięcznie i oszukujesz mnie, że mniej. Przyszedłeś do tej firmy, bo ci obiecywali o wiele więcej niż w poprzedniej.

Następnego dnia Rydz bez ceregieli kazał Badyńskiemu zobaczyć historię przelewów swego konta. No cóż, przelewy tytułem „wynagrodzenie” nie były zbliżone do 12 tysięcy. Tu akurat niespodzianki nie było, niemniej miło było się upewnić, kto kłamał. Wierzyć jedno, wiedzieć drugie. Okoliczności przejścia zirytowały Rydza jeszcze bardziej – odszedł z wielkiej korporacji, bo nie pasował mu panujący tam klimat, więc zdecydował się zarabiać mniej w zamian za tak zwany święty spokój i dobre relacje z przełożonymi. Badyńskiemu żal było patrzeć, jak bardzo oszukano jego kolegę. Po tych paru dniach i rozmowach zrozumieli jedno: muszą wierzyć sobie, nie im. Teraz już nie było to trudne. Wiedzieli oboje, gdzie jest wróg, a gdzie przyjaciel.

LISTA BIZNESOWYCH NAWYKÓW:

1. ZACHŁANNOŚĆ, JAK NIE WEŻMIESZ TY, TO WEZMĄ INNI.
2. WYMAGAJ OD INNYCH, NIE POZWÓL, BY WYMAGALI OD CIEBIE.
3. OSZUKUJ, MATA CZ, KŁAM W ŻYWE OCZY. IM BEZCZELNIEJ, TYM LEPIEJ NA TYM WYJDZIESZ.
4. GARDŹ LUDŹMI, ZWŁASZCZA TYMI STOJĄCYMI NIŻEJ

W TZW. HIERARCHII.

5. UNIKAJ KONKRETU, GDY MÓWISZ. ŻĄDAJ KONKRETU, GDY MÓWIĄ DO CIEBIE.

6. O WARTOŚCI CZŁOWIEKA STANOWI STAN JEGO POSIADANIA

7. KOMUNIKUJĄC SIĘ WERBALNIE, ZAPEWNIJ O PRZYJAŹNI. KOMUNIKUJĄC SIĘ LISTOWNIE, PUNKTUJ I ZBIERAJ AMUNICJĘ.

Cała historia różnicowania zarobków znalazła swój finał wkrótce później. Najpierw był urlop, więc obowiązki koleżanki przejęli inni. Pewnego dnia Pajęczycza zjawiała się w biurze i pokazała współpracownikom zdjęcia ze swego ślubu. Badyński postanowił zachować dla siebie swoje przemyślenia na temat sensowności legalizowania związków, zdjęcia oczywiście pochwalił, koleżanki zadały wszystkie obowiązkowe pytania o kreację, popłynęła kaskada komplementów dotyczących wyglądu i całej ceremonii, oczywiście trochę pytań, które pojawić się musiały. Po tym Pajęczycza wyznała, że planuje się zwolnić, gdyż ma inne zobowiązania.

Zdębieli. Nawet ci spoza wielkiej afery płacowo-mailowej liczyli na to, że w końcu zacznie coś robić, przestanie wszystkich demoralizować swym obciążeniem pracą, bo mający największy ze wszystkich luz mogli jej tylko zazdrościć. Ta spokojnie poszła złożyć wypowiedzenie, zaznaczając, że wprawdzie zgodnie z zapisami o odejściu powinna jeszcze przepracować miesiąc, niemniej wolałaby nie, aczkolwiek jeżeli trzeba, no to dobrze. Z takim wynagrodzeniem nie chce choćby miesiąca więcej pracować, nie wierzyli.

Wróciła po kilku minutach. Po kilkunastu wzięto ją na pranie mózgu. Po jakiejś godzinie wyszła. Na jej twarzy malowała się pogarda, nienawiść i postanowienie, aby nigdy już nie mieć do czynienia z firmami z rodzinną atmosferą. Niemniej widać było, że nie zrobiła na niej wielkiego wrażenia rozmowa dyscyplinująca. Mogli jej skoczyć na pędzel i w takiej sytuacji okazywało się, że państwo władza są absolutnie bezsilni, mogą sobie opowiadać bajki, kto i co i kogo, ale co z tego? Co ją to miało obchodzić? Za kilka miesięcy nicnierobienia skasowała więcej, niż porządni ludzie zarabiają przez rok ciężkiej pracy. Nie porównując tego wszystkiego nawet do biednych ludzi siedzących na kasach w marketach. Najzabawniejszym jednak aspektem całego przelotnego epizodu związania się dziewczyny z firmą był ten dotyczący opowieści przy stole. Akurat były czyjeś urodziny (przypadkiem zapewne napisał jej ktoś), więc siedziała i snuła historie o tym, jak spędziła wakacje, oczywiście w standardzie zarobasa. Jednak chwilę potem nabrała wiatru w żagle i rozpoczęła opowieści o tym, że konkurencyjnej firmy na nią nie stać, czym pan prezes był zachwycony, nawet sam powiedział, że wrogowie nie są tak dobrze zarządzani i przez to nie mogą sobie pozwolić na opłacanie tak

wykwalfikowanego pracownika. Badyński jeszcze wówczas nie wiedział, jakie są realia finansowe, ale pomyślał sobie, że ta konkurencja to musi fatalnie płacić.

Nie był to jednak pierwszy przypadek odejścia pracownika z firmy rodzinnej. Był to jeden z wielu przypadków opuszczenia firmy rodzinnej. Jeszcze między Lidką a Pajęczycą gościnne progi przybytku opuścił Aleks, monitor, który miał zająć się prowadzeniem projektu na Czechy. Sprawa ciągnęła się kilka miesięcy. Badyński w tym czasie parokrotnie proszony był, by zadzwonić do Aleksa i nalegać, aby ten zrobił kilka rzeczy. Sprawa była nieco męcząca, bo Aleks niemal wzbraniał się robienia czegokolwiek w projekcie, w którym miał rozwijać żagle, o który sam podobno błagał na kolanach. Udało się czasem wymęczyć jakieś działania, ale lista zaległości robiła się coraz dłuższa, nie mówiąc o rzeczach, które spadały na innych, głównie Badyńskiego. W końcu postanowiono docisnąć Aleksa, co skończyło się tym, że podziękował on za współpracę. W oficjalnym przekazie okazało się, że to cwaniak i oszust. Czytając między wierszami, udało się ustalić, że Aleks miał korpopracę w Warszawie. Chciał przenieść się do Krakowa, do firmy, która da mu więcej wolności i możliwości odwiedzania rodziny w Czechach. Jednak nie był idiotą, nie chciał złożyć wypowiedzenia bez dostania nowego kontraktu. Tego najlepsza firma świata nie chciała mu wysłać. Gdy w końcu to zrobiła, to Aleks zrozumiał, że nie ma o czym mówić. Zapewne najlepsza firma świata liczyła, że Aleks rzuci się negocjować umowę, zaproponuje 20 poprawek, zatwierdzi się cztery dotyczące interpunkcji, a „resztę się zobaczy”. Jednak gdy Aleks zobaczył standardowy kontrakt, to się uśmieł lub popłakał, kwestia nie do ustalenia, i napisał, że dziękuje.

Jeszcze wcześniej zwolniła się dziewczyna, której Badyński nigdy nie widział na oczy, niemniej często znajdował jej podpisy na różnych dokumentach. Wychodziło mu, że dziewczyna odwaliła niesamowity kawał roboty, więc dziwił się, że nagle jej nie ma. Po paru pytaniach nie wprost, dowiedział się, że była leniwa.

– W sześć miesięcy, jakie tu spędziła, taka ilość roboty? Toż za Związku Radzieckiego dostałaby order bohatera i dodatkowy przydział na cukier.

Okazało się, że śmiała przyjść do najwyższego i powiedzieć, że jest zmęczona i że potrzebuje jakiejś przerwy w pracy, urlopu albo zluźowania, bo więcej tak nie da rady rąbać. Do tego powiedziała, iż zmęczony pracownik, to nieefektywny pracownik. Podobno została zwolniona, ale akcja o kryptonimie Google powiedziała, że jednak rozwija karierę na uczelni, do czego przeszła podejrzenie płynnie po pracy w AlfAlfa. Po realiach firmy rodzinnej powrót pod skrzydła Alma Mater musiała być jedną z najprzyjemniejszych rzeczy na świecie.

Bywały też inne przypadki odejścia pracowników. Miano najmądrzejszego człowieka, który przewiniął się przez firmę zyskała Bożena, dziewczyna, która wydała się Badyńskiemu bratnią duszą ze względu na grunge'ową torbę. Przyszła do pracy w poniedziałek, przyszła we wtorek i tegoż dnia wieczorem napisała maila, iż składa wypowiedzenie. Nie miała podpisanej żadnej umowy (im później, tym lepiej!), więc mogła to zrobić. Przeprowadzono wywiad, czy aby ktoś z pracowników nie zraził nowej koleżanki. Okazało się, że prawdopodobnie wystarczyły jej dwa dni obserwacji, by zrozumieć, że za nic nie chce tu pracować. Dlatego właśnie później nazywano ją najmądrzejszą osobą, jaka kiedykolwiek przewinęła się przez ten zakład pracy. Zdarzały się też maksymy: „gdybym miał mądrość Bożeny...”

Odejście innej pracowniczki zostało ogłoszone pozostałym nieoficjalnie, pod jej nieobecność. Niestety, nie wiedziała ona o tym, iż nie zostanie jej przedłużona umowa, więc na dzień przed swoim odejściem napisała do wszystkich maila, że dziękuje, że było fajnie, ale idzie szukać szczęścia gdzie indziej i że może się kiedyś jeszcze spotkamy. Zapanował pewien dysonans między tym, co mówiło kierownictwo, a tym, co Marta wysłała. Wychodziło, że i tutaj wszechmoc panujących nie dotarła, że ktoś zdecydował o swoim życiu, nie konsultując się z władzą najwyższą. Karygodne.

Przyczyny zwolnień miały swoje kategorie. Przyczyną numer jeden była postawa roszczeniowa: wpisywały się w nie pytania o oddanie nadgodzin, w urlopie lub pieniądzech, domagania się zwrotu pieniędzy za benzynę, parking czy hotel. Postawa roszczeniowa często łączyła się ze zjawiskiem aroganckiego pracownika, czyli takiego, który śmiał uważać, że nie wszystko w firmie ma się cudownie i informował o tym przełożonego. Takie drobiazgi jak niebycie w domu od pięciu dni dzięki wyjazdom służbowym, czy też takie obłożenie pracą, że nie dało się wyjść z biura do nocy (w ujęciu czasu letniego). Jednak najczęściej pojęcia te były używane łącznie – arogancki pracownik z roszczeniową postawą. Za nic nie można było rozumem ogarnąć, iż ktoś tak podły nie zostaje zwolniony.

Inną kategorią były nawyki korporacyjne. Właściwie problem zasadzał się na tym samym, niektórzy uważali, że skoro jednego dnia spędzili dwanaście godzin w pracy, następnego mogą przyjść później lub też wypłaci im się, zgodnie z normami, 150 lub 200% za każdą przepracowaną godzinę. Bywały też takie pomysły, żeby upominać się o lepszy hotel.

Po jakimś czasie zaufani pracownicy między sobą używali terminu, który wprowadził ich światły przełożony: piłowanie konaru. W praktyce wyglądało to tak:

– Idę spytać, kiedy mi zapłacą, już 12. dzisiaj...

- Oj, piłujesz konar, na którym wszyscy siedzimy!
- Dziecko chore, muszę z nim do lekarza Albo mi dadzą jutro urlop na cały dzień, albo mam ponad sześćdziesiąt nadgodzin i przyjdę na dwunastą.
- Oj, konar, konar...

I tak do wyrzygania i zanudzenia. Jako że w każdym, nawet najgorszym miejscu świata ludzie wymyślą jakąś odskocznnię, coś z czego można się śmiać, tak też było i tutaj. Ponieważ ich życie toczyło się głównie w pracy, która była główną przyczyną ich wszystkich stresów i zmartwień, odskocznnię też znajdowali w wydurnianiu się z tejże. Wkrótce Badyński z Rydzem i Katią stali się wytrawnymi znawcami leśnictwa. Zgubiłeś długopis? Doniosę na ciebie, piłujesz nam konar. Wysłałem im dokumenty. To dobrze, pielęgnuj konar. Patrz, skończyłem to. O, nowe gałazki będą. Rzeczy absolutnie nieśmieszne dla nikogo, kto nie był z nimi zamknięty w pokoju i kto nie był poddawany każdego dnia tej paranoi i presji psychicznej. Jednak dla nich opowieści o konarze zaczynały stawać się formą utajonej rozrywki, bo przecież pod żadnym pozorem szanowne kierownictwo nie mogło wiedzieć, że mowa wyćwiczona z podręcznika pracodawcy spotyka się z kpiną i szyderstwem.

Spędzanie większości życia w warunkach niesprzyjających zdrowiu psychicznemu zbierało swoje żniwo w życiu prywatnym. Jak można wyjaśnić komuś, kto przynajmniej czasem może mieć przyjemność ze swojej pracy, że siedzi się kolejny dzień, tydzień, miesiąc w miejscu, gdzie jedyne, co można zyskać, to więcej pracy, więcej pogardy i więcej reprimend? Gdzie pełno jest dni, podczas których minuty dłużą się w godziny, zaś z rozpoczęciem każdej następnej godziny wydaje się, że tej już się nie uda przeżyć, że to będzie koniec, że padnie się i umrze. Pewną ucieczką było całkowite pograżenie się w pracy, ale po kilku miesiącach Badyński zrozumiał, że nie tędy droga – pozwalało to względnie na szybkie przeżycie pracy, ale zbierało swoje żniwo wieczorem. Senność nie do opanowania koło 22, kłopoty z koncentracją, ośpienie. Prawdopodobnie gdyby firma oferowała jakieś premie, to polecałby na to, skąpstwo i zachłanność nie były mu obce, ale gdy po jakichś dwóch miesiącach takiego tyrania dostał może ze dwie słowne pochwały, uznał, że nie warto. Szkoda życia, szkoda zdrowia. Powrócił do trybu częściowego pozorowania pracy, wprawdzie czas dłużył się niemiłosiernie, ale przynajmniej po wyjściu z zakładu nie zasypiało się w tramwaju, a z piątku na sobotę nie spało się czternastu godzin.

Jednak robota zbierała swoje żniwo. Efektami tejże była drażliwość i irytowanie się ludźmi, którzy opowiadali, jak to mają ciężko w robocie, bo przyszło im cztery godziny wypełniać formularze. Jeżeli Badyński nie był bardzo pijany, to nie mówił nic. Ponieważ zazwyczaj był, mówił wiele, głównie polecając, żeby sobie kiedyś przyszli i zobaczyli, jak się pracuje, jak wygląda

męka i zapierdol. Ludzie jednak zazwyczaj wypowiadali się z pewnym szacunkiem lub chociaż zrozumieniem o swych przełożonych, ewentualnie ich związki-zależności były dość luźne, nierzadko wolno im było mieć odmienne zdanie. Badyński przecież pracował u rodziny, więc miał Kanadę. Ludzie nie bardzo mogli zrozumieć, że w XXI wieku w kraju będącym częścią Unii Europejskiej są miejsca, gdzie nie można mówić tego, co się myśli. Ponieważ jest to sytuacja bardzo trudna do przyjęcia dla człowieka cywilizacji zachodu, zaczyna on zmieniać sposób myślenia, aż w końcu traci tyle, że nie pozostaje mu zbyt wiele. Godność towarzyska nie pozwala przyznać się, że nienawidzi się swojego życia, że każdy poranek przeklina się, iż udało się przeżyć noc, że chciałoby się przynajmniej coś złamać, bo te kilka godzin w szpitalu, a może i kilka dni, byłoby tym, czym były lazarety dla żołnierzy frontu pierwszej wojny światowej czy też szpitale dla osadzonych w GUŁagach. Tam ludzie potrafili sobie odrąbać palce, żeby mieć parę dni wytchnienia od pracy.

Badyński zastanawiał się, co jest w stanie zrobić, żeby nie iść więcej do najgorszego miejsca na świecie. Tak naprawdę sprawa była prosta, po prostu się zwolnić, ale sprawy proste były w XV wieku, nie po to ludzie dożyli XXI, żeby je ułatwiać. Sieć zależności, w jakiej się tkwi – finansowych, towarzyskich, społecznych – sprawia, że podjęcie decyzji, która powinna być czymś oczywistym, jest otoczone tak licznymi obwarowaniami, że niemal niemożliwe. Po pierwsze, nie będzie się miało na knajpy, kino, modne płyty i ciuchy. Po drugie, w piątkowy wieczór wszyscy jesteśmy wyluzowani i odpoczywamy, ale dobrze móc powiedzieć, co się zrobiło w tym tygodniu, jakie tabelki wypełniło, jakie maile wysłało. Po trzecie, jak ktoś nie pracuje, to jest nierobem, nieudacznikiem i osobą beznadziejnie niezaradną, bo przecież jak mu się nie podoba u kapitalisty, to może sam założyć firmę i odnieść wielki sukces jako wolny strzelec. W potylicę – dopowiadał sobie po cichu Badyński, słysząc takie pomysły od niejednego ze znajomych, zwłaszcza tych, którzy nie odróżniali VAT-u od podatku dochodowego. W końcu dzięki jedynej możliwej ścieżce rozwoju kraju można zakładać firmy w jednym okienku i w ciągu 30 minut zostać potężnym przedsiębiorcą, który rozdaje karty w biznesie. Tak mówili w radiu, telewizji, w gazecie i z trybuny sejmowej, a tam by na pewno nie kłamali!

Badyński początkowo wierzył, że z czasem uda mu się zniwelować liczbę obowiązków do sensownej ilości, ale mylił się, zobowiązań tylko przybywało. Do stanów krańcowego wkurwienia doprowadzało go dowiadywanie się od towarzyszek życia, że ma dobrze, bo zarabia więcej od niej. Tak kurwa, o jakieś 300 PLN, a ile ja zostawiam życia w pracy, a ile ty? O której wstaję, o której wracam? O której padam na pysk, o której wstaję? I jakie mam perspektywy, że to się odmieni? Ponieważ kłócenie się dołożone do tego całego dramatu dnia codziennego nie było najlepszym bonusem, Badyński

uczył się milczeć. Po jakimś czasie zaczął rozumieć, że na mniej więcej czymś takim polega szczęście w życiu osobistym – jesteś związany z osobą, która może i kłód pod nogi sama z siebie nie będzie ci rzucać, niemniej dołoży starań, żebyś przypadkiem nie wpadł na pomysł jakiejś przesadnej wolności. To się tak ładnie komponuje przecież, dokładnie tak, jak pokazują w gazetach, czasopiśmie i telewizji, rąbiesz w biurze od bladego świtu, żeby wrócić do domu na łono rodzinne (DORÓB DZIECKO!), gdzie spotkasz się ze swoją połowicą. Najlepiej, żebyście oboje rzygali ze zmęczenia, ale jeżeli to niemożliwe, to przynajmniej połowa z was, druga już ją omami. „Ależ to ciekawe, co mówisz, naprawdę tak zrobili?”. Nie, to wcale nieciekawe, ale przecież miłość ci tak nie powie, twa miłość cię rozumie, twą miłość irytują równie jak ciebie decyzje kierownictwa z dalekich stron świata, wprowadzie nie wie, czego dotyczą, ale co tam, rozumie i współczuje i to ty miałeś rację. Potem przychodzi twoja kolej (czasem bywa na odwrót). Ty stajesz się ostoją empatii i zrozumienia, teraz ty mówisz, że to jej szef jest głupim chujem. Potem pijecie butelkę wina z dyskontu, zarabiacie przy tym kilka złotych, normalnie taka butelka kosztuje 24,99, ale tylko dzisiaj udało wam się ją kupić za 19,99. Potem szybko do łóżka, jeżeli wystąpi korelacja erekcji i pożądania, to stosunek, jeżeli nie, to sen. Jeżeli organizm da radę, to do rana, jeżeli nie, to do kibla o 5. I witamy w kolejnym pięknym dniu twojego-waszego życia. Jeżeli nie było stosunku, można sprawę załatwić we własnym zakresie pod prysznicem i już w godzinę później (zależy od dystansu do pracy, mogą być i dwie godziny) zasiąść przy biurku, by rozpocząć kolejny ekscytujący poranek reszty egzystencji.

Badyński próbował wmówić sobie, że to z nim coś jest nie tak. Że przecież miliony wstają o poranku, idą do pracy i jakoś to znoszą, więc o co chodzi? Co z nim jest nie tak? Przychodzi do ładnego budynku na przedmieściach, niedaleko od domu. Siedzi w pokoju z ludźmi, których część lubi, część akceptuje. Przełożeni są piętro niżej. Robota sama w sobie jest trochę durna, ale raczej prosta. Jest jej dużo, ale gdyby się zmusić, dałoby się ogarnąć. Inni siedzą w szklanych wieżowcach, gdzie nad sobą mają cały czas przełożonych. Zero wolności, a tu przecież miał i mieli jej tyle!

Dopiero po kilku miesiącach zrozumiał: ci ludzie nie pracują w firmie o rodzinnej atmosferze. O ile łatwiej jest po prostu przyjść i pracować, niż przyjść, pracować i być wspaniałym, śmiać się, gdy trzeba, a kiedy indziej posypać głowę popiołem, że ma się złe buty. Jakże proste jest życie, gdy wszystkich obowiązują te same zasady, a o ileż trudniejsze, gdy każdego dnia trzeba zastanawiać się, czy można sobie było pozwolić – na tekst, na ubranie koszulki, na dłuższy obiad, na rozmowę telefoniczną. Czy należy wpisać w *timesheet*, że spędziło się 15 minut, rozmawiając z bankiem? Z jednej strony może zostać to dobrze odebrane, jako szczerość. Z drugiej: bardzo źle, jako

marnotrawienie czasu pracodawcy. Nie wystarczyło zastanowić się nad humorem Boga danego dnia, trzeba było antycypować jego humor w momencie, gdy zobaczy *timesheeta*. Przy tej zabawie rosyjska ruletka wydawała się stosunkowo uczciwa, więc Badyński szybko zrozumiał, że chociaż prawda nas wyzwoli, to lepiej kłamać. Prawda to była taka ruska gazeta, teraz inne tytuły cieszą się poczytnością na rynku.

Dla innych pracowników tydzień kończył się w piątek o 17. Wtedy Badyński przechodził w tryb weekendowy. W tymże miał gwarantowaną przynajmniej jedną wizytę pana prezesa z dziewczoną i dziecieniem. Wspólny obiad, ewentualnie wspólne wino (gwarantowane jeżeli sam je kupił). Włączony telewizor na najbardziej idiotyczne kanały informacyjno-rozrywkowe.

Dla kogoś, kto nie ogląda telewizji, kontakt z nią jest nierzadko zabójczy. Taka ilość głupoty, idiotyzmów, bezwartościowych wiadomości, reklam i wrzasków w pełnym kolorze i stereo (dla niektórych w 5.1) sprawia, że człowiek zastanawia się, dlaczego ktoś miałby dobrowolnie na to patrzeć. Obrazy z *Mechanicznej pomarańczy* wydają się przy tym całkiem przyjemnym sposobem spędzania czasu. Tam przynajmniej nie było prezenterów czytających dowcipy z białej karteczki. Jednak Badyński musiał przyznać, że telewizja okazywała się zbawienna, gdyż dostarczała tematów do rozmów. Z przykrością stwierdzał, iż te ograniczone są do:

- pracy;
- polityki;
- sportu;
- programu TV.

Najczęściej zaś były owocem kilku czynników. Im więcej spotkań miało miejsce, tym bardziej Badyński odkrywał, że jego wuj bardzo dobrze wie, jak powinna wyglądać praca i płaca. Opowiadał o tym na forum rodzinnym, zakładając, że Badyński niczego nie sprostuje, a nawet wesprze w kłamstwie. Badyński nie czuł się w pozycji wyboru, talent do opowieści miał, więc wspierał krewniaka w kreowaniu świata marzeń. Gdy dużo potem o tym myślał zastanawiał się, co działało. Wyszło mu, że brak odwagi do przyznania się przed samym sobą, w jak strasznym gnoju jest. Spadał w dół z dziesiątego piętra, ale mijając dziewiąte, mówił sobie, że nie jest tak źle. Przy szóstym powtarzał sobie, że przecież jest nawet dobrze. Ciekawe, ile takich kolonii karnych bazuje na wierze w to, że człowiek prędzej zacznie zabijać, niż pozwoli sobie powiedzieć prawdę. A prawda jest jedna i smutna: marnujesz każdy dzień życia, by ktoś inny coś miał. Siedzisz i patrzysz, jak inni jedzą tort. Dostajesz nawet nie ochłapy, a sztucce do wylizania, chociaż i na to zdarza się nie załapać. Rujnujesz swoje zdrowie fizyczne i psychiczne, pozbawiasz się

życia towarzyskiego i popełniasz największą z możliwych zbrodni, bo niszczysz siebie, degenerujesz się. Twoje zainteresowania stają się nędzne i prostackie, zwyczajnie chamiejesz.

Jednak większość ma od tego ucieczkę: spotkanie z rodziną. Tam mogą sobie powiedzieć, że ich szef to kutas, że znowu kazali siedzieć do nocy, że znowu źle zapłacili. Rodzina poklepie po plecach, zrozumie, pocieszy. Badyński nie miał tej opcji, w każde święto miał do czynienia z panem prezesem. Zazdrościł innym, bardzo im zazdrościł. Mówił sobie, że wielkiego wyboru nie ma, że pozwala mu to na jakieś tam życie, coś tam odkłada, ma trochę planów, że idzie na rozsądny kompromis. Ludzie przymuszeni do pracy zabijali się w GUŁagach, a co dopiero, gdyby im przyszło zgadzać się na GUŁag każdego dnia i iść do niego ochotniczo? Tej opcji światowa psychiatria nie przewidziała i nie przygotowała środków zaradczych. Lub też tkwiła w spisku zawiązanym z beneficjentami takiego stanu rzeczy: och tak, wypalenie zawodowe, to się zdarza, proszę się nie przejmować. Ależ nie, proszę nie jechać na urlop, tylko się pan zdekoncentruje, proszę rzucić się w wir pracy, to w tym tak naprawdę pan się odnajdzie!

Badyński starał się znaleźć oparcie gdzie indziej, jednak pośród znajomych zazwyczaj nie znajdował zrozumienia. Z małymi wyjątkami, traktowali go, jakby się obudził w dorosłym życiu i był zdziwiony, że to tak wygląda. Badyński przypominał sobie wiersz Baczyńskiego z liceum, o tym, jakoby powstańcy warszawscy zazdrościli psom. Upodlenie człowieka – głosiła oficjalna interpretacja. Myślał sobie, że z psami to nie, ale gdyby mógł zamienić się ze swoim kotem, to chętnie by to zrobił. Kot nie ma złego życia, niby z jednej strony nigdy nie będzie mu dane czytać wierszy Rilkego, z drugiej jednak nigdy nie będzie miał poczucia marnowania swej egzystencji. Ale nie wygłupiajmy się, kot może się wyspać i kot nie musi przytakiwać głupotom. To niewątpliwe szczęście, o wiele większe, niż może być dane człowiekowi pracy XXI wieku – myślał Badyński, patrząc na irytująco bezstresowe życie swego wiekowego pupila.

Badyński wiele się zastanawiał, bo całe życie miewał takie ciagoty, jednak po raz pierwszy dotarł do miejsca, gdzie wiedział, że zastanawianie się nie jest dobrym pomysłem i może rodzić jedynie grobowe nastroje. Miał jednak taką częstą, natrętą myśl, dyżurne zadumanie: w którym momencie człowiek, którego znał, stał się tym, kim jest? Jakby wyparł się swojej wiedzy, został fanatykiem wolnego rynku w edycji XIX-wiecznej i tylko przeklinał tych, którzy śmia mówić o czymś innym, a nie daj boże żebrać o więcej w tym modelu rozwoju. Opowiadał bzdury o roli państwa, sądy całkowicie nieoparte o żadne doświadczenia empiryczne.

– Gdyby wszyscy uczciwie płacili podatki, to wystarczyłoby, żeby każdy oddał 200 PLN i państwo by funkcjonowało. Sprywatyzować należy

wszystko, może poza wojskiem i policją.

Badyński próbował dyskutować, ale z tym się po prostu nie dało. O ile w pracy poglądy pana prezesa ulegały stonowaniu, o tyle w rodzinnym ognisku rozkwitały ze zwielokrotnioną siłą. Gdy oglądali mecz, na boisku roilo się od asfaltów i kto to widział asfalt na trawie. Chociaż czasem asfalt strzelał bramkę dla dobrej drużyny, wówczas stawał się dobrym asfaltem. Jednak jeszcze większy dramat działał się przy oglądaniu filmów. Badyński mógł obserwować przypadek człowieka, który zdebiłał, kogoś, kto jeszcze 10 lat temu mógł dokonać niezłej analizy dzieła filmowego, ale obecnie nudziło go wszystko, w czym nie było liniowej fabuły i wybuchów co 10 minut. Najsmutniejsze było słuchanie autorytarnych sądów pana prezesa: *Biała wstążka* to gówno, a ten Haneke to jakiś kretyn. *Parnassus* to najgorszy film świata. Dobre filmy to komedie i sensacje, *Eagle Eye* i *Nędzne psy*. W pewne święto po druzgocącej dawce rewelacji ze świata filmu Badyński doznał olśnienia: to dla takich ludzi robi się reklamy. To dla nich kręci się te wszystkie seriale, *Ojców Mateuszów*, *Plebanie*, *Rancza*. To oni mają pieniądze i determinują, co reszta ogląda. Sprzedaje im się markę i prestiż z nadzieją, że gdy wystarczającą ilość razy zobaczą logo Mercedesa, to sobie go kupią. Przy okazji niech oglądają i inne logotypy. Badyńskiemu zawsze wydawało się, że ten szalejący debilizm to byli jacyś rolnicy-górnicy, ale mylił się! Ta głupota wcale nie sadyła marchewki, nie, ta głupota była wykształcona i z dużego miasta, i zatrudniała powyżej kilkorga pracowników. Mówiła w kilku językach, miała doktorat i przez to stała się głupotą wybitnie groźną, bo przeświadczoną o swym geniuszu i mającym nawet na niego oficjalne dokumenty.

Struktura wiekowa firmy była zdecydowanie otwarta na młodych, dynamicznych i ambitnych ludzi. Patrząc po dokumentach, mogłoby się wydawać, iż hasło „nie ufaj nikomu powyżej trzydziestki” znalazło specjalny oddźwięk w polityce kadrowej najlepszej firmy świata. Nadszedł i taki dzień, że Badyński zadał sobie pytanie: dlaczego? Miał na nie kilka odpowiedzi. Po pierwsze, ludzie mniej doświadczeni są bardziej podatni na manipulacje, są też mniej roszczeniowi i arogancy. Po drugie, mają więcej zapału i wiary w sprawę, a co im się wstawi w miejscu słowa sprawa, to już wybór wodza. Po trzecie, jeżeli przespało się czasy licealno-studenckie i zamiast chodzić na libacje uczyło się, to kiedy ma być czas, żeby sobie to odebrać, jak nie w okolicach pięćdziesiątki? Jeżeli miało się umiarkowanie udane życie w tematach uczuciowych i poza rodziną nie znalazło się wielu kandydatów do obdarzenia uczuciem, kumple kazali spierdalać, a jeszcze dosadniej czyniły to dziewczyny, to cóż może być lepszego, niż otoczyć się kumplami i pannami i cieszyć drugą młodością? O tyle lepszą, że w tej jest się królem życia i wszystkich imprez. Ba, zwołuje się wszystkie i decyduje o ich początku i końcu. Zebrani nie mają wyboru, muszą śmiać się z dowcipów, dziewczynki

zaś same się przymilają. Jedni robią to z potrzeby socjalnej akceptacji, inni z nadzieją, że jeżeli dobrze zabawią szefa, to wyrwą więcej wolnego od pracy. Inni trochę się gubią, bo w sumie chętnie by się napili i pożartowali, ale nie bardzo widzą, żeby im tak bardzo na tym zależało, by bredzić od rzeczy i mówić rzeczy, po wypowiedzeniu których musieliby sobie pluć w lustro podczas golenia. Inni zazwyczaj kończyli, siedząc nieco na uboczu i rozmawiając o rzeczach trochę bardziej abstrakcyjnych. Starali się przypadkiem nie słyszeć błyskotliwych one-liner'ów szefa. Główny problem polegał na tym, że słyszeli je już tyle razy, że nawet udawanie śmiechu przerastało ich możliwości. Opowieści o tym, czego dokonał w życiu i jak to ludzi za nos wodził, nie byłyby nawet takie złe, gdyby nie powtarzały się co imprezę. Tu wyszydził wojsko, tu ubecję, tam komisję lekarską, król życia, zaszczyt pracować u takiego. Tylko czy bycie tak zajebistym wymaga tak niesamowitych ilości opowieści o tym? Co gorsza, miłość do młodszych pokoleń nie zawsze była odwzajemniona, a raczej gubiła się sama w sobie.

- O czym tak chłopaki gadacie?
- O tym, że Mila Kunis jest wspaniała.
- Kto?
- Drugi plan z *Czarnego łabędzia*.
- To ja nie wiem.

A my wiedzieliśmy i właśnie nie bardzo nam się marzyło przerywanie tematu na wyjaśnianie jego podstaw. Albo wiesz, albo nie. Jeden, możesz się zaprosić, dwa raczej nie ma opcji. Trzy, prezes kończy imprezę. Wracamy do pracy. Pozostaje myśleć, czy dwie godziny w kuchni to była dobra impreza. Jedzenie i wino kupowało się pod niego, ale czy to wystarczyło? Dla niektórych pracowników był to najważniejszy temat, co tam czyjeś urodziny, ale czy prezesowi się podobało? Bo jak nie, to może zostać uznanym (całkowicie bezosobowo), że zjebaliśmy dwie godziny pracy. No a dwie godziny razy wszyscy zatrudnieni to się robi tydzień! Straty nie do odrobienia. Tak więc wszyscy kupowali karnie czerwone wytrawne (najlepiej chilijskie), nikt nie przynosił ryb i jajek, również z sałatkami nie należało się wychylać. Oczywiście dużo słodocy. Magią imprez pracowniczych było jednak co innego: nie można było ich wpisywać do *timesheetów*, więc jeżeli na imprezie spędzono dwie godziny, to wychodziło jakieś sześć godzin pracy, więc zjadało nadgodziny. Przez jakiś czas Badyński i spółka myśleli o tym, ale potem uznali, że skoro i tak nikt nie płaci za nadgodziny („nie ma takiej praktyki”) ani nie są one zwracane w formie urlopu, to co tam. Niemniej praktyka dobra w swych założeniach, jeżeli trafiał się miesiąc bardziej obfity w celebracje, wówczas dodatkowy czas pracy topniał w oczach, a co ważniejsze, topniał w *timesheecie*.

Nieodzowną częścią rodzinnej atmosfery były wspólne posiłki. Nigdy nie udało ustalić się statusu śniadań, czy można je spożywać w pracy, czy też nie, polityka niedopowiedzeń pozwalała zawsze komuś zwrócić uwagę, gdy akurat kierownictwo miało zły humor, lub wręcz przeciwnie, przysiąść się i pożartować, gdy miało dobry. Ostateczne ustalenia były takie, że czasem można, niemniej czasem nie. Wiązało się to z tym, że nigdy nie było jasne, czy należy zjeść śniadanie w domu, czy też poczekać z tym i spożyć je, ciesząc się spontanicznie towarzystwem współpracowników i kierownictwa. Badyński opracował następującą taktykę: sprawdzał, czy śniadanie jest wspólnie spożywane. Jeżeli było, dołączał i konsumował. Jeżeli nie, szedł do swojej celi i jadł dopiero tam, w ukryciu. Z czasem rozwinął zdolności w tym zakresie tak dalece, że potrafił robić kanapki w szufladzie biurka, wliczając w to krojenie pomidora i ogórka.

Całkiem inaczej miała się sprawa z obiadami. Tu sytuacja była wyjątkowo jasna, wszyscy jedli w godzinach pracy, które oczywiście były odliczane od czasu tejże. Podobno kiedyś było inaczej, ale z powodu Lidki dołożono wszystkim 30 minut do dziennego wymiaru godzin, co równało się przychodzeniu na 8:30. Po zwolnieniu Lidki Badyński próbował lobbować za tym, że skoro już nie ma głównej winowajczyni i osoby, która najdłużej ze wszystkich jadła posiłki (tym samym marnując czas pracodawcy), to może udałoby się przywrócić godzinę 9:00 jako start pracy? Badyński jeszcze nie rozumiał, że co raz zostało pracownikowi zabrane, nigdy mu oddane nie będzie, a już na pewno nie na głupawą prośbę-zachciewajkę, rzuconą tak sobie podczas jakiejś luźnej rozmowy. Dowiedział się, że tak jest dobrze i wszystkim pasuje. Nie udało się ustalić personaliów wszystkich, udało się za to stwierdzić, że pasuje to kierownictwu, natomiast nie pasuje pracownikom. Będąc przegłosowanymi 2 do jakichś 20, pracownicy zgodzili się z rezultatem demokracji firmy rodzinnej.

Ustalonej godziny obiadowej nie było, niemniej zazwyczaj w okolicach 14 spotykano się w kuchni. Jedni dostawali dania zamówione od zewnętrznych firm cateringowych, inni jedli, co przynieśli. Oferta dostępnych firm była cały rok taka sama. Badyński spróbował paru ich dań, raz się porzygał i po tym uznał, że nigdy więcej. Złamał wprawdzie potem swe postanowienie dwa razy, ale jednak pozostał fanem kuchni domowej lub też chemicznej. Pierwsza obejmowała dania przygotowywane mu przez matkę lub dziewczynę, druga zaś zalewane zupki z torebki. Pierwsze bywały cudowne, drugie koszarne, ale przygotowanie niczego innego nie wchodziło w rachubę. Gdy widział obracające się styropianowe pudełka w kuchence mikrofalowej, myślał sobie, że za dwadzieścia lat w takiej samej firmie będzie się siedziało i pracowało nad lekiem na głębokie stadium raka związane ze związkami wydzielanymi przez styropian pod wpływem działania mikrofal. Początkowo czuł się nędzarzem,

bo jego zarobki nie pozwalały na zakup posiłków z firmy zewnętrznej (jeżeli masz 1100 na miesiąc, to nie bardzo chcesz wydać jakichś 300 PLN na jedzenie w pracy), ale jeszcze śp. Lidka zrobiła niegdyś wykład o zaletach jedzenia domowego i wadach cateringowego i przestał się czuć absolutnym nędzarzem, a raczej awangardą zdrowego jedzenia. Po jakimś czasie zrozumiał, że to nie on jest nędzarzem. Okazało się, że był całkiem majątny, bo to większość osób nie miała nikogo, kto chciałby im zrobić posiłek do pracy i że za jakieś naście złotych musieli jeść coś, co przygotował kucharz wkurwiony na świat tak jak i oni. Firmy cateringowe z pewnością myślały o wielu rzeczach, ale na pewno nie o tym, żeby ich klienci dobrze zjedli. Niewidzialna ręka wolnego ręką sprawiła, że dostępni dostawcy jadła sprowadzili ceny do raczej wygórowanych, a jakoś do niskiej.

Po tych ustaleniach Badyński z dumą prezentował dania, które dostawał od dziewczyny lub matki. Jemu obracało się plastikowe pudełko, nie styropianowe. Jednak obiady najmniej wspólnego miały z jedzeniem. O wiele bardziej były związane one z tym, co ludzie mówili w ich trakcie. Oczywiście najważniejsze było to, co mówił pan prezes, należało wpisać się w ton jego mowy. Jeżeli przeklinał ludzi z Zachodu i mówił, że są pojebani, należało wykazać, że nawet nie wie on, jak bardzo są oni pojebani i jak bardzo obciążają naszą firmę swoimi nonsensownymi żądaniami, marnują czas pracowników i są ogólnie beznadziejni. Jeżeli pan prezes żartował, należało śmiać się razem z nim i jego najwierniejszymi akolitami, w miarę możliwości dorzucić żart uzupełniający, aczkolwiek gorszy niż żart przewodniczącego. Za wyjątkowo nieprofesjonalne uznawane było dorzucanie żartów z innej bajki, a już najgorzej postrzegano lepsze anegdoty. W ten sposób pan prezes mógł leczyć swoje kompleksy związane z byciem nielubianym przez rówieśników w szkole podstawowej i średniej. Zapewne grupa psychologów z USA wykazałaby, że ma to cudowny wpływ terapeutyczny na jego poczucie pewności siebie, ale dla Badyńskiego sprawy miały się następująco: jego chrzestny wygadywał bzdury i chwalał niebiosom, gdy były to tylko bzdury. Niestety, często były one dodatkowo nacechowane rasistowsko i/lub seksistowsko. Ponieważ większość zebranych śmiała się z nich ochoczo, Badyńskiego naszło kilka zestawów myśli:

- jego współpracownicy to prymitywni idioci, dla których słowa asfalt, pedał i żółty były same w sobie dobrym dowcipem;
- jego współpracownicy są mądrzejsi od pana prezesa na tyle, żeby udawać, że słowa asfalt, pedał i żółty są same w sobie dobrym dowcipem;
- jego współpracownicy będą się śmiali, gdy śmieje się najważniejsza

osoba świata, czyli pan prezes, niezależnie od tego, czy cokolwiek z tego wszystkiego rozumieją.

Im bardziej zagłębiali się w ten obłęd, tym rzadziej Badyński i Rydz zmuszali się do śmiechu. Nie było nawet tak ciężko skryć się w tłumie wyznawców, którzy zalewali się łzami radości na pokaz. Badyński też się czasem zalewał łzami, chociaż nie było związane to z dobrą zabawą, raczej z tak zwanym żalem. Badyńskiemu po prostu było żal, i to tak wielu rzeczy, że nie wiedział, nad czym akurat płakać, czy nad dziewczynkami, które głośno krzyczą, że poszłyby za panem prezesem w przepaść, czy nad samym panem prezesem – człowiekiem, który znęca się nad nim i w rozciągniętym swetrze mówi mu, że mógł lepiej dobrać kolor koszuli i musi zmienić buty. W końcu stwierdził, że najlepiej będzie, jeżeli zapłacze nad samym sobą i tym, jak też wygląda jego życie.

W kontekście posiłków dobrze postrzegane było przynoszenie słodczy. Wprawdzie wszyscy byli na diecie, ale „ach, Dorciu, to tak smakowicie wygląda, naprawdę sama upiekłaś?” wystarczało za usprawiedliwienie. Pan prezes nie był na diecie. No cóż, był przez chwilę, jakieś trzy dni, okazało się, że ta jest bez sensu, więc odwołał się do swojej wiedzy medycznej, która jasno mówiła, że może jeść ciastka i tłuste sosy. Większość składu jednak czytała popularne książki z działu „Polecamy” Empik-u i wiedziała, że aby schudnąć, należy zjeść nieco mniej. Przez długi czas Badyński był jedynym wegetarianinem w całym składzie biurowym, co związane było z wieloma pytaniami. Odpowiadał na nie średnio raz w tygodniu.

– A czy nie masz ochoty na karkówkę? A jak ty możesz żyć? Ale nawet kurczaka nie jesz? Ale moja mama robi takiego dobrego kurczaka ze śliwkami, że ja przyniosę i od razu zaczniesz być normalny.

Ja pierdolę, na Bliskim Wschodzie mniej mężczyli z mięsem niż wy – myślał Badyński odpowiadając po raz setny na ten zestaw pytań. Wiedział, że nikt mu nie wierzył, że mógł dobrowolnie wyrzec się mięsa, domyślał się, że dopisywano to do katalogu jego lewackich przekonań, ale coraz częściej interesowało go tylko, aby w końcu mieć święty spokój i nie rozwodzić się nad tym, że nie umiera, nie żrąc mięsa, od którego szczerze go odrzucało. Zresztą każdego konesera mięsa również by w takiej sytuacji odrzucało.

Inną poezją posiłków byli pracownicy tacy jak Zbigniew, którzy byli zdeterminowani dobrze się odżywiać. Po paru gryzach jedzenia ze styropianowego pudełka, oznajmiał on zebrany, że tego się nie da jeść i demonstracyjnie wyrzucał jakieś 2/3 porcji do kosza na śmieci, krzycząc, że to syf i że nigdy więcej nic stamtąd nie zamówi. Ponieważ biuro znajdowało się w zasięgu rażenia jakichś trzech lokali, po paru dniach kończyły mu się opcje i musiał powrócić do wielokrotnie skreślanych miejsc. Zresztą zamawianie

posiłku to była cała procedura, jeszcze o poranku ktoś decydował o tym, że należy zamówić jedzenie, wykonywał serię telefonów linią wewnętrzną (bezpłatną) i zbierał zamówienia. Ewentualnie przechodził całe biuro i spisywał, co też kto chce. Pozwalało to na kilkanaście minut absolutnie dozwolonej rozmowy o tym, którzy są lepsi, a którzy gorsi i czy czymś się w ogóle to wszystko między sobą różni. Standardowa, nonsensowna rozmowa, którą można odbywać każdego dnia z braku innych tematów.

Badyńskiego cechowały poglądy, które klasyfikowano jako lewicowe, raczej po to, aby nie określać ich lewackimi. Objawiały się one tym, że zdarzało mu się powiedzieć coś na temat wyrzucania jedzenia w obliczu tego, że jest parę osób na tej planecie, które nie mają czego zjeść. Na szczęście wszyscy wiedzieli, że mieszkający tam są sami sobie winni i gdyby się zabrali do roboty, to nie byłoby głodu, a dobrobyt. Powinni stworzyć sektor usług i w nim się zatrudnić. To było rozwiązanie wszystkich problemów. Również bezrobocie w Polsce uważano za fikcję, to po prostu ludzie, którym się nie chce pracować. W razie kwestionowania tychże racji, u boku pana prezesa zawsze była pani Grażyna, która gotowa była służyć opowieścią o tym, jak to potrzebowała wywieźć śmieci i poszła do pijących pod sklepem, zaoferowała pracę, a oni odmówili. Pewnego dnia rozwiązali z Rydzem tę zagadkę: zaoferowała im takie pieniądze, że po prostu uznali, że im się to nie opłaca. Poglądy neoliberalne były jedynymi słusznymi i szeroko propagowanymi. Uważano, że dzięki pracy w najlepszej firmie świata, wszyscy zostaną neokonserwatystami, gdyż widząc, jak dobrze działa wolny rynek, wyzbędą się ewentualnych odchyłeń trockistowskich i bucharinowskich. O ile niektórzy zdawali się faktycznie kupować tę wizję świata, o tyle Badyńskiemu wskazówki socjalizmu wychylały się poza skalę i z każdym dniem rozumiał coraz lepiej, że kapitalizm w wydaniu, w którym ma przyjemność uczestniczyć, sprowadza się do tego, że aby parę osób miało dobrze, o wiele więcej musi mieć źle. Im dłużej tam siedział, tym więcej dostrzegał tego objawów. Wierchuszka nie robiła nadgodzin, do tego, gdy nie miała nastroju, nie odbijała karty punktualnie. Zawsze była wyspana i wypoczęta, do tego świetnie zorientowana w wiadomościach z portali informacyjnych. Kierownictwo miało pokaźne ilości nieruchomości i ruchomości, zaś pracownicy szeregowi mogli albo oddać się przyjemności wynajmu i jeździć autobusem (ewentualnie autem służbowym), albo założyć sobie kredytową pętlę na szyję. Rydz z Badyńskim zastanawiali się bardzo intensywnie, jakich rozmiarów są różnice w zarobkach, ale był to sekret pilniej strzeżony niż sowieckie kody do rakiet nuklearnych.

Otoczenie się mądrymi dziewczynkami, które nie odróżniały Iraku od Iranu, owocowało tym, że urobienie ich na modłę jakiegokolwiek ideologii było łatwiejsze niż agitowanie kronsztadzkiego marynarza przez Lenina. Wielu z pracowników miało dodatkową zaletę: nie odróżniało netto od brutto,

a kwestie takie jak podatek dochodowy, ubezpieczenie zdrowotne czy składki emerytalne były im równie obce jak twórczość Dostojewskiego. Dzięki swemu samozatrudnieniu Badyński szybko zgłębiał temat podatków w ojczyźnie. Zdarzyło mu się nawet podnieść tę kwestię, ale na to odpowiedź była zawsze jedna:

– To państwo cię okrada. Gdyby nie podatki, zarabiałbyś o wiele więcej.

W okresie naiwnym, czyli pierwszych kilku miesięcy, Badyński próbował klarować, że wszystkie kraje pobierają jakieś podatki, jedne mniejsze, inne większe, tak się akurat złożyło, że Polska większe, do tego sposoby inwestowania pieniędzy zabranych obywatelom potrafią zadziwiać. Dowiadywał się wówczas, że wszyscy powinni płacić pogłówne, że Korwin-Mikke wyliczył, że gdyby tak było, to wtedy płaciłoby się około dwustu złotych miesięcznie i spokojnie wystarczyłoby to na utrzymanie służby zdrowia, emerytury, żłobki, przedszkola, szkoły i uniwersytety. Ponieważ niestety nikt nie chce zdecydować się na ten krok, przez to działalność firm (np. takiej jak ta ich) jest utrudniana i ciemieżona różnymi daninami na rzecz państwa. Argumenty o tym, że jak wszyscy siedzą przy stole, to jakieś 90% zebranych odebrało darmowe studia wyższe, były gaszone tym, że tak było kiedyś, teraz jednak wszyscy powinni płacić za wykształcenie, i to od poziomu żłobka. Badyński jasno widział, że żłobek to jedno, ale żłób, do którego dorwał się jego krewniak, skutecznie rozmienił zawartość jego mózgownicy na drobne. A raczej bardzo grube.

*Wolność, po co wam wolność?
Macie przecież telewizję!*

Badyński spędził parę miesięcy na remoncie części parteru swojego domu. Z totalnego zagrzenia i kompletnej ruiny doprowadził niemałe pomieszczenie do stanu dość wygodnej używalności. Robił to w dużej mierze dla siebie, w dwojakim tego słowa znaczeniu – po pierwsze chciał mieć tę przestrzeń. Po drugie, kilka godzin pracy fizycznej przy dźwiękach muzyki po godzinach odmóżdżającego siedzenia nad formularzami pomagało mu odpocząć i rozruszać się. Tak się przypadkiem złożyło, że w ich gospodarstwie domowym pojawił się nowy telewizor. To był idealny telewizor, dokładnie taki, na jaki ludzie biorą kredyty konsumenckie, płaski i z dużą przekątną ekranu. W efekcie poprzedni model wywędrował na parter, do nowej siedziby Badyńskiego.

Gdy jego ojciec chrzestny zobaczył efekt jego remontu, z uznaniem pokiwał głową i zaproponował:

– Ej, ale czemu będziesz oglądał z takiego starego? Weź, kup takie LCD jak na górze, od razu lepiej będzie.

Badyński chciał zapytać: za kurwa co??? Za moją wypłatę??? To chyba z kredytem na dwa lata. Nie powiedział nic, ale śmiał się jeszcze parę dni później na myśl o tym, że ze swoich zarobków mógłby kupić drugi taki telewizor. Po to, żeby oglądać telewizję stworzoną na wasze podobieństwo? Tak, wiem, sprzedacie godność, sprzedacie uczciwość, żeby kupić większy telewizor, ale ja jeszcze nie. Już dobrze wam idzie urabianie mnie, ale jednak nie aż tak dobrze. Ludzi od zwierząt różni kilka rzeczy, na przykład wolna wola i pieniądze. Badyński zaczynał coraz częściej zastanawiać się nad jednym i drugim, a wnioski, do których dochodził, podobały mu się coraz mniej. Jego życie stawało się nieprzerwanym łańcuchem poniżeń, od tej chwili, gdy otwierał oczy i zaczynał słyszeć, aż do momentu zapadnięcia w dobroczynny sen. Okazywało się, że można czynić podłości i żyć, nawet całkiem dobrze się z tym czuć i jeszcze lepiej na tym wychodzić. Można kłamać i żyć, można obiecywać i nie dotrzymując obietnic mimo wszystko żyć. Można przepić pieniądze kolegi, można wypraszać datki i żyć. Można pluć komuś w twarz i pytać go, jakie dzisiaj będą opady. Jednak najbardziej męczyło Badyńskiego to, że na płucie w twarz odpowiadał prognozą pogody. Szybko uczył się wygaszać zdrowy rozsądek i poczucie godności na rzecz wartości promowanych przez firmę. Czyli pieniędzy. Pieniądzy dla pana prezesa. Szeregowy pracownik mógł sobie wypruć żyły i w ostatecznym rzucie wspaniałomyślności kierownictwa zostać poklepanym po plecach. Żądanie choćby złotówki ponad regulaminową wypłatę związane było z przejściem do obozu roszczeniowych i aroganckich pracowników, czyli z perspektywą zdecydowanie krótkoterminową. Pan prezes był odcytany i potrafił prowadzić rozmowy z pracownikami (najlepiej z tymi, którzy nie mogli odpowiedzieć), by nieliczni zamknęli swe żądne życia ryje.

Nastał jednak wielki dzień, dzień AGM-u. Skrót oznacza Annual General Meeting, wszyscy pracownicy firmy (niektórzy z osobami towarzyszącymi) mieli wspólnie spędzić weekend, wspaniale się bawić i pogłębić swe rodzinne więzi z firmą. Zaczęło się dość niefortunnie, zapytano pracowników o zdanie. Większość wypowiedziała się, że chce, żeby to było blisko i możliwie szybko, tak pod względem terminu organizacji, jak i czasu trwania. Okazało się, że to wszystko są złe odpowiedzi. Po zebraniu opinii pracobiorców, orzeczono, iż AGM odbędzie się w dniach XX października na Mazurach. Obecność obowiązkowa.

Na niektórych padł blady strach. Ktoś miał jakiś egzamin, ktoś inny chciał jechać prywatnie nie na Mazury. Badyński odkrył, że termin pokrywa się z imieninami jego dziewczoi, niemniej wiedział, że lepiej nic nie mówić – opierdolą go, że mógł sobie znaleźć taką, która ma imieniny kiedy indziej i że

przecież wiadomo, jak współcześnie ciężko o pracę, a biorąc pod uwagę jego fatalne wyniki... Więc niech nie narzeka i niech się pakuje, przygotowuje aparat do robienia pamiątkowych zdjęć i tyle.

Badyński miał na koncie różne obłąkane pomysły turystyczne, niemniej ciągnąć się cały dzień, żeby przyjechać na noc, spędzić następny dzień na miejscu, by kolejnego wracać, to było coś nowego. Gdyby tam chociaż coś było, a to tylko jezioro. Nawet wizja tego, że będzie to wszystko za tak zwane darmo, nie mogła przemówić do jego umysłu. Niemniej już wiedział, że lepiej zbyt wiele nie mówić i tylko akceptować gnój, którym rzucą mu w twarz. Rozsądnie udawał więc radość i z entuzjazmem chłonał opowieści o tym, jak to bawiono się w latach ubiegłych. Opowieści te sprzedawało oczywiście kierownictwo i Zbigniew. Wyłaniał się z nich obraz libacji rodem z akademika. Tylko, czy żebyśmy popili i się powydurniali, musimy jechać taki kawał drogi? – zastanawiali się dyskretnie.

Nadszedł jednak wielki, z dawna oczekiwany dzień, 20 października, szczęśliwie piątek, przynajmniej jeden dzień z pracy odpadnie, chociaż za cenę dwóch wolnych – niby kiepski interes, ale po pierwsze oferta z cyklu „nie do odrzucenia”, a po drugie mogli kazać pracować i w piątek, a wyjazd zarządzić dopiero o 17. Przybyli pracownicy z dalekich stron kraju, zapakowali się wszyscy do autobusu i ruszyli. Szybko okazało się, że o niezbędnym rekwizycie na wyprawie pomyślał tylko Badyński, więc jego 0,7 Wyborowej poszło w ciągu jakiejś godziny, pić nauczył się każdy, kupować już nie. Jednak władza mile zaskoczyła, na pierwszym postoju nabyła pokaźne zasoby, i to Finlandii. No, na Fince to już się jechało, to były toasty, hektolitry wódki. Z małą przerwą na obiad na jakimś zadupiu. Rozmowy nabierały tempa, Badyński słuchał i zaczynał rozumieć: to nie jest tak, że jest otoczony przez mądrych ludzi, którzy schlebiają prymitywowi. To jest tak, że jest otoczony przez schamiałe jednostki z certyfikatami jakości różnych polskich uniwersytetów, którym przewodzi wcale nie największy baran z zebranych, są więksi. Niektóre wymiany zdań były takimi festiwalami rasizmu, ksenofobii i stereotypów, że Badyński podejrzewał ukrytą kamerę. Starał trzymać się nerwy na wodzy, ale gdy hasła dotyczące Romów zaczęły przebijać te znane z III Rzeszy, nie wytrzymał i zrobił popis wiedzy, sposób działający na debili najlepiej. Rzucił dużo dat i faktów, których ja w ogóle nie znam, to lepiej się nie kłócić, ale ja wiem, że ich trzeba wyrzucić z Europy.

Badyńskiemu film urwał się w okolicach 16. Obudzili go koło 19 i wiedział, że jest w stanie równym bogom. Najpierw wypadł z autobusu mordą na żwir. Potem chciał iść porozmawiać z kierownictwem na temat panującego na zakładzie skurwysyństwa, ale jest takie szczęście w życiu, że wpada się w Rydzowe objęcia, które prowadzą na spóźnioną kolację i do pokoju. A potem zgon.

Poranek nie był wielkim momentem w chwilach ludzkości. Udało się ustalić, że wielkiego gnoju nie było, chociaż i odznaki pracownika miesiąca Badyński może się nie spodziewać. Ten pocieszył się wiadomościami, iż wieczór nie był przesadnie epicki i że właściwie opcja pójścia spać była ciekawsza, niż siedzenie na sali i obserwowanie rezultatów uczęszczania na kursy tańca pana prezesa. Śniadanie: są opcje wegetariańskie, ale panuje cisza. Kierownictwo nie jest zadowolone z przebiegu wczorajszego dnia. Jedni wypili za dużo, inni za mało. Badyński bez większych problemów zakwalifikował się do odpowiedniej grupy. Miały być gry i zabawy, ale wała, będą wykłady i szkolenia. Życzymy miłego weekendu, za 40 minut w sali obok hotelu będzie konferencja i szkolenie.

Sam hotel był całkiem fajny, do tego zwał się Joseph Conrad. Szybko okazało się, że mógł się zwać i Sergo Ordżonikidze, bo pośród młodych, dynamicznych z dużych miast zdecydowana większość wiedziała tyle samo o jednym, co i o drugim. Badyńskiemu już latało, co będzie, szkolenia czy relaks, przynajmniej na szkoleniach siedzi się w trybie pasywnym i tylko śmieje ze wszystkimi zebranymi, nie trzeba samemu niczego mówić. Okazało się jednak, że to wszystko to część wielkiego planu.

Dostojewski pisał o tym, że nieludzkim było skazywanie ludzi na śmierć i na chwilę przed wykonaniem wyroku uniewinnianie ich, że w tym czasie człowiek w jakimś stopniu umarł i do końca życia nie powracał do stanu sprzed wyroku. Ideą było, by skazańcy czuli wielką wdzięczność za darowanie im życia i wręczenie biletu na parę lat zesłania zamiast wycieczki na tamten świat. Kierownictwo najlepszej firmy świata odrobiło tę lekcję. Gdy wszyscy grzecznie siedzieli w ławkach, pan prezes przyszedł, rzucił przemowę i pozwolił zagłosować zebranych, czy wolą nudne szkolenie, czy fantastyczną wycieczkę. Oczywiście wszyscy wybuchli śmiechem, ach, cudowny prezes, ach, wycieczka! Ach, a mogło być szkolenie, ale nas zbawił, pojedziemy na wycieczkę!!!

Tak więc pojechaliśmy. Gdyby wycieczka była w normalne dni robocze, to zapewne entuzjazm Badyńskiego byłby większy, a tak starał się za wiele nie mówić. Gdy odwiedzili całkiem fajne prywatne zoo, zobaczył, że kierownictwo i starsi poszli sobie po piwo. Czyli dano znak, że można rozpocząć picie, świetnie, szybciej to minie i będzie mniej bolało. Obiad, wysłuchiwanie znowu tych samych opowieści pana prezesa. Badyńskiego intrygowało, czy inni nie słyszeli ich, co raczej było mało prawdopodobne, czy też ich to po raz kolejny bawiło, czy też liczyli, że niesamowitymi wybuchami szczerego śmiechu coś wywalczą. W sumie nie taka głupia taktyka w kontekście działań tej firmy – pomyślał sobie Badyński, patrząc na pokładającą się w spazmach radości dziewczynkę. On sam też gadał znowu to samo, odpowiadał po raz czterdziesty piąty na te same pytania o wegetarianizm i jak to tak, karkówki też nie? Ach,

kurwa, rozgryzłaś mnie, genialna, po nocach wpierdalałam karkówkę po kryjomu! Jednak lubię kłamać wszystkim dookoła, że tak naprawdę nie jem mięsa, ale ledwo zmrok zapada, to ja do rzeźnika i spod lady: karkówka, żeberka, flaczki, kapłony i ozorki.

Drużyna pracownicza udała się na łódkę, by odbyć rejs po jeziorze. Badyńskiemu przypominał się ciągle klimat poprzedniego systemu, starsze panie, młodszy panowie, kretyńskie rozmowy o tym, co też widać. Szczęśliwie pojawiła się i wódka, Finlandia smakowa. Przy takiej ilości osób szło to raczej sprawnie. Jezioro wyglądało na ostoję natury, spokojne, ciche i czyste, takie małe miejsce na końcu świata. Szczęśliwie wpłynęli w kanał łączący je z drugim i oczom ich ukazały się billboardy oferujące nabycie nieruchomości, wizualizacje osiedli, które miały dopiero powstać. Inwestor, a może raczej nabywcy nieruchomości wychodzili z błędnego założenia, że gdy wybudują tam osiedle rodem z dystopii, to dalej będzie tak pięknie. Nawet na wyidealizowanych wizualkach jasno było widać, że wszystko zostanie spierdalone, zabetonowane, a nie potrzeba było eksperta od ptactwa wodnego, żeby wiedzieć, że zwierzęta uciekną dalej, niż wzrok poniesie, ledwo zaczną tu spędzać weekendy ludzie sukcesu. Oczywiście parę osób zeznało, że byłoby to wspaniałe miejsce do życia.

– Nie, ono jest wspaniałe, bo was tu nie ma – pomyślał sobie Badyński zadzierzgając więzy przyjaźni z Finlandią. Zatrzymywanie w sobie swych głębokich przemyśleń nie było łatwe, chociaż miał już tyle treningu, że weszło mu to w automatyzm. Pocieszało go, że zbliżał się wieczór, a jutro rano odjadą do normalnego życia czy raczej oswojonej niewoli. Trochę mu humor psuło, że miał na bieżąco relację sms-ową od swego dziewczęcia, które to zbierało się na imprezę tematyczną związaną z tą rocznicą. Badyńskiemu było smutno, zamiast być z kimś, do kogo żywił wyższe uczucia, siedział ze stadem ludzi, z którymi łączył go tylko fakt jednego nadzorcy, chociaż przecież on miał własną firmę i tak dalej, ale jakoś nie mógł powiedzieć, że wała i że nie jedzie. No, mógł sobie spróbować, dopiero miałby rozmowę dyscyplinującą i opowieści o wielkiej szansie, która mu się nie należy, a jaką tu przypadkiem otrzymał. Bo nie, że jakoś źle pracuje, no ale tak to każdy umie przecież. Nie, zdecydowanie kariera wygrała z życiem osobistym.

Gdy Badyński przeprowadził ten proces myślowy, musiał iść zapalić i wyśmiać się. Kariera. O ile życie osobiste miał na tak zwanym poziomie, o tyle jego kariera... Bywały chwile, gdy z nostalgią wspominał irlandzkie noce i rozładowywanie ciężarówek. Był otoczony przez ludzi, którzy nierzadko ledwo potrafili czytać, ale na ich korzyść wpływało to, że byli tego świadomi. Poza tym byli uczciwi i szczerzy, niby wybitnie rzadka cecha u Polaków, ale udało się spotkać kilkudziesięciu takich w jednym zakładzie. Pozwalało to na stworzenie analogii, że ci tak bardzo przez tak zwaną inteligencję pogardzani

robole to nie były jednostki, które tylko marnowały tlen i wytwarzały śmieci. Im dłużej Badyński na to patrzył, tym bardziej szanował tak zwanego prostego człowieka. Oczywiście bez wielkiej miłości, ale miał poczucie, że relacja z tamtymi ludźmi była po prostu uczciwa.

– Badyński, pomóż mi z tym, to cię wezmę na piwo.

On, dzięki, ja, dzięki, jutro się widzimy w robocie. Jednak pośród inteligencji z ambicjami niemal arystokracji nic nie było proste. Wszystko miało drugie dno, nawet wyjście do kibla w złym momencie mogło znaczyć, że właśnie okazujesz komuś niechęć i co z tobą jest źle i co ci się nie podoba. Nie no, w porządku. W porządku? To dlaczego wyszedłeś, jak opowiedziała dowcip? To nie był przypadek! Paranoje, obsesje, cyrki, cały czas i z każdej strony. Nawet jeżeli następowało dziesięć minut względnej samotności, Badyński się przesadnie nie luzował, tylko czekał, z której strony tym razem przyjdą jakieś pytania. Oczywiście wymagające jedynych słusznych odpowiedzi. Po łódce znowu zebrali się w sali konferencyjnej. Powtórzono numer z głosowaniem między szkoleniem a inną formą spędzania czasu. Padło na oglądanie filmu *Zło*, szwedzkiego kandydata do Oscara z roku 2003. Badyńskiemu bardzo podobał się ten film, podobnie jak i książka i był ciekaw, czy ktoś zauważy pewne analogie do sytuacji, w jakiej byli. Ponieważ analiza tekstów kultury już od lat widnieje na liście umiejętności bezużytecznych, nikt nie pokusił się na posnucie analogii do ich położenia. Parę osób spaliło jointa, co było aktem wybitnego chuligaństwa i ataku na system, aczkolwiek system zdawał się wiedzieć o tym i udzielić niemej zgody buntownikom. Potem wszyscy poszli na kolację, jedni bardziej głodni i uśmiechnięci, inni mniej. Podczas kolacji przypomniano opowiadki prezesa z obiadu, przecież zawsze istniało ryzyko, że ktoś je zapomniał. A nawet jeżeli pamięta, to przecież chętnie pośmiej się znowu.

Nastał wieczór, z pomocą najbardziej zaufanych pracowników i człowieka z hotelu Badyński uznał, że muszą jechać się zobaczyć z monopolowym. O dziwo, dostali nawet diety na wyjazd, z przykazem wzięcia rachunku na usługę gastronomiczną dla firmy. Panowie z monopolowego byli zaprawieni w takich korpobojach i gwarantowali, że w poniedziałek wystawią takie cudo, aczkolwiek w sobotni wieczór nie mogli tego zrobić. Badyńskiego chuj to bolało, był na bieżąco z rozwojem sytuacji na libacji swej dziewczyny, mógł nawet dołożyć ze swojej kieszeni, żeby móc zakończyć etap przymilania się poprzez wkurwienie i iść spać. Dali, co szefostwo oferowało, kupili parę fajnych rzeczy i wrócili na teren ośrodka. Tam zabawa szalała w najlepsze. Ton nadawał jej pan prezes, najpierw ubrany w T-shirt wykazujący jego doświadczenie podróżnicze, a następnie w urodzinową koszulkę od Badyńskiego. Badyński miał ją w żywej pamięci, bo gdy tylko wręczył ją prezesowi, okazało się, że to prezent zbiorczy od całego zakładu. Oponował

umiarkowanie, wyliczył, że każdy uczestnik tych biurowych bachanaliów jest mu winien około 17 PLN. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy odkrył, że o ile sukces prezentu miał wielu ojców i jeszcze więcej matek, o tyle okazało się, że przecież tylko jakichś absolutny prostak życzyłby sobie tak żałosnych pieniędzy jak 17 PLN i lepiej o tym wszystkim zapomnieć.

– Nie no, rozumiem, ja też dla 17 ziko bym matkę zatłukł, ale przecież wy wszyscy tacy mądrzy, ładni, cywilizowani... Dziewczynki na kremach L'Oreal'a, chłopcy w krawatach Hugo Bossa. Ależ oczywiście, że nie mam wstydu prosić was o zwrot jakichkolwiek pieniędzy.

Pan prezes nie wiedział o tym cyrku. Wiedział jednak, że grają Abbę – na jego życzenie – więc korzystał z okazji i pokazywał kroki taneczne, które opanował na kursie. Pracownicy nie do końca wiedzieli, co robić, ale ci, którzy już ogarniali rzeczywistość pracową, rzucili się w tany obok swego jedyne szefa. Nie ich muzyka, nie ich rytm, nie ich klimat, ale ich szef. Koło 23 Badyński poszedł spać dumny z siebie. Nie skurwił się wiele więcej, niż było potrzeba, nie tańczył, tylko klaskał. Szedł spać z poczuciem dumy.

Obudził się z niego innymi uczuciami. W końcu zadał sobie pytanie: czy ja właśnie rozpoczynam ostatni dzień weekendu z niedorozwiniętym emocjonalnie bałwanem, który odgrywa sobie na mnie porażki swych licealnych lat? Badyńskiemu wyszło, że tak. Zaczął mieć wielką nadzieję, że się myli. Jednak nie, odbyło się śniadanie, gdzie podkreślano, że bawiono się wspaniale. Niektórzy nawet jointa spalili po kryjomu, inni wypili kilka piw, inni podkreślali jak wspaniale się tańczyło. A inni szeptali po kątach, że przyjechali kilkaset kilometrów na imprezę i teraz czeka ich tylko w tył zwrot i cała niedziela w autobusie do domu, zaś od jutra rana proza życia. Tak też się stało, wyruszyli w drogę powrotną, którą mogli uprzyjemnić filmami z wyboru wiadomej osoby. Badyński to wszystko dawno widział, więc siedział i czytał, by potem stwierdzić, że o ile recepcja *Gwiezdnego pyłu* przebiegła bez większych problemów, o tyle ze *Lśnieniem* poszło gorzej i ludzie komentują, żeby cokolwiek powiedzieć, przy tym niekoniecznie musiało to mieć sens. Jednak pod wieczór uszu Badyńskiego dobiegł dialog dla niego nieprzeznaczony. Gabriela, ulubiona pracownica pana prezesa, wyjaśniała, że o wiele wygodniej byłoby jej latać z Katowic do Warszawy samolotem, bo i ośrodek blisko lotniska, godziny dogodne, a auto to korek, umęczyć się trzeba, jeść nie podadzą. Widać było, że już jest w ogródku i wita się z gąską, gdy nagle zorientowano się, kto siedzi w pobliżu i zmieniono temat. Były ku temu powody, bo znane były przypadki ludzi jeżdżących samochodem i na Pomorze, którzy nierzadko wracali do domu w środku nocy, by następnego poranka odbić kartę na zakładzie. Tematu samolotów nie było, nawet jeżeli sponsor badania zakładał taką możliwość, firma musiała przecież walczyć konkurencyjnością cen na rynku i nie mogła pozwalać pracownikom na takie fanaberie! A w końcu

to nie przełożeni spędzali kilkanaście godzin za kierownicą, nie oni nie dosypiali, więc problemu nie było.

Miejsce wyjazdu osiągnęli koło 21. Mogli się pożegnać na niecałe dwanaście godzin, by wkrótce rozpocząć kolejny, fascynujący tydzień wspólnej pracy.

Opowieść o urokach transportu lotniczego znalazła swój finał jakieś dwa miesiące później. Rydz z Katią pojechali z Krakowa do Torunia. Wyjechali w niedzielę wieczorem, żeby o poranku następnego dnia rzucić się w wir pracy. W drodze powrotnej zaskoczyła ich zima, w efekcie spędzili jakieś cztery godziny, stojąc w korku i na mrozie. Rozważali, gdzie by uciec, ale się nie dało. W domach byli już koło 6 rano. Dobra ponad doba na nogach, a raczej za kółkiem. Tego dnia w drodze wyjątku pozwolono im nie przychodzić do biura.

Tak ciężko nie da się zasuwać bez urlopu. Pracownikom przysługiwał standardowy zestaw dni urlopowych, który nawet czasem szczęśliwie mogli brać częściowo w wymiarze połowy dnia. Badyńskiemu nie wiadomo, co przysługiwało, ale na koniec roku wyliczył sobie, że w sumie wyrwał 32 dni, za które mu nawet zapłacono. Badyński był w tej szczęśliwej sytuacji, że nie musiał płacić za mieszkanie, co pozwalało mu na odkładanie jakiejś połowy wynagrodzenia miesięcznie. Gdyby miał się za to utrzymać, to żyłby od pierwszego do pierwszego, ale ponieważ postawił sobie wyjazd do Birmy ponad niezależność, wydawało się, że stać go na bajońskie wakacje. Inni pracownicy podchodzili do tematu raczej spokojnie, jedni z racji ograniczeń finansowych, inni z powodu szerokości horyzontów. Oczywiście temat nie dotyczył pana prezesa. Ten, strudzony dyrygowaniem firmą, udawał się na wakacje kilka razy do roku i to w rejony raczej dość egzotyczne dla większości Polaków – a to Dominikana, a to Południowa Afryka, a to Argentyna, od biedy Santorini. Wracał pełen opowieści o tym, że było wspaniale, zazwyczaj wyklinając tych, którzy postanowili mieszkać w kraju wybranym do odwiedzin. Budżety tych wyjazdów szły w dziesiątki tysięcy, wszystko organizowane wycieczki dla małych grup, nierzadko tylko dla dwójki osób, oczywiście w miarę możliwości w opcjach all inclusive. Czasem panu prezesowi zapominało się, ile płaci swym pracownikom i jakie są ich możliwości i zachęcał ich do wyjazdów. Badyńskiemu najbardziej wryło się w pamięć, gdy podczas wieczoru rodzinnego przełożony tłumaczył jemu i jego dziewczynie, że powinni wybrać się na Mauritius.

– Tak lubicie dobre wino, tam są świetne południowoafrykańskie, wliczone w opcję all inclusive. Plaże są świetne, bardzo fajna wyspa, jestem pewien, że by się wam spodobała.

Badyński też był tego pewien.

– Tak, powinienes tam wziąć Małgosię.

Badyński szybko policzył przy założeniu, że będzie dużo odkładał. Wyszło mu, że przy dobrej promocji i oszczędnym życiu już po ośmiu miesiącach mogłoby się to udać, chociaż raczej po dziesięciu. Ach, życie! Wprawdzie pan prezes miał jakąś niesamowicie elitarną kartę do klubu podróżnika i obieżyświata, która zapewniłaby zniżki nawet i do 80%. Zainteresowało to Badyńskiego, ale ilekroć próbował dowiedzieć się czegoś o tej karcie, okazywało się, że to zły moment i że kiedy indziej. Jednak, sądząc z wypraw dyżurnego globtrotera świata, karta musiała być istnie magiczna, inaczej musieliby założyć, że przełożony zarabia jakieś niesamowite pieniądze.

Poza wyzwalaniem prezesa-Molokha udało się czasem dowiedzieć czegoś w stylu tego, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej koleżanka Rydza, Katia zapytała, jakie są tzw. benefity. Zadała ona pytanie, które powinno automatycznie zakończyć rozmowę kwalifikacyjną i dopisać ją do listy kandydatów roszczeniowych. Pozwoliła sobie też zapytać, czy są może karty Multisport, ewentualnie bilety do kina. Dowiedziała się, że takich socjalistycznych pomysłów w tej firmie nie ma, gdyż woli ona wypłacać pracownikom szczodre premie, które ci mogą przeznaczać zgodnie ze swoimi życzeniami, czy to na basen, czy na siłownię, czy też na cokolwiek innego. Katia jednak nie poddawała się i gdy dostała ofertę kart sportowych, przedyskutowała ją z innymi i wyszło, że wcale nie ma osób chętne by zapłaciło około 100 PLN miesięcznie, by mieć za to basen, siłownię, kurs tańca, trzy bilety do kina i inne cuda. Wielu z nich i tak korzystało z tych przybytków, wychodziło im to nawet sensownie. Przygotowała więc długiego i wyczerpującego maila, w którym zawarła postulat pracowników, że sobie sami zapłacą, ale firma jako firma musi to wziąć na siebie.

Okazało się, że to bez sensu, socjalizm jakiś i nikt tego nie chce. Szczodre premie były tematem wielu dowcipów, aczkolwiek był to humor zdecydowanie czarny. Opowieści o nich krążyły po zakładzie, czasem nawet wspominało o nich samo kierownictwo, jednak Badyńskiemu nie udało się nigdy ustalić, czy ktokolwiek je dostał. Zakładając, że ludzie nie kłamali, to nikomu. Co jakiś czas dowiadawali się, jak to dobrze idzie firmie, że podpisała kolejny wspaniały kontrakt, że ci lub tamci w końcu zapłacili, jednak za nic nie przekładało się to na wysokość ich wypłat, czy też na żadne premie. Ba, gdyby nam chociaż pizzę zamówili – myślał Badyński. Ilekroć temat gdzieś się zabłąkał, okazywało się, że premie to są w jakichś molochach korporacyjnych, tu ich być nie może, ale w zamian przyjemnie się pracuje. Badyńskiemu coraz częściej wychodziło, że o ile jego wielki życiowy plan niewpakowania się w korporację poszedł mu całkiem dobrze, o tyle jednak przy tym wszystkim wpakował się w coś, przy czym dowolna korporacja to wyspa szczęśliwości. Ludzie robią tam mniej więcej to samo, co oni, ale wszystkich obowiązują te same reguły, a i wynagrodzenia są mniej zróżnicowane. Jest jakiś tam system

motywacyjny, choćby ci zapłącą za ten basen. Płącą za nadgodziny i nie pozwalają ci zrobić ich za dużo. Tylko nie mają tej rodzinnej atmosfery, muszą mieć kamery, bo ludzie nie donoszą na siebie tak ochoczo.

Pracownicy dzielili się na dwie kategorie: szanowanych i nie. Trudno powiedzieć, co kwalifikowało poszczególnych ludzi, do odpowiednich grup, niemniej niezależnie od wieku, jednych traktowano jak dzieciaczki, które przyszyły podorabiać, innych zaś jak pełnoprawnych dorosłych. Początkowo wydawało się Badyńskiemu, że ma to jakiś związek z zaangażowaniem się w pracę i przeżywaniem tejże, jednak wkrótce zrozumiał, że niektórzy walą w bambus, ile chcą, inni zaś zapieprzają jak mrówki i nie przekłada się to na ich pozycję w firmie. O zarobkach nie wspominając. Ba, wręcz chwilami można było odnieść wrażenie, że im bardziej ktoś się stara, tym mniejszą ma szansę na jakiekolwiek profity, które wydawałoby się powinny z tego wynikać. Ciężko pracujesz? To ci pasuje, pracuj dalej. Oczywiście było, że pan prezes zarabia fortunę, jego akolici podobnie, zaś reszta jest w okolicach tak zwanej średniej krajowej. Co jakiś czas pojawiały się wyjaśnienia, że nie jesteśmy korporacją i nie możemy aż tyle płacić pracownikom, ale w zamian oferujemy bardzo przyjemną atmosferę pracy. Po jakimś czasie jednak atmosfera rodzinna uległa redukcji, pozostały zaś bezpłatne nadgodziny i normy rodem z kazachskiego kołchozu.

Do klubu Badyńskiego i Rydza dołączył współpracownik terenowy z Wrocławia, Rumcajs. Życie złożyło się tak, że musiał przyjechać do Krakowa na tydzień, by odbyć bardzo ważne szkolenie i dopełnić formalności związanych z zatrudnieniem go. Formalności poszły tak sprawnie, że prawie się zwolnił, gdy zobaczył, jak cudowną ofertę mu przedstawiono, pełną atrakcyjnych odnośników do tego, ile będzie musiał zapłacić, gdy odejdzie z pracy i ogólnie, jak wiele może osiągnąć. W końcu tego nie podpisał, a szkolenie odbył i tak. Okazało się, że co firma jest potężna, to jej, ale jakoś dramatycznie potrzebują go z racji znajomości czeskiego. Widać też było, że atmosfera wokół jego osoby jest bardzo zła, padały jakieś niejasne komentarze nawet dotyczące roszczeniowej postawy. Wtedy już takie teksty były dla Badyńskiego najlepszą rekomendacją drugiej osoby, bezczelny i roszczeniowy, czyli zdrowy na umyśle i przynajmniej niedający sobie nasrać na głowę już na wejściu.

W ostatni wieczór poszli na piwo, w końcu z innego miasta, do tego mają razem pracować, szalejemy. Padło tam wiele słów dotyczących ich wspaniałej firmy. Siedzieli we czwórkę i wyklinali, za jakie grzechy przyszyło im pracować w miejscu przypominającym plantację bawełny z Alabamy circa 1843. Gdy już nacieszyli się wspólnym nieszczęściem, odwiedzili nowego kolegę do hotelu. Przez cały czas jego pobytu nie zapytali nawet, gdzie nocuje. Podał im nazwę hotelu, okazało się, że nie znają tego miejsca, co było nieco

zaskakujące, bo własne miasto znali raczej dobrze. Dopiero po dotarciu na miejsce odkryli, że Rumcajs prawdopodobnie jako pierwszy człowiek w historii delegacji firmowych śpi w hostelowej dormie, w jednym z akademików zaadaptowanych na czas letni na hostel. Gdy to zobaczyli, zapytali go, czy może nie chciałby jednak iść spać do któregoś z nich. Że luksusów nie ma, ale jednak takiego syfu też nie, że swój pokój będzie miał. Podziękował, poszedł do dormitorium. Rydz z Badyńskim siedzieli w samochodzie i jakoś nie mogli nic powiedzieć. Już trochę widzieli, już mało co na nich robiło wrażenie, ale jednak tu zdolność do ironicznego podsumowania rzeczywistości siadła. W końcu pierwszemu udało się zwerbalizować myśli:

– Jest mi wstyd za tę firmę.

Parę miesięcy później, gdy przyjechała delegacja z Holandii, trwała debata, gdzie powinni się zatrzymać i jaki im nocleg wybrać. Prześcigano się w złotych myślach na temat tego, czy lepiej Sheraton, czy coś bardziej klasycznego i regionalnego. Badyński zasugerował hostel Nazar. Dowcip ten nie spotkał się z aprobatą kierownictwa. Ostatecznie Holendrzy zamieszkali w hotelu Copernicus.

*Potrzeba zawsze kogoś, kogo się nienawidzi,
aby dzięki temu uzasadnić własną nędzę.
(Eco, Cmentarz w Pradze)*

Współpraca z zagranicą niosła ze sobą wiele aspektów. Poza organizowaniem wyjazdów i przyjazdów, trzeba było z nimi pisać, rozmawiać, a co gorsza robić to, czego sobie życzyli. Tu był pewien problem: to najlepsza firma świata została przez nich wynajęta. Istniały dwa uzasadnienia stojące za tą decyzją. Pierwsza, tę propagowało kierownictwo, okazaliśmy się najlepszymi możliwymi kontrahentami na rynku polskim. Druga, tę propagowali niektórzy pracownicy: zgodziliśmy się pracować za tak małe pieniądze, że inni uznali „to sobie pracujcie za tyle”. Istotnie, rzeczą fascynującą było, iż wykonując projekt dla najlepiej płacącego w branży sponsora, pracownicy najlepszej firmy świata ledwo co zbliżali się do połowy wynagrodzeń konkurencyjnych firm, które nie miały tak dobrych projektów, niemniej swoim ludziom byli w stanie zaoferować o wiele więcej, o basenach i płatnych nadgodzinach nie wspominając. Po drugie, ciągle okazywało się, że zagranica jest popierdolona. Popierdoleni byli podwykonawcy. Popierdolony był główny sponsor. Popierdoleni byli wszyscy ludzie dla nich pracujący. Podkreślanie ich obłądu i popierdolenia było nieodłączną częścią niemal każdego dnia. Zamiast troszczyć się o dobro projektu, rzucają nam kłody pod nogi. Przysłali popierdolonego maila. Wymyślili pojebaną procedurę. Nam jest ciężko, sytuacja jest ciężka, okręt firmy wiedziony jest przez wzburzone fale oceanów

tylko przez pana prezesa, którego obciążeniem są pracownicy (głównie etatowi, chociaż i Badyński mógłby przecież nie domagać się pieniędzy za te żałosne parę godzin spędzonych w biurze, podczas których i tak nic nie robi), a te chuje nam wszystko chcą zniszczyć, wtykają swoje szpetne ryje do naszego rajskiego ogrodu firmy rodzinnej i przeszkadzają.

Początkowo Badyński ochoczo brał udział w festiwalu zbierania dowodów popierdolenia przyjaciół z zachodu, ale po jakimś czasie zaczął rozumieć, że częściej niż rzadziej mają rację. Skoro płacą, to mogą też wymagać, mogą chyba nieśmiało powiedzieć, co życzyliby sobie, by było zrobione w zamian za walutę. Dopiero po paru miesiącach Badyńskiemu zaczęło świtać, że oni są przekonani, że ludzie zarabiają bardzo dobrze i trudno jakoś wyjaśnić ich marazm i niechęć do projektu. Gdzieś kiedyś koło końca roku przewinęło się, że teraz trzeba zrobić wysiłek, a potem to będą premie, by osłodzić wszystkim życie. Wątek nie powrócił, ale taka czerwona żarówka jak na kreskówkach zapaliła się w główce Badyńskiego. Aha, czyli pewnie w tym projekcie wymyślono nawet dodatki motywacyjne na święta. Jasne, niech sobie kierownictwo kupi za to coś ładnego, po co nam by były jakieś pieniądze? I tak zarabiamy za dużo i nie wiemy, co z tą kasą robić.

Lista popierdolonych nie kończyła się jednak na Holendrach. Popierdoleni byli również wszyscy w Polsce, od Urzędu Skarbowego poczynając (co akurat jest oczywiste dla każdego obywatela tego kraju), aż do operatora telefonii komórkowej, który pyskuje o jakieś rachunki. Pisma które przysyłał zostały uznane za wyjątkowo ordynarne i nastąpił zakaz płacenia faktur. Cofnięty został, gdy rozpoczęło się wyłączanie telefonów. Skarbowka mimo stopnia pojebaństwa była nagradzana wpłatami w terminie, aż takich jaj firma nie miała, by z nimi zadzierać, niemniej pojawiały się groźby o przeniesieniu działalności na Cypr lub Słowację i dopiero sobie wtedy zobaczą. Niewiele lepiej było z bankami, chociaż te podobno czasem pozwalały na dobre inwestycje. Oczywiście były one dziełem indywidualnych doradców pana prezesa, których przydzielano tylko wyjątkowo ważnym klientom i którzy odpowiednio dbali o pomnażanie dorobku tytana pracy. Dla wielu pracowników opowieści o inwestycjach w cokolwiek droższego niż pizza były tym, czym są opowieści o jednorożcach dla dzieci. Nieliczni wierzyli, że będą kiedyś mogli zainwestować w coś więcej niż wódkę na wieczór. W tym całym popierdolonym świecie ostoją normalności było tylko jedno miejsce i była to wiadoma firma.

O ile początkowo miraż działał przynajmniej trochę, o tyle po jakimś czasie Badyński za nic nie mógł zrozumieć na czym też polega jego szczęście i popierdolenie innych. Jego przyjaciele zarabiali podobnie. Nadgodziny mieli płatne, nierzadko mniej siedzieli w robocie. Ha, wielu miało nawet etat. Jakoś żyli z tym, że musieli pracować dla popierdolonych miejsc i że wykonywali

bezwartościowe prace. Bezwartościowe zwłaszcza w zderzeniu z takim wspaniałym zawodem, jaki stał się jego udziałem.

Wśród wielu rodzajów emigracji wewnętrznej jest także ten prawdopodobnie najpopularniejszy – ucieczka od rzeczywistości w pijaństwo. Ta cieszyła się dużą popularnością pośród pracowników firmy z rodzinną atmosferą. W wielu przypadkach przekraczało to płynną granicę między pijaństwem a alkoholizmem, dodatkowo potęgowane było możliwościami picia w pracy. Taki model znany nieco z PGR-ów, tylko tam dawano wódę i jabole ludziom, którzy byli skazani na pług do końca życia. Tutaj zaś w otchłanie ochleystwa pograżali się tak zwani wykształceni z dużych miast. Po pierwsze, wszystkie wielkie okazje pracownicze były otoczone tak rodzinną atmosferą, że wymagało to kupna wina. Dobrego, wytrawnego, czerwonego wina, bo to właśnie było ulubionym pana prezesa. Po drugie, Badyński po jakimś czasie złapał się na tym, że każdego dnia po pracy pije, bo tak go wszystko na zmianę wkurwia i wzbudza w nim obrzydzenie, że buntuje się w nim całe życie wewnętrzne i że po prostu musi. Zapanował tu pewien rozdźwięk między nim a jego partnerką, gdyż ona piła nieco radośniej, oczywiście też niosąc krzyż życia, ale jednak bez budzika zamiast korony cierniowej. Po jakimś czasie Badyński złapał się na tym, że chociaż stać go, więc pije (piję ergo sum) dobre alkohole, to jakoś cały proces upijania się nie sprawia mu przyjemności, bo na końcu tegoż zawsze – czy to poniedziałek, środa czy piątek, widzi finał za biurkiem i przed ekranem. Zabijało to całą przyjemność pijaństwa. Jednak życie bez pijaństwa było jeszcze gorsze. Po paru miesiącach pracy w najlepszej firmie świata Badyński mógłby zgłosić się do poradni alkoholowej i uzyskać tam pomoc. Po prostu, gdyby zobaczyli stan jego psychiki i wątroby, zrobiłoby im się tak żal, że jak nikomu nie chcą pomagać, to jemu akurat by pomogli.

Niemniej z obserwacji samego Boga i jego akolitów okazywało się, że to właśnie sposób na życie. Szczęścia w pracy nie udawało się osiągnąć, więc szło się wlać je w siebie. Nie dało się być dumnym z dokonanej pracy, bo po pierwsze nic się z niej nie miało, a po drugie bardzo trudno człowiekowi chociaż trochę myślącemu wykrzesać z siebie radość na widok ukończonej tabelki na kilkaset pozycji. Jednak wszystko Badyńskiemu wygrało skanowanie dokumentów. Kilkaset stron, bliżej tysiąca raczej. Należy to zeskanować. Ręcznie. Opisać. Wgrać do systemu. Dobry miesiąc zabawy. W kilka miesięcy później kupiono porządny skaner. Wyszło, że dało się to zrobić w góra kilka dni. Jakże nie czuć się dowartościowanym w kontekście takich wydarzeń? Czyż praca nie jest najważniejszym dobrem stanowiącym o wartości człowieka? Ależ oczywiście, że jest. Tu nawet dokładnie można było zobaczyć, jak wielkim.

Jednak pracodawca był tylko jedną ze składowych każdego dnia życia i walki Badyńskiego o zdrowie psychiczne. Wielu współpracowników

zawieszało poprzeczkę ignorancji i debilizmu jeszcze wyżej. W końcu codzienne życie firmowe upływało na tematach błahych. Przyjść, robić, żreć, robić, wyjść, robić, wrócić, robić, od biedy spać. O ile Badyńskiemu udawało się utrzymywać całkiem poprawne stosunki z większością pracowników, o tyle pewnego dnia nie wytrzymał. Było lato, jedno z krakowskich kin oferowało przegląd klasyki kina światowego. Dziewczę zagaiło Badyńskiego, jakie ma plany na wieczór.

- Idę na *Błękitnego anioła* – odpowiedział.
- O, ja dopiero w piątek pójde, nie wiedziałam, że już dzisiaj grają.
- Nie, to tylko dzisiaj, to ten klasyczny, z Dietrich, żaden remake.
- Tak, wiem, od piątku wchodzi do kin i będą grali w Multikinie.

No i Badyński nie dał rady. Nie wytrzymał. Wyśmiał ją, że nie wie kim jest, a raczej była, Marlena Dietrich. Że to ludzie po zawodówkach wiedzą. Że to jest żenujące. Że to po prostu wstyd. Że jak już pierdoli od rzeczy, żeby się przypodobać, to nie zawsze jej wyjdzie, jakby chciała. Że czasem lepiej trzymać ryj zamknięty na kłódkę, niż pokazać jak bardzo zdebiła ignoranką się jest. Nagrody za znajomość historii kina i szczerłość nie było, była za to reprimenda kierownictwa dnia następnego o tym, że ludzie mają różne zainteresowania i że Badyński nie ma prawa kwestionować pasji innych, bo może ona woli zajmować się tańcem, a nie filmem.

Badyński nic nie powiedział, bo już wiedział, że mądrzejszym można sobie być, ale należy zachować to dla siebie, bo głupiemu w życiu łatwiej i należy podążać wzorem Klaudiusza z klasyka Gravesa. Niemniej w głowie zarysowała mu się wizja dystopii, w której krańcowi ignoranci, po prostu obrzydliwi kretyni, niszczą tych, którzy wiedzą więcej. Pomyślał sobie o socjalizmie, ale to nie było to, tam inteligencji byłoz 15% i zawsze mogła się chronić w swym kręgu. Pomyślał, że prawdziwym zwycięstwem ignorancji będzie fakt, gdy do grona inteligencji włączy się niemal wszystkich, a potem w oparciu o ich horyzonty, demokratycznie zdefiniuje się nowe kanony kultury wyższej jako reality show, lekcje tańca i strzelanki na konsoli. Im głupiej by do nich mówić, tym mądrzejszym czuło się audytorium. Pomyślał drugi raz i odkrył, że nie musi już wymyślać tej dystopii, bo ma ją codziennie od 8:30 do 17. Teraz pozostało mu już tylko wynaleźć sobie rzeczywistość.

Upojenie się władzą nad ludźmi, bezkarność znęcania się, poniżania i zachęty to była moralna miara zawodowej kariery kierownictwa. Jednostek, które nie miały wyboru i które zgadzały się na takie traktowanie nie brakowało. Do pewnego momentu to Badyński otwierał ich listę, ale rzeczywistość złożyła się tak, że miał chwilę przerwy.

Wraz z nadejściem lata pojawili się stażyści. Trzy osoby, które wybrano spośród setek aplikujących, jak powiedziano Badyńskiemu. Według jego

obserwacji wielu więcej chętnych nie było. Jednak w roku 2010 bardziej rozgarnięci ludzie już rozumieli, na czym polegają staże i jakie dają szanse na zatrudnienie, a także, ile wart jest atrakcyjny wpis w CV. Badyński równie szybko zrozumiał, po co są ci ludzie: żeby odwalić najgorszą robotę za nich wszystkich, także za niego. Początkowo z pewnym zażenowaniem, a później już nawet bez tegoż, delegowano im kolejne obowiązki. Ludzie ci wykonali kawał dobrej, żmudnej i potrzebnej roboty, która bez nich trwałaby o wiele dłużej. Jakoś tak się złożyło, że to Badyński miał z nimi najwięcej kontaktu i o ile z dwiema absolwentkami zaprzyjaźnił się mniej, o tyle z będącym w trakcie studiów Stefanem już owszem. Najlepszym obrazem z całego czasu trwania staży był ten, gdy stażyści zeszli z trzeciego piętra na drugie, by o coś zapytać. Dzięki temu udało im się odkryć, jak to cały skład firmy relaksuje się przy ciastkach i winie. Widać było, że są strasznie zmęczeni, że mają dosyć, że upał im dawał, że dociera właśnie do nich, że się ich wyzyskuje i gdy właśnie to wszystko stało się tak jasne, oni zeszli zobaczyć, jak cała ekipa etatowców je ciastka i pije wino. Jakimś cudem nie trzasnęli drzwiami, niemniej ich wizyta miała pewien efekt: po niej dostali zakaz wstępu na dyrektorskie piętro.

Gdy kończył się czas stażu, Badyński próbował zachęcić do zatrudnienia Stefana. Już wcześniej przedstawiał jego osobę w pozytywnych barwach, ale ostatnie dwa tygodnie w kółko mówił, jak bardzo by się przydało mieć takiego pracownika na stałe. Jego upierdliwość ostatecznie spotkała się z informacją, iż nie jest praktykowane zatrudnianie stażystów. Odpowiedź ta pomogła mu dopisać kilka linijek do przemyśleń o polskim rynku pracy, celowości staży firmie z rodzinną atmosferą.

Następny miesiąc powitał z nową stażystką, która miała wykształcenie kierunkowe. Mogła mieć wszystko, ale na pewno nie miała tak zwanego oleju w głowie. Zamęczała Badyńskiego pytaniami o to, czy mogłaby u nich pracować, a na jego zdawkowe „nie wiem”, generowała z siebie kolejne pytania, dotyczące tego, czy mógłby się dowiedzieć. Po tygodniu miał jej dosyć, rozmiar zniszczeń poczynionych przez Hanię przekraczał jakoś trzykrotnie rozmiar korzyści płynących z jej pracy. To tego kontraktu nie można spać do góry nogami? Nie, nie można. A to ważne, w jakiej kolejności są kartki? Tak, zapewne po to są ponumerowane. Pracownicy solidarnie dokładali starań, żeby Hania mogła zajmować się rzeczami, które stosunkowo trudno spieprzyć, a gdy okazało się, że takowych nie ma i dziewczyna zjebie wszystko, czego się dotknie, uproszono, żeby wysłano ją na szkolenie. W ten sposób odbyła je jako pierwsza ze wszystkich stażystów, dlatego, że była absolutnie najgorsza. W jakimś sensie miłym akcentem było to, że przynosiła im słodycze, ale czuli się skrupowani, zwłaszcza Badyński otrzymujący podejrzenie często pączki od stażystki. Gdy jej czas dobiegł końca, wszyscy odetchnęli z ulgą, Hania zaś nie mogła uwierzyć, że firma nie zdecydowała się zatrudnić jej na

czas nieokreślony.

Pisanie było jednym z ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu przez Badyńskiego. Rodziło w nim wiele frustracji i czasem trochę radości. Ponieważ wszystko inne ograniczało się tylko do wywoływania frustracji, Badyński spędzał wolne chwile albo nad odtwarzaniem dalekich krain, które miał szczęście niegdyś odwiedzić, albo na tworzeniu absolutnej fikcji. Ten sposób spędzania czasu wolnego (ironia zamierzona) spotykał się z przychylnym traktowaniem przełożonego, ba, nawet dorobek literacki Badyńskiego zdobył pozytywne recenzje. Zachęcano go, by pisał jeszcze więcej. Ten na to nieśmiało zadawał pytanie: ale kiedy? Dowiadywał się, że przecież napisanie strony nie zajmuje tak wiele czasu, a w końcu jakoś bardzo dużo nie pisze. W trosce o własne zdrowie psychiczne i z obawy o to, że mogłoby go rozkurwić od środka, Badyński nie pytał, ile czasu zdaniem jego przełożonych zajmuje napisanie strony.

W całkiem odmiennej sytuacji życiowej było dziewczę Badyńskiego. Mając etat w ogólnopolskiej gazecie, w pracy stawiać musiała się co kilka dni. Normalnie wstawiała w okolicach 10 i spokojnie mogła zjeść śniadanie, umyć się i pobawić z kotem. Jeżeli miała nastrój, pospać dłużej, zazwyczaj nie było to problemem, gdyż i tak pracowała z domu. W nagłych sytuacjach, dzwoniło na komórkę i spokojnie znoszono zaspany głos w słuchawce. Gdy spotykali się wieczorami, różnica między ich podejściem do rzeczywistości była taka, że Badyński zasypiał – czy to w kinie, czy to w teatrze, czy też na fotelu. Ona zaś z jednej strony wykazywała się zrozumieniem, z drugiej zaś nie do końca mogła pojąć, co też z nim się dzieje. Podkreślała, że przecież zarabia lepiej od niej, więc nie ma co narzekać, bo zawsze mógłby mieć mniej pieniędzy. Zarobki czasem wiązała z uwarunkowaniami płciowymi, co wściekało naszego głównego bohatera do i poza granice rozumu. Tak, zarabiam jakieś 300 PLN więcej niż ty, ale z ciebie nikt nie robi kozła ofiarnego, szmaty do podłogi! Gdybym miał pizdę i wydatne cycki, to pewnie zarabiałbym jeszcze lepiej. Z twoim ego, nie dałabyś rady tam choćby wysiedzieć dwóch godzin, bo by cię rozpierdoliło od środka poczucie niesprawiedliwości.

W takich momentach Badyński czuł, że lewicowe zapatrywania jego towarzyszek życia nieco przegrywają z żądzą pieniędzy. Siebie też coraz częściej łapał na fiksacji finansowej. Jeszcze rok wcześniej powiedziałby, że do życia wystarczy mieć na papierosy i na wino. Akurat na to miał, ale trafiał go szlag na myśl o tym, że tyra ciężiej od innych, a ma mniej. Pocieszał się, że jednak i świętego mógłby w takiej sytuacji ponosić temperament. Niemniej powoli zaczynał rozumieć ten fatalny świat, chociaż dokładał wszelakich starań, żeby się tego wyprzeć. Zapewne niewolnik z czasów Ramzesa II wiedział, że jest niewolnikiem i wiedział, jakie korzyści (żadne) i gorycze (wszelakie) to ze sobą niesie. Badyński walczył, by nie zrozumieć, że w roku

2010 schemat uległ tylko jednej drobnej zmianie: niewolnik za nic nie mógł się dowiedzieć, co mu wolno, a czego nie. Trwanie w stanie nieokreślenia gwarantowało możliwość dyscyplinowania w dowolnym momencie. Od pierwszych minut przyjscia do pracy do samego końca. Spóźniłeś się dwie minuty. Za długo żresz. O 17 nie wolno wyjść, bo jak tak wyjdiesz, to znaczy, że już o 16:55 myślałeś o wyjściu. Przecież od 8:30 do 9 to żadna różnica, no przecież możesz tyle posiedzieć, przecież i tak nic nie robisz.

Jednak więzy krwi zobowiązują. Rodzinna firma, rodzinne premie, rodzinny szacunek. Rodzinne oszustwa. Badyński je demaskuje. De facto robi z szefa krety, ale na końcu tego mówi, że nikomu nie powie, ale prosi go, żeby się już tak nie zachowywał. Szef się zgadza. Przyznaje Badyńskiemu rację. Badyński wygrał moralnie i zdroworozsądkowo. Nie wie jednak, że walczy z siłami operującymi na innych poziomach zła. Że ma do czynienia z ludźmi, którzy godność uznają za słabość. Uczciwość za powód do wstydu. Każdy dzień za okazję do nażarcia się.

3. Third

Czytanie między wierszami było bardzo przydatną umiejętnością w firmie AlfAlfa. W jakieś dwa miesiące po zwolnieniu Lidki okazało się, że zagraniczny kontrahent jest święcie przekonany, że wypruwa ona sobie żyły, by projekt wyglądał jak najlepiej. Czyli firma AlfAlfa otrzymywała pieniądze za przyporządkowanie dwóch CTA-ów do pracy, podczas gdy naprawdę pracował tylko jeden. Dopiero trzy miesiące po odejściu Lidki poinformowano zagraniczną firmę, iż nie będzie ona dalej pracowała w tym projekcie, gdyż ma szaloną ilość pracy w innym. Przecież niemożliwe było, aby odeszła z najlepszej firmy świata, zaś zwolnić kogoś, kogo się chwilę temu sprzedawało za wielkie pieniądze? To w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Firma rozrastała się i zatrudniała coraz więcej pracowników. Wymarzonym i idealnym byłby legitymujący się dekadą doświadczeń w badaniach (najlepiej część z tego poza granicami kraju) oraz trzema językami obcymi, który zdecydowałby się na staż, ewentualnie na 2000 PLN na samozatrudnieniu. Ponieważ aż takich imbecyli nawet wolna Polska jeszcze nie wyhodowała (niemniej przyszłość pięknie rokuje), pozostawało negocjować z aplikującymi. Dziwnym trafem losu nikt nie spełniał wszystkich wymogów, ale pewnego dnia w progi najlepszej firmy świata trafił Rumcajs. Człowiek z papierami na angielski, francuski i bez papierów na czeski, który znał równie dobrze jak język rodzimy. Z wieloma kwantyfikatorami („jeżeli potrafi ciężko pracować”), Rumcajsą przyjąto.

To związane było z odbyciem szkolenia. Po pierwszym dniu Badyński myślał sobie, że koleś wejdzie kierownictwu bez wazeliny. Po trzecim, że chyba ma nowego kolegę. Po tym, gdy Rumcajs się prawie zwolnił po zobaczeniu warunków zatrudnienia, wiedział, że mają kolejnego do brydża, w którego nie grają. Na dzień dobry jego zaletą okazała się wrogość żywiona do kierownictwa, głównie do pani Grażyny. Jednak był pewien minus całej imprezy: Rumcajs był z Wrocławia, a to jak wie każdy, kto osiągnął coś w temacie geografii Polski, jest jakieś 300 kilometrów od Krakowa. A rzucaniem łajna trzeba było zajmować się każdego dnia od 8:30 do 17 w obrębie krakowskiego biura. Pracownicy terenowi liczyli się w o wiele mniejszym stopniu. Oczywiście mogła zdarzyć się jakaś afera z ich udziałem, warunkiem funkcjonowania firmy były afery wybuchające przynajmniej raz na miesiąc, a lepiej dwie miesięcznie, ale to jednak biurowi brali na siebie jakieś 80% doznań związanych z dynamiką działania firmy.

Z racji postępu technologii wiele rzeczy można załatwiać nie tylko za pomocą słów, ale też drogą elektroniczną. Wartość zdobytego doświadczenia mierzy się tym, iż ktokolwiek mający jakiegokolwiek pojęcie o pracy w życiu nie poruszy żadnej choćby śladowo istotnej kwestii biznesowej bez napisania maila, nierzadko z kopią do wszystkich świętych i prośbą o potwierdzenie odbioru. Najzabawniej, gdy taka korespondencja kierowana jest do osoby siedzącej przy biurku obok. Można byłoby porozmawiać, ale to ryzykowne. Jaki masz dowód na to, że pogadałeś-aś? Żadnego. Pisz! Gdyby coś się popsło, masz tak zwaną podkładkę, dupochron. Jednak myśl! Jeżeli ty właśnie coś zawałiłeś, próbuj wyjaśnić to słownie! Na to nie ma żadnych dowodów, jeżeli się uda, to się dogadasz i nikt nie będzie ci mógł niczego udowodnić, nawet jeżeli ty wszystko spierdoliłeś. Próbować warto, możesz zrzucisz to komuś na plecy, czasem nawet na pysk. Im więcej osób stosuje tę taktykę, tym ciekawsze treści wymieniane są między biurkami, czasem kilkoma, znajdującymi się w jednym pomieszczeniu lub w odległości dziesięciu metrów. Prawdziwi weterani zawodu wiedzą, że należy napisać maila, w którym przypisuje się człowiekowi całe zło świata, wysłać go i pobiec wyjaśniać słownie, że tego nie należy tak rozumieć, że w sumie to, co tam zostało napisane, to tak dla jaj, a że wszystko jest w porządku. Po wyjaśnieniu słownym adresatowi będzie dość niezręcznie pisać wszystko ponownie mailem. I to jest właśnie najbardziej magiczna chwila, bo w tym momencie nie ma on żadnego dowodu na swoją obronę, żadnej kopii niczego. Gdy pewnego dnia zrobi się gorąco w sprawie, wówczas otwiera się katalog wysłane i pokazuje:

– No, ja interweniowałem, ja zwracałem im uwagę, no ale on nic z tym nie zrobił. Proszę, tu jest czarno na białym, ja mu jak ojciec dziecku wszystko wyjaśniłem i za rękę prowadziłem, a on się po prostu uparł, żeby zrobić źle.

Mistrzem takiego rozgrywania spraw był bezpośredni przełożony Badyńskiego i Rydza, Zbigniew. Właściwie wszyscy się bardzo przyjaźnili, z czasem jednak Badyński zredefiniował słowa przyjaźń i współpraca na takie o odcieniu bardziej korporacyjnym (zaskakujące w firmie o atmosferze rodzinnej). Relacje te polegały na odbywaniu rozmowy telefonicznej na przykład z Rydzem, wymianie zdań, ustaleniu, że wszystko w porządku, a następnie gromkim rzuceniu do wszystkich zebranych:

– Ja nie wiem, co on odpierdala, chyba go zupełnie pojebało.

Oczywiście osoba, którą pojebało, nigdy się o tym nie dowiadywała. Za to gdy kolejnego dnia to ktoś inny był w terenie, wówczas to o nim można się było dowiedzieć, że jest z nim coś nie tak. Żadne opinie nie były wypowiedane wprost, zarzutów nie formułowano. W końcu panowała rodzinna atmosfera.

Pewną ważną kwestią w temacie pozostaje ta: po co robić coś tak bardzo wbrew samemu sobie? Dlaczego Badyński nie wstanie, nie pójdzie i nie podziękuję za taką pracę? Że sorry cię, Paweł, ale stworzyłeś piekło na ziemi, tak się nie da żyć, a tym bardziej pracować. Że nie mam czasu na siebie, na ludzi, których kocham, że życie w atmosferze ciągłych donosów i szpiegowania jest obrzydliwe, że źle się czuję, tak fizycznie, jak i psychicznie, że to jest horror, tylko bez wampirów, duchów i wilkołaków?

Bo wtedy Badyński się dowie, że tak wygląda dorosłość. Bo dorosłość zakłada, że za minimalne 42 i pół godziny tygodniowo nie będziesz w stanie opłacić mieszkania i rachunków. Bo dorosłość oznacza unicestwienie wszystkich więzi, które istnieją poza pracą. Bo Badyński żyje w świecie kultu zatrudnienia i wypłaty. Bo w takim świecie nikogo nie interesuje, kim Badyński mógłby być gdyby... Gdyby nie ci wszyscy ludzie dookoła. Bo w tym świecie nastanie poranka oznacza kolejną szansę na siedzenie za biurkiem.

Tych szans Badyński dostał jeszcze bardzo wiele. Niestety, nadszedł taki dzień, że nie mógł z nich przez jakiś czas korzystać. Czas urlopu. W końcu za jego ofiarę podatkową przyznano mu miesięczny urlop. Procedura zdobywania urlopu dla szczególnego pracownika była również szczególna i trwała dość długo. Badyński nie mógł ustalić, ile dni sobie może wziąć, a ponieważ miał zamiar ciągnięcia się na drugi koniec świata, to chciał ich jak najwięcej.

W końcu udało się ustalić daty lotu, nabyć bilety i następne ponad trzy miesiące przynajmniej wydawały się mieć jakiś sens. Gdy chciało się płakać, gdy chciało się pierdolnąć wszystkim i uciekać, Badyński patrzył w ekran swego laptopa, na zdjęcie birmańskiej świątyni i myślał sobie, że tak, że warto się męczyć, by zobaczyć to na własne oczy. Że cały ten syf prowadzi do jakiejś małej pagody, a takie pagody odmieniają życie i że to będzie tego warte. Myślał, czy liczyć dni, ale wyszło mu ich ponad sto, więc uznał, że to depresyjne. Po jakimś czasie wydawało mu się, że dzień wyjazdu nigdy nie nadejdzie, że dni wręcz przybywa... Należy mu wybaczyć, iż jako dorosły człowiek zapomniał właściwości czasu, który im bardziej męczący, tym dłużej trwa, a im przyjemniejszy, tym szybciej leci. Prawdziwą rewolucją, większą niż Einsteinowska teoria względności, będzie opracowanie wzoru na obliczanie przemijania czasu w wakacje i w trakcie dni roboczo-szkolnych. Jednak każde oczekiwanie kiedyś się kończy, chociaż Godot mógłby mieć odmienne zdanie, każda robota ma swój cel (tu Syzyf miałby pełne prawo zaoponować. Badyński myślał sobie, że *Syzyfowe prace* powstały o wiele za wcześniej i że dopiero nastał czas powstania tego dzieła).

Jednak dzień wyzwolenia nadszedł. Badyński pojechał na urlop. Nie miał zamiaru siedzieć na Kanarach. Pojechał daleko, do kraju spoza folderów turystycznych. Zobaczył nędzę, biedę, wzruszył się i wrócił za biurko. Jednak główną myślą przewodnią jego wyjazdu stała się ta, że życie nie musi tak

wyglądać. Że w takiej Birmie ludzie nie zachowują się jak na zachodzie. Że jest inaczej i świat się nie wali. Że nie mają tam badań klinicznych i jakoś żyją. Że narodził się w miejscu, gdzie stworzono piekło na ziemi dla milionów, żeby paru miało lepiej. W Birmie też tak było, ale tam jakoś ingerencja w życie codzienne obywatela wydawała się mniejsza, ludzie sobie siedzieli na polach ryżowych i tyle widzieli dyktatury, co im się zdjęcia pokazało. Badyński myślał sobie, że przecież tam jest strasznie, nie ma wolnych mediów, do ludzi strzelają na ulicach, nie mogą sobie wybrać władzy w wyborach demokratycznych...

Wrócił do kraju, rzucił okiem na wolne media, które akurat pluły widzowi w twarz i mówiły, że to dla ochłody. Zobaczył wyniki wyborów lokalnych, w których mieszkańcy wybrali sobie pomiędzy dżumą a cholera, a także tym, czy wolą oddać swoje wszystkie pieniądze na konto w banku na B, czy też na N. Niestety, nikt nie chciał strzelać do ludzi na ulicach, co akurat mogłoby sprowadzić trochę datków zza granic jego kochanej ojczyzny. Wszyscy łazili do roboty i nikt nie chciał nikogo zabić. Chociaż chyba każdy chciał zabić każdego, ale wszyscy się kryli ze swymi uczuciami, by nie naruszyć poprawności politycznej i nie wyjść na chama. Badyńskiemu przyszło wrócić za opalające światło monitora i w tropiki drukarki.

Zaczął się od łaski. Możesz iść wcześniej do domu, bo dopiero co wróciłeś z dalekich stron. Łaska nie precyzowała, czy można iść pić, ale bezmiar nieszczęścia jasno to determinował. Badyński pytał sam siebie, bo nie było nikogo innego pod ręką, dlaczego zgodził się wrócić. Dlaczego nie uciekł. Nie przeklął tego wszystkiego, nie poszedł do buddyjskiego klasztoru, ale wrócił za biurko, do swojej celi, tylko po to, by dalej kuć łańcuch, którym wiązał się do skały. Odpowiedzi, które mu podsuwano, były mu znane. Bo nie chcesz wcale żyć gdzie indziej. Bo się boisz tych klasztorów, o których tyle opowiadasz. Bo oszukujesz i wolisz ten pracowniczy boks niż jakichś Buddów z dawnych czasów. Badyński oszukiwał całe życie, ale nigdy nie było mu dane oszukiwać samego siebie aż na taką skalę. Poza tym czekał na wypłatę, i to podwójną, połączoną z noworoczną premią.

Jeszcze zanim nadszedł koniec roku, gruchnął wielki news. Firma będzie się przeprowadzała. Zamiast bezsensownie płacić za wynajem i nic z tego nie mieć, została zakupiona siedziba w bardzo prestiżowej dzielnicy, gdyż – jak się dowiedziano na zakładzie – adres świadczy o firmie, a lepszego niż nowy to nie ma nikt, nawet Rynek krakowski przegrywa. Temat nie był nowy, ciągnął się od wakacji, ale były jakieś problemy z jednym, drugim i trzecim, więc wydawało się, że uda się nadal pracować tam, gdzie wcześniej. Zalet nowego adresu nie brakowało, po pierwsze zdecydowana większość pracowników miała dalej. Po drugie, brakowało tam miejsc do parkowania i to widać było już na pierwszy rzut oka; przynajmniej połowa osób nie miałaby jak zostawić samochodu. Po trzecie, przeniesienie się z powierzchni biurowej do

domu, który jest na taką adaptowany było dość ekscentrycznym krokiem. Po czwarte, dojazd komunikacją miejską był o wiele gorszy. Tych cudownych właściwości nowa siedziba miała jeszcze więcej i jakoś nietrudno pojąć, że Badyński i ci, z którymi szczerze rozmawiał, jakoś nie mogli zrozumieć rangi pozyskania prestiżowego adresu.

Pojawił się problem natury organizacyjnej: przeprowadzka.

– Jak myślisz, jak się będziemy przeprowadzać? – zapytał Badyńskiego Rydz podczas jednej z przerw w pracy ponad ludzkie siły.

– Ty weźmiesz na plecy szafę, a ja biurko, co głupio pytasz? – odparł Badyński

Prawda okazała się nieco mniej radosna, ale i tak swoją zabawę mieli. Do tego dość dużo rzeczy firmie przeprowadzkowej nie udało się wnieść na piętro, ale od czego są chłopcy? Badyńskiemu przypomniała się rozmowa z towarzyszką życia prezesa, jeszcze zanim rozpoczął pracę w najlepszej firmie świata. Temat był związany z nieodgarnianiem śniegu sprzed biura firmy, problemów z ustaleniem tego, kto jest za to odpowiedzialny – administrator budynku czy nie, a może jakiś enigmatyczny dozorca? Opadów powyżej dwóch metrów tamtej zimy nie zarejestrowano, więc Badyński zapytał:

– Pracownicy nie mogą w ramach przerwy od lampienia się w monitory przerzucić paru szufli śniegu?

– Pracownicy zarabiają kilkaset euro na godzinę, nie są od odwalania śniegu – usłyszał tonem wyjaśniającym takiemu idiocie jak on porządek świata.

Czas pracowników najlepszej firmy świata musiał podlegać silnej dewaluacji, lub też ceny za przeprowadzkę znacznie wzrosły (do ponad kilkaset euro za godzinę), bo to Badyński z kolegami mogli tachać niejedno pudło na drugie piętro, podczas gdy wynajęci ludzie dowozili rzeczy na miejsce. W skali idiotycznych prac, jakie już wykonywał, ta nie była ani specjalnie zła, ani specjalnie dobra, ktoś to musiał zrobić i nie byłoby to problemem, gdyby nie to ciągle słuchanie o tym, że wykonują niemal pracę bogów. Bogowie wnieśli papiery na drugie piętro, tak pewnie wyglądał zmierzch bogów. Końcówkę grudnia można było powitać w nowej siedzibie pod prestiżowym adresem. Pewnym problemem wydawało się to, że większość ludzi spoza miasta królów i książąt polskich mogło nie wiedzieć, jak bardzo prestiżowa lokalizacja to jest. Nawet wysłanie map nie pomogłoby im w zrozumieniu tego fenomenu, gdyż po przeprowadzce firma miała bliżej do zoo niż na Rynek. Co więcej, ludzie z innych krajów wydawali się strasznie nieświadomi ważności miejsca pracy, bo sami mieli swoje biura raczej w krzakach niż w centrach miast. Zapewne oni mieli to złe podejście, które mówiło im, że fajnie jest móc bez problemu zaparkować po przyjeździe do pracy.

Zmiana adresu miała jeszcze pewien inny radosny aspekt biurokratyczny. Informację o przeprowadzce należało wpisać w wielu, bardzo wielu miejscach. Na szczęście ludzie zarabiający tysiące euro dziennie mogli się w to pobawić, poklikać systemy, wysłać trochę papierów.

Rok zbliżał się ku końcowi. Skłania to do przemyśleń, podsumowań, upicia się parę razy. Samego sylwestra jeszcze nie udało się zorganizować firmowego, ale wigilię owszem. Dość nerwową, należało wysiedzieć w pracy do jakiejś 16, a potem dobrać się samochodami i jechać w małopolskie krzaki. W tychże czekał niezły pensjonat, jak również zabawa firmowa.

Okazało się, że akurat w tym roku pracownicy zamiast bezduszných premii finansowych dostaną bardzo personalne nagrody książkowe. Wszyscy się wzruszyli, bo przecież dostać jakieś 2-3000 złotych jest głupie i bezosobowe, ale takiego Zafona z dedykacją samego prezesa, to są miliony na eBayu i miliardy w duszy. A jeżeli możesz jeszcze 23 grudnia jechać na zadupie i uciec od świąt z rodziną, jak pan prezes właśnie zrobił, to wartość prezentu idzie w miliardy. Zebrani zgromadzili się w jadalni i nie wiedzieli, co robić, bo zebrać się to jedno, a wiedzieć dokąd uciekać, to drugie, nawet jeżeli cała grupa tylko tego pragnie. W końcu przyszedł pan prezes i ogłosił, że bardzo się cieszy i że naprawdę jest w pytkę zajebiście, że wszyscy jesteśmy razem. Bo w tym roku najlepsza firma świata zarobiła bardzo, bardzo dużo pieniędzy, no jak nigdy wcześniej. Słyszając te słowa, Badyński się ucieszył, no bo skoro tyle się działo w firmie i wyszło tak ładnie, to znaczy, że przyłożył rękę, nogę i spoconego chuja do tego sukcesu. Wiedział, że jego krewniak jest zwolennikiem wynagradzaniem za wyniki, więc podejrzewał, że właśnie nadszedł moment, gdy ogłoszone zostaną premie noworoczno-świąteczne.

Ogłoszone zostało wezwanie do żarcia. Pan prezes sobie nie życzył ryby, więc dostał coś dobrego, a inni coś, co kiedyś żyło w wodzie, ale już zakończyło ten radosny tryb egzystencji.

– Ja też kiedyś pływałem, a teraz też jestem na widelcu – myślał sobie Badyński, patrosząc smutnie patrzącego pletwala.

Jakieś inne dania, jakieś lody, no i prezenty. Każdy dostał spersonalizowaną książkę i to się Badyńskiemu nawet podobało, chociaż wiedział, że następnego dnia zostanie tę samą książkę od rodziny. Poza tym wiedział, że książka to takie ładne opakowanie do premii świątecznej, czyli trzynastki, która dla wielu pracowników budżetówki była oczywista, ale dla pracowników najlepszej firmy świata była warunkowana jakością pracy. Badyński cieszył się, że im się udało, że balansując między jajami a GUŁagiem wypracowali dobre wyniki i cieszył się, że zostanie za to uczciwie nagrodzony. Bo może bywały jakieś gorsze, trudniejsze chwile, bo może wąpili w siebie nawzajem, ale jednak udało się im wszystkim, dobrnęli do końca tego roku, odpadł ktoś tam po drodze, jakaś wyrysowana Lidka, ale co nam to, bo przecież

jesteśmy razem, nam się udało! Pan prezes i jego przyjaciele, kończymy wszyscy ten rok na plusie i teraz będzie nagroda za wierność, teraz dostaniemy motywację na kolejny rok. Ba, może to nawet nie będzie pensja, może to będą pensje, jakieś dwie, może półtorej. W końcu to, co pokazaliśmy wszystkim, całej głupawej konkurencji, wszystkim, którzy uciekli od nas, bo przestraszyli się ciężkiej pracy... Tak, opłacało się być wiernym, ufać w wuja-prezesa. Tak właśnie myślał sobie Badyński, gdy stali wspólnie w kółeczku i patrzyli na pokonaną rybę na ich talerzach. Prezes-wuj oczywiście nie miał ryby, pozostali ją zjedli, świadectw zachwytu brakowało. Jednak po obłędnym obżarstwie ichtiologicznym, po szale czytelniczym kultury prezentu, przyszedł czas na relaks.

W tym czasie niektórzy skazańcy poprosili o prawo łaski i je dostali. Prawo łaski oznaczało, że można wyjść z imprezy firmowej. Ułaskawieni dali szybciutko dyla do swoich rodzin, mieli taką możliwość, by usprawiedliwić swą rażącą niesubordynację wobec dobrodzieja. Badyński nie, wiedział, że będzie musiał trwać do końca tej szampańskiej imprezy, bo przecież nie ma dziecka ani żony, więc musi odbyć karę w pełnym wymiarze. Łały się kolejne trunki, ubywało zainteresowanych, ale Badyński walczył i myślał o jednym: nie spierdolić się za bardzo. I, o dziwo, czy też „o, proszę pani”, udało mu się to! Zjebał się dostatecznie! Tak, że widać było, że umie się bawić, ale że nie przesadza. Był z siebie taki dumny, w końcu nabierał tych biznesowych nawyków, o których tyle słyszał, schlał się, jak przystało na poważnego człowieka.

Niestety, ponownie wiele osób nie było w stanie tego docenić, zwinęli się przed północą w imię banalnych więzi rodzinnych. Akurat tych Badyński miał pod nosem i pod dostatkiem. Na mało co czekał aż tak, jak na możliwość szczerzej rozmowy. Wiedział, że w Wigilię w końcu ta będzie mu dana, bo pan prezes będzie bez sekretarki i zbyt wielu możliwości ucieczki. Zawsze są łazienki i sypialnie, ale jednak ucieczka przed konfrontacją słowną uniemożliwia człowiekowi cywilizacji zachodniej chowanie się po szafach, a co dopiero prezesowi. Badyński miał umiarkowane nadzieje na prawdziwe wyjaśnienie czegokolwiek, bardziej chciał powiedzieć i pokazać, że wie, że się go robi w przysłowiowego chuja, że wie, że jest oszukiwany i że zasadniczo umiarkowanie mu to przeszkadza, ale lewara przeginać też nie należy. Może i większości osób to pasuje, chociaż wiara w to może być zgubna, niemniej JA WIEM, jak wiele spraw wygląda i JESZCZE to działa, ale jeżeli dojdziemy do miejsca, w którym pewne granice zostaną przekroczone, wówczas sprawa się jebnie. Nie dlatego, że z zapowiadanego rok temu wielkiego biznesu wyszedł jeden wielki gucio, ale dlatego, że jak zaprzędaję swe ciało i duszę na tyle czasu, to chcę, by chociaż czasem kłamano mi, że się mnie szanuje! Docenia. To nie muszą być premie, jasne jest, że tych nigdy nie będzie, ale jakoś tak,

żeby nie czuł się jak ostatni idiota i frajer, że zgodziłem się tam pracować?

To mniej więcej Badyński chciał przekazać krewniakowi. Oboje dobrze popili, więc pewnie przekazał całkiem coś innego, niemniej był pewien, że gdzieś dało się zauważyć i te ścieżki jego myśli. Ostatecznie padli sobie z krewniakiem w ramiona po intensywnym, jednostronnym dialogu i udali się spać.

Po świętach nastąpił powrót do pracy. Początkowo nie byli pewni, czy ich tradycyjnie już wyruchano bez mydła, czy też premie przyjdą z kolejnymi wypłatami. Było parę szkół myśli i podejścia do problemu:

– gdyby miały być jakieś premie, zostałyby ogłoszone podczas oficjalnej kolacji, tu macie po książce, a ciąg dalszy zobaczycie po Nowym Roku;

– premii nie będzie, po książce to wam wystarczy. Po co komu pieniądze, skoro dostaje taki ładnie spersonalizowany prezent?

Jakoś tak ich myśli kierowały się bardziej do opcji numer dwa. Niestety, nie wydawało się możliwe, żeby powrócić do rozmowy sprzed paru miesięcy, gdy to padały słowa o nagrodach i niewdzięczności pracowników, którzy po chamsku domagają się tego, co i tak przecież dostaną. Obiecaliśmy ci? A masz to na papierze? Nie, nie, musiałeś źle zrozumieć, na pewno nikt niczego takiego nie mówił. Wracaj do pracy i ciesz się, że taki niezguła jak ty jakąś ma – Badyński przeprowadził w myślach zarys głównych tematów ewentualnej rozmowy, jaka mogłaby się odbyć, gdyby zgłosił swój problem kierownictwu.

Tego roku życie tak się ułożyło, że święta przypadły na weekend, znaczyło to, że już od poniedziałku można będzie powrócić na ukochane stanowisko. Badyński wspominał, że z okazji Wielkanocy ochłap wolności, jeden dzień. Zastanawiał się jak to zostanie rozegrane przy Nowym Roku. Nie było, o czym myśleć, kto wziął urlop, ten mógł nie przychodzić do pracy, reszcie nuda nie groziła. A raczej właśnie groziła, bo jakoś wiele osób z innych krajów i wielu pracowników szpitali postanowiło nieco inaczej spędzać ten czas. Można było odgrzebywać zaległą robotę, ale jeżeli ktoś nie zorientował się, że coś nie jest zrobione czwarty miesiąc, to cholernie trudno pomyśleć, że w nowy rok wkroczy z okrzykiem: a gdzie to jest? Tak więc czas w robocie był jeszcze dłuższy niż zazwyczaj, czynnik rozrywkowy spadł niemal do zera i tak należało przecierpieć swój czas, często nie mając zbyt wielu pomysłów, co by można zrobić. Ten sposób spędzania roboty okazał się najtrudniejszy. Sekundy stawały się godzinami, pozorowanie pracy niemożliwością, do tego Badyńkiemu wydawało się, że zewsząd patrzą na niego uważnie. Stwierdził, że albo rozwija w sobie paranoję, albo też jego zew uczuć rodzinnych i szczerości z czasu świąt przyniósł już pewne efekty i uznano, że należy zakończyć mu ten

kolejny okres wolności szlacheckiej, najlepiej, sadząc kogoś za plecami. Jednak jakoś tak się pechowo dla przełożonych złożyło, że podczas losowania miejsc Badyński wygrał takie dalekie od drzwi, a już na tym etapie pracy w firmie rodzinnej miał opanowane ćwiczenia palców, takie jak zamykanie wszystkich okien przeglądarki, zrzuć ich na pasek. Ogólnie praca nauczyła go niemal do perfekcji zdolności maskowania się i pozorantwa. Chcecie osiem i pół godziny, macie osiem i pół godziny. Urządzenie szpiegujące w komputerze pozwolił sobie usunąć, skoro kierownictwo zapomniało wspomnieć o instalacji takowego, on pozwolił sobie potraktować je jako spyware i nikt nigdy nie pytał o przyczyny wygaszenia tego.

Tydzień ciągnął się wyjątkowo. Znajomi wydzwaniali, że wolne, że pijemy, dziewczę do kina chciało, a Badyński co? A że jutro wstaje o 7 i idzie do roboty. Nie, wujek mu nie da wolnego. Te wszystkie złe korporacje dały ludziom wolne, inne zakłady pracę z domu (czyli wolne inaczej), a najlepsza firma świata w osobie prezesa stała przy wejściu z zegarkiem i wyliczała pracownikom spóźnienia. Dwie minuty po czasie!

– O której zaczynamy pracować?

– Ale wczoraj byłem dwadzieścia minut dłużej i ...

– ALE to nic nie znaczy! Zaczynamy o 8:30!

Czuć było atmosferę świąt i wdzięczności za najlepszy rok w dziejach firmy!

Nadszedł sylwester. Ci, którzy pracowali, obstawiali: będzie cały dzień wolny czy dopiero gdzieś od połowy? Niektórzy mówili, że będzie normalny dzień pracy, ale to wydawało się niemożliwe. Niedobitki dobrały urlop, zostało parę osób. Zaczęło się normalnie, ale koło 12 pojawił się pracownik terenowy z łakociami i winem, więc wydawało się, że tyle tego dobrego wystarczy. Po godzinie okazało się, że można wrócić za biurka. O, jak wspaniale, o, jaka wdzięczność za ciężką pracę – myślał Badyński, bezmyślnie klikając jakieś idiotyzmy i próbując znaleźć kogoś do pogaduszek. Okazało się, że tym razem kierownictwu pomogła koleżanka z pracy. Gdy występowała o urlop na 31, pytała, czy naprawdę musi go brać. Dowiedziała się, że tak. Pozwoliła sobie powiedzieć, że to niesprawiedliwe, gdyż tego dnia i tak nikt nie będzie pracował, wszyscy pójdą wcześniej do domu, a jej przepada cały dzień urlopu. Zapewniono ją, że nie, nie będzie tak. I rzeczywiście, niemal jej nie oszukano! Ponieważ Badyński wiedział, komu dziękować za skierowanie torów myślenia przełożonych w tę stronę, jego miłość do współpracowniczki uległa jeszcze wzmocnieniu. Nie dość, że życzliwie doniosła wcześniej, to teraz zapewniła nam wszystkim ostatni dzień roku pełen wrażeń. Kierownictwo jedno, ale jeżeli

w takiej sytuacji sami sobie rzucamy kłody pod nogi, to jak możemy cokolwiek kiedykolwiek osiągnąć?

– Choćby te durne nadgodziny? – pytał sam siebie Badyński i niespecjalnie cieszył się z odpowiedzi, jakie sobie dedukował. – Czy ja, kurwa, jestem wśród ludzi, którzy nie mają niczego do roboty w życiu? Niczym się nie interesują, a jak z kimś są, to z kimś, kto dokładnie tak samo tyra w swoim zakładzie? Wszyscy w tym kraju chcą sobie wypruć żyły za jakieś 600 euro miesięcznie? Mniej niż sprzątacze ulic na zachodzie dostają? Nikt nie chce niczego innego poza tym kaprawym biurem z prestiżowym adresem? Czy każdy traktuje czas wolny jako przerażający, bo gdy nie ma maila od przełożonego, to nie wiadomo, co ze sobą robić?

Badyński był w stanie mnożyć podobne pytania, ale im więcej ich miał, tym więcej miał też odpowiedzi, które niespecjalnie go radowały. Bądźmy szczerzy: był przerażony. Czasy sprzed roku wydawały się odległym światem beztroskiego dzieciństwa. Gdyby Badyński miał podsumować niecałe dwanaście miesięcy w firmie rodzinnej, wówczas musiałby stwierdzić, że ma paranoję prześladowczą, także poza miejscami pracy, jego zaufanie do ludzi spadło do rejestrów nigdy wcześniej nieosiągniętych. Jego pogarda dla współpracowników była niezmierzona i ciągle się powiększała. Jego poziomy zmęczenia osiągnęły ciągłość, której nie dało się uciec, a jego nienawiść do systemu nie mieściła się w żadnej skali. Drażliwość i nerwica dawno już przekroczyły poziomy, przy których lekarz pierwszego kontaktu odsyła do psychiatry.

Pozostaje jedno, ważne pytanie: dlaczego? Dlaczego tak się męczyć? Dlaczego sobie zaprzeczać, dlaczego cierpieć, dlaczego wstawać, nienawidząc świata, dlaczego skazywać się na takie życie, na losy bez wątpienia gorsze od śmierci?

Bo nie ma innej możliwości.

Bo nie przewidziano, że komuś może się to nie podobać.

Bo to się wszystkim podoba i wszyscy tak żyją.

Bo jak nie chcesz, to jesteś pasożytem.

Bo twój krewny robi dla ciebie tak wiele.

Bo inni mają gorzej.

Bo przecież dobrze się bawisz. Nieprawda? Sam mówisz, jak dobrze!

Bo miłość życia.

Bo wakacje kiedyś będą.

Bo zdążysz do kina na 21.

Bo może kiedyś sobie kupisz domek w Toskanii i będziesz tam jeździł.

Tak, nie dzisiaj i nie jutro, ale kto wie, możliwości są niezmierzone!

Bo możesz sobie kupić kolejną płytę, film i zafoliowane odstawić na półkę.

Bo masz tu przecież takich dobrych przyjaciół.

Bo jak pójdziesz spać o 22, to do tej 7 się wyśpisz i masz tak wiele czasu dla siebie...

O tak, sposobów na wyjaśnienie sobie swojej sytuacji Badyński znalazł przynajmniej kilkaset. Nie ma lepszej metody na wyprodukowanie sobie człowieka pracy niż zmuszenie go do tego, by sam sobie wmawiał, że jego życie jest fajne. Komuniści próbowali samemu przekonać wszystkich, że jest cudownie, ale to się nie udało. Korzystając z lekcji systemu słusznie minionego, kolejny przerzucił ciężar propagandy na samego robotnika, wcześniej przenosząc go z fabryk i kopalni do klimatyzowanych wewnątrz biurowych. Okazało się, że wystarczy dać ludziom kupić sobie kolorowy telewizor, dziesięć chemicznych smaków jogurtu i tym samym otrzymało się samonapędzającą się maszynę do propagandy, która nie dość, że sama sobie wmówi, co potrzebne i wyjaśni najdurniejszy przepis świata, by nie oszaleć, widząc nędzę swego żywota, to jeszcze będzie objaśniała to innym. Zazwyczaj całkiem skutecznie, bo chociaż Badyńskiemu wydawało się, że jest poza działaniem wszystkich tych sił, to łapał się na myślach o Mauritiusie, awansie i podwyżce.

Doszedł do tego miejsca w trzy razy trzy. Jakies trzy miesiące zajęło mu przejście z poziomu osoby niezależnej i uważającej 1000 PLN za ocean pieniędzy do poziomu zarobasa, który za dodatkowe 500 PLN gotów jest się poniżyć, wyrzec samego siebie, swej osobowości, zainteresowań i godności, byle dostać pracę w pełnym wymiarze godzin i za większe pieniądze. Trzeci miesiąc to był punkt graniczny. Po trzech miesiącach pracy na zleceniu przeszedł na samozatrudnienie. Po tych trzech miesiącach zaczął widzieć ścianę, więc dostał urlop, a po kolejnych trzech podwyżkę, która miała pozwolić mu zrozumieć, jak bardzo to wszystko się opłaca. To dało mu kolejną motywacją, ale wiedział, że magia trójki się kończy, a raczej przenosi na poziom lat. Do następnej trójki zostało jeszcze bardzo wiele czasu, chociaż mogła być nią świąteczna premia, która zapewne przykleiłaby Badyńskiego do stołka na dobre kolejne trzy miesiące. Premii nie było, trwał jednak szampański sylwester! Godzina 15, ciemno, praca. 15:30, ciemno, praca. 16. Bóg wstąpił na niebiosa, prezes przyszedł na piętro. Jeżeli ktoś chce iść do domu, to może.

Największym błędem w takim momencie byłoby wstanie i wyjście, bo to znaczyłoby, że niczego tak naprawdę się nie robiło, tylko pozorowało pracę. Należało niechętnie jęknąć, że się dziękuje, ale jeszcze kończy się właśnie i jeżeli można, to chociaż chwilkę chciałoby się jeszcze popracować. Następnie wyczekać, nie robiąc niczego, od pięciu do dziesięciu minut. Bardziej bojący się śmierci wyczekiwali przynajmniej piętnaście, ale Badyński po prostu kochał

życie na krawędzi i wychodził wcześniej, w końcu krewniak szefa, to sobie wyjdę o 17:05 i zdążę na autobus do centrum, ten o 17:13. Jak wolność, to wolność!

Ale tak było zazwyczaj, a tu był sylwester! Wszyscy w naszej firmie lubimy poszaleć! Badyński poszalał w restauracji, a potem pił ze swą miłością do paru filmów na dużym ekranie telewizora w salonie. Istne szaleństwo i rozpusta. Ale skoro sylwester i tak zdarzył się w piątek, a w poniedziałek trzeba być na stanowisku, to głupotą byłoby robienie czegokolwiek więcej. Tak więc wyjazd ze znajomymi nie, bo nie ma czasu. Właściwie to i ochoty nie ma. Przynajmniej kac noworoczny był bardziej humanitarny niż zwykle.

Kolejny rok Badyński witał ze średnio radosnymi myślami. Wyrzucał kalendarz, myśląc sobie, że ostatnie miesiące jego życia wyglądały dość smutno. Coraz bardziej smucił go jednak fakt, że wyglądało na to, że i kolejne nie będą zbyt interesujące. Właściwie wychodziło mu, że kolejne lata będą takie same. Biureczko przez większość dnia, z obowiązkową przerwą na posiłek. Zasypianie w kinie, ciągle zawalenie robotą, które staje się po prostu nudne, bo i niczego ciekawego w wypełnianiu tabel nie ma. Rozmowy z lekarzami o tym, co mają kliknąć. Telefony do Hindusów pracujących w call center, że ktoś zgubił login i żeby mu wysłać nowy albo że przesyłka kurierska utknęła. Wkrótce będą musiały dojść do tego wyjazdu służbowe, czyli jedziesz skoro świt, tyrasz cały dzień, przyjeżdżasz w środku nocy i następnego dnia wracasz do biura, żeby napisać sobie raport. Te żałosne ilości wolnego czasu ulegną dalszej redukcji – liczył sobie Badyński. Nawet jeżeli trafi się wyjazd kilkudniowy, to radość z niego jest średnia, bo kończy się, śpiąc w jakimś hotelu w zapadłej dziurze. Większość firm z branży dbała o swoich pracowników i dawała im noclegi w najlepszych hotelach, nierzadko płacąc za barek, a jeżeli był salon masażu, to nawet i to się zdarzało, niemniej Badyński nie miał złudzeń, w najlepszej firmie świata diety wyjazdowe zawsze wynosiły tyle, ile najtańszy hotel w okolicy. Doliczając do tego przydział na jedzenie, kilkanaście złotych dziennie, to jeszcze się dopłacało do interesu. Zresztą, jakie diety, na pewno przygotowano dla niego bardzo atrakcyjny system rozliczania podróży, już to znał sprzed paru lat. Tak, przyszłość rysowała się w niezwykle kolorowych barwach. Do emerytury tylko ponad trzydzieści lat, ależ się Badyńskiemu chciało żyć!

Mniej więcej przełom lat (plus minus dwa tygodnie) okazał się być datą graniczną dla firmy. Rok 2011 powitano w atmosferze, przy której poprzednia najlepsza firma świata wydawała się wręcz szmaciarska. Ruszył profesjonalizm pełną gębą. Spóźnienia? Zapisane! Wyjścia na papierosa (raz na dwie godziny, łącznie z niepalącymi, bo sami chcieli zobaczyć, co i jak na zewnątrz)? Zaraz wam skończymy tę sielanekę i możliwość ucieczki od pracy!!! Chodzą słuchy,

że niektórzy oszukują i czytają w pracy gazetę albo siedzą na portalach społecznościowych. Oczywiście nie mówi się kto, ale wiedz, że jesteś podejrzany, pilnuj się i pracuj ciężiej, bo kto wie! Może to ty jesteś na czarnej liście? Nowy rok zaczynał się wspaniale. W połączeniu z krótkim czasem świecenia słońca i utrudnieniami logistycznymi, Badyński wspominał wakacje i jesień jako czas niemal szczęścia.

Ku szalonemu zaskoczeniu Badyńskiego i zaprzyjaźnionych z nim, premii nie dostali. Przypadkiem udało im się dowiedzieć, że jednak premie były, ale akurat nie dla nich. Model solidaryzowania się z młodymi ludźmi przyniósł przeżabawne efekty. Pani Grażyna „za po prostu ostatnie pieniądze” kupiła sobie terenowego jeepa do jeżdżenia po Krakowie. Opowiadała, jak to teraz ma mało do końca miesiąca i że jest właściwie w gorszej sytuacji niż reszta pracujących. Słuchanie tego przekonało Badyńskiego, że bezczelność ludzka nie zna granic. „Jedzcie ciastka” Marii Antoniny wydawało się przy tym być radą w dobrym guście.

Prestiż nowej siedziby przejawiał się w zaopatrzeniu jej w infrastruktury toaletowe. Co chwilę coś przeciekało lub w ogóle nie działało. Nie umniejszało to jednak radości wszystkich pracowników z faktu posiadania dwóch jacuzzi we w sumie trzech łazienkach. Mimo tego dobrobytu zaczęły pojawiać się kolejki, stan sanitariatów ulegał degradacji, a splukiwanie toalety prysznicem naznaczyło początkowe stadium użytkowania nowej siedziby. Pewnego dnia zjawił się kolejny hydraulik. Pomęczył się, zadziałało i trafił do złego pokoju z pytaniem, komu wręczyć rachunek.

– Tam na dole proszę pana, koło schodów – odparł mechanicznie Rydz, a nie odrywając wzroku od komputera dorzucił – A zanieś sobie pan, za rok ci może zapłącą.

Taka wypowiedź była oparta na osobistych doświadczeniach. W trakcie wyjazdów służbowych, pracownicy często sami płacili za paliwo, hotele, parkingi i posiłki. Następnie przedstawiali koszty do zwrotu. Wszystkie papierki należało nakleić na kartce papieru, policzyć je samemu i dać do pani Grażyny. Ta po jakimś czasie zatwierdzała wydatki, papier szedł do księgowości i już przy okazji nieszczęśnik mógł otrzymać zwrot wydanych pieniędzy. Oczywiście sprawa nie była taka prosta, robienie kosztów w czasie pracy było bardzo źle postrzegane i broń Boże nie należało wpisywać ich do *timesheeta*. Jak wiadomo, wykonywanie takiej roboty stanowi radosną składową czasu wolnego i w ogóle nie jest związane z pracą, jeździło się po szpitalach dla własnej przyjemności. Tego jednak nawet ludzie z przepranymi mózgami nie dali sobie wcisnąć i każdy lepił to mniej lub bardziej dyskretnie.

Jeżeli ktoś miał więcej wyjazdów, robiło się z tego parę godzin roboty. Jeżeli miał coś ważniejszego do zrobienia (a zazwyczaj miał, np. raport do napisania), bywało że firma zalegała mu dobre kilkaset złotych, a rekordziści dobijali do dwóch tysięcy, które to zbierały się w ciągu kilku miesięcy. Złożenie papierów w sprawie zwrotu też wcale nie oznaczało, że pieniądze zaraz zostaną wysłane, to przecież też jeszcze mogło potrwać. Niektórym jednak udawało się dostawać zaliczki na wyjazdy, szybszy zwrot poniesionych wydatków. Inni sobie czekali np. do następnej wypłaty.

Z utratą kolejnych niesamowitych wolności pracowniczych i coraz bardziej restrykcyjnym nadzorem pracowników w ramach czarnego humoru zastanawiano się, co też jeszcze można im zabrać. W tym szale socjalistycznych wolności już wiele nie zostało, bo i przerwy obiadowe jakoś uległy skróceniu z 30 minut. Śniadaniowe obarczone były ryzykiem, o ile jeszcze parę miesięcy wcześniej stanowiły standard, teraz zaczęły być groźne, bo macie pracować! Niemniej zdarzał się i taki szal wolności, że jadło się wspólnie kanapki w kuchni. Zazwyczaj czekało się na Zbigniewa i jeżeli sam siadał jeść, wówczas dołączali do niego inni. Gdy projekt uległ rozkręceniu, pracownicy szeregowi mieli bardzo poważne kłopoty z ustaleniem, co też on robi i jakie są efekty jego pracy.

Tuż przed nowym rokiem zespół pracowniczy zyskał wsparcie w postaci Bolesława. Głównymi zaletami Bolka okazały się być te, iż już kiedyś pracował dla najlepszej firmy świata i gdy odchodził do korporacji, bez jęczenia zapłacił wiele pieniędzy za szkolenia. Po latach robienia w świecie wielkiego biznesu zapragnął spokoju pracy w firmie rodzinnej. Powrócił do AlfAlfa w stopniu starszego monitora, czyli wie niemal wszystko i przeznaczony jest do celów najwyższych, w wolnych chwilach dzieli się swoim oceanem wiedzy z młodszymi stażem adeptami.

Początkowo Badyńskiemu chciało się śmiać na myśl o tym, że ktoś doświadczony szuka spokoju u nich, niemniej wkrótce zrozumiał, że i to jest możliwe, można mieć i święty spokój. Bolesław okazał się wspaniałym partnerem do rozmów okołopracowniczych (plusy i minusy danego modelu samochodu), ale jakoś tak wychodziło, że ciągle nie miał nic do roboty. Początkowo się wdrażał. Gdy wydawało się, że czas na to przeznaczony dobiegł końca, jakoś zawsze znajdowały się niesamowite przeciwności losu, które sprawiały, że akurat nie mógł zabrać się do tej właśnie roboty, tylko konieczne było przekazanie jej komuś innemu. Chwilami nabierało to wymiarów przerastających negocjacje traktatów pokojowych po wojnie, najpierw wprowadzał wysoki stopień zamieszania, by w końcu doprowadzić sprawę do tak absurdałnego wymiaru, że następnie decydowano – na szczeblu kierowniczym – że aby już tego badania przesadnie nie komplikować, lepiej

zostawić, jak jest, a Bolek zajmie się czymś innym i kiedy indziej. Gdyby wszyscy mieli taki mniej więcej zakres obowiązków, nie byłoby problemu, ale gdy ryjesz nosem ze zmęczenia, to nieco negatywnie na twe nerwy wpływa, gdy współpracownik siedzi sobie otwarcie na popularnym portalu społecznościowym lub też szuka felg do auta w okazyjnej cenie, ewentualnie czyta gazetkę. To było jedno, ale to że informował wszystkich o tym, że właśnie przeczytał o tym, że on jej, a ona jemu, zaczęło być bardzo frustrujące. Tyle im mówili, że czas to zysk, człowiek musi na siebie zarobić, a tu siedzi chłopak z bardzo ładną pensją i jeszcze w ciągu dnia okazuje się, że musi gdzieś, po coś jechać, a to dziecko odebrać, a to coś ważnego. Ponieważ project manager (w dobrych firmach wszystkie stanowiska nazywane są językiem wroga) zgadzał się, a nawet był za tym wszystkim, tym sposobem i metodą na Bolesława spłynęły kolejne tygodnie czytania gazet przez cały dzień. Chwilami było to nieco żenujące, starszy monitor pyta CTA, o co w tym wszystkim chodzi i po drugim zdaniu mówi, że w sumie to mu się nie chce słuchać, bo może wycieraczki do auta się taniej pojawiły.

Swoistym szczytem szczęścia tego układu były weekendowe spotkania rodzinne. Pytania z sugerowaną odpowiedzią: a jak ci się też w mojej pracuje? Fajnie jest, prawda?

Ależ oczywiście, że jest. Wam jest bardzo fajnie, w to nie wątpię. Ale cudowny wujo, takie ciężkie czasy, a ten mu pracę załatwił. Ten takie niezyciowe studia, do niczego się nie nadaje, ale może jeszcze uda się, że wnuś Badyński wyjdzie na ludzi.

Tak, tylko jeszcze dołóżcie mi trochę kontroli, sprawdzajcie dodatkowo, co robię w sraczu i pod prysznicem, wyrzycie dodatkową presję, a na pewno wam się to uda – myślał Badyński, po raz kolejny wyjaśniając zebranym, dlaczego też nie jada mięsa i że dzisiaj także się nie skusi, chociaż wierzy, że pyszne.

Jednak nie wszyscy pracownicy byli nastawieni tak negatywnie. Była wśród nich Danka, która dołączyła jesienią. Badyńskiemu wydawało się, że to fajnie, że będzie ktoś nowy w grupie. Ba, do tego tak rzuciła się do roboty, że wydawało się, że w ciągu dwóch tygodni wyjdą na prostą. Od przeprowadzki do nowej siedziby wymiar jej zaangażowania w firmę i pracę osiągnął poziom, który zawstydziłby stachanowców z czasów rozkwitu Związku Radzieckiego. Początkowo wyjaśniał jej jak dziecku:

– Naturą tej pracy jest to, że im więcej zrobisz, tym więcej do roboty dostaniesz. Należy zachowywać rozsądny stosunek między ilością rzeczy, które robisz, które masz zamiar zrobić, a z których i tak jest jasne, że zrezygnują. Naprawdę, oni najpierw strzelają, potem zadają pytania, a potem przepraszają.

Apel nie poskutkował. Nawet porażki w stylu spędzenia trzy dni nad debilną modyfikacją danych (która po szybkiej analizie grupy została uznana za niemożliwą do wykonania) i kolejnego na powrocie do stanu wyjściowego, nie zraziły bohaterki, która postanowiła zawstydzić cały zespół i świat. Po jakimś czasie stało się to dość irytujące. Badyński rozumiał, że jeżeli ktoś nie ma żadnego życia uczuciowego (ani ochoty do zmiany tego stanu rzeczy), żadnych bliższych znajomych i absolutne zero zainteresowań, to spędzanie ponad dwunastu godzin za biurkiem może wydawać się takiej osobie atrakcyjne. Problemem jednak było to, że poza Danką pracowało tam jeszcze kilka osób, którym zdecydowanie wystarczało pod dziewięć godzin (których liczba ciągle rośnie) spędzanych w robocie. Niebezpieczeństwo zasadzało się na tym, że za jakąś chwilę przyjdzie kierownictwo i powie: no patrzcie, jak tu koleżanka się stara, jak jej zależy na dobru firmy! A wy to co?

Oczywiście nie było nawet tematu, że mogłaby dostać jakąś premię za swoją robotę. Początkowo naiwnie Badyński myślał, że może o to jej chodzi, ale nie. Chodziło tylko o to, żeby nadać jakiś sens swojemu życiu, a te wszystkie piękne tabelki, grafiki, wykresy i tony papierów pozwalały właśnie na to. Celu właściwie w tym wszystkim nie było, no chyba że ktoś chciał uwierzyć w mądrości powtarzane na szkoleniach, ale Badyński wiedział, że w takiej desperacji jeszcze żaden człowiek nie był. Chociaż, gdy widział ten niezdrowy entuzjazm swojej koleżanki związany z otrzymaniem kolejnego idiotycznego zadania, które zajmie oceany czasu...

Im więcej było zadań, im bardziej niejasno sukces był zdefiniowany, tym lepiej. Po co pracownik mógłby wiedzieć, że coś skończy? Że osiągnie sukces? O nie, sukcesu zdefiniować za nic nie można było!

Z kolei Badyński coraz częściej definiował sukces nieco inaczej. Kiedyś to było doczłaganie się do kolejnego weekendu. Po nowym roku przeczłaganie się przez dzień było całkiem niezłym osiągnięciem. Potem zaczął rozbijać dni na połówki, a te wkrótce na godziny. Zaczął się bać, że już nie zostało tak wiele kroków do liczenia minut i sekund, a tym samym do obłądu.

Jednak bywały i dni, gdy praca nie kończyła się w chwili wyjścia z siedziby najlepszej firmy świata. Czasem ktoś miał urodziny. Przyniósł tort, przyniósł wino, z nadzieją, że spotka się ono z aprobatą wodza. Posiedział, przyjął obowiązkowy prezent lub nawet obowiązkowe prezenty. Potem jednak okazywało się, że przecież można spotkać się w jakimś lokalu wieczorem. Kłątwa ta spotkała Rydza. Właściwie trudno było stwierdzić, dlaczego tak się stało, czy w ten sposób postanowiono mu wynagrodzić niepłacone nadgodziny, czy też ukarać go za brak entuzjazmu do pracy na rzecz rozwoju firmy. Jakoś tak wyszło, że tego wieczoru wszyscy spotkali się w lokalu, niemal bezpośrednio po pracy. Badyński był w tej komfortowej sytuacji, że mógł wziąć ze sobą swoje dziewczę i się nim chwalić. Chodził, patrzył i tym wszystkim

mówił: o patrzcie, kurwa, jaka ładna i mądra, a nawet jeszcze ślubu nie wzięliśmy, wiem od was mędracy i mędrzynie, że naprawdę zajebiście będzie dopiero potem. Ale co, ma ktoś lepszą? Młodszą, ładniejszą? To niech pokaże! Co, sami przyszlście? No właśnie! I kto komu skacze na pędzel?

W końcu sposobów na pocieszenie i dowartościowanie się każdy znajdzie setki, samiec prezentujący samicę plemieniu jest dość klasycznym, ale skoro działało to tyle lat, to i zadziała raz więcej. Jednak najciekawszym aspektem tych urodzin były prezenty, jakie Rydz dostał. Od Badyńskiego z dziewczęciem koszulkę ulubionego zespołu, więc wstydu nie było, ale kierownictwo postarało się w inny sposób. Rydz dostał książkę, w końcu każdy człowiek na poziomie lubi książki, szczególnie takie o starych samochodach. Pani Grażyna podkreśliła mu, że wybrała tę pozycję specjalnie dla niego, że długo szukała, ale w końcu się udało.

Impreza skończyła się bez ekscesów. Parę osób wzruszyło, że po pana prezesa przyjechała towarzyszka życia, z kilkumiesięcznym dziecią na tylnym siedzeniu. Było konkretnie ujemnie, ale w końcu taksówka kosztuje, dziecko też kosztuje, niemniej skoro już płacimy za drugie, a można uniknąć pierwszego...

Przysłowiowe szydło wyszło z worka parę tygodni później, ale nie więcej niż dwa. Pewnego wieczoru Badyński odebrał telefon od Rydza.

– Jestem właśnie na stacji Orlenu... Zgaduj, co można dostać za darmo, to znaczy jeżeli zbierzesz odpowiednią liczbę punktów.

– Piwo? Bo pewnie nie wódkę – zgadywał Badyński.

– Nie, tę książkę o starych samochodach, którą mi podarowali na urodziny.

Zaległa cisza. Przerwał ją Rydz.

– Że to dali, to jedno. Ale drugie, to że mi tak opowiadała, że tak bardzo tego dla mnie szukała i że to specjalnie znalezione.

Ten prezent był esencją koncentratu pracy w firmie rodzinnej. Totalna kutasowa, która wodzom nie była do niczego potrzebna, stawiała się łaską z nieba dla pracownika-pariasa. To, że on jej tak samo nie chciał i jeszcze bardziej nie potrzebował, nie miało żadnego znaczenia, bo pracownik, w odróżnieniu od nich (onych, bo *oni* to diabły po japońsku) musiał się uśmiechać do tego cudownego prezentu, którym mógł, co najwyżej podeprzeć stołowe nogi.

Co Badyński mędrce nie był, to jedno, ale jakiś tam dar pojmowania tego całego cyrku miał. Z każdym dniem coraz poważniej zastanawiał się, co zrobić, gdy jest się uwięzionym w zakładzie psychiatrycznym, a lekarze są niebezpiecznie obłąkani?

Jednak cała ta robota, a także zapłata przelewana z poważnym opóźnieniem, mogła przydać się czemuś innemu. Pułapka życia zakładała wydawanie ponad połowę żałosnego wynagrodzenia na życie, ale ponieważ Badyński mieszkał z matką w ładnym, żółtym jednorodzinny domku na przedmieściach, jakąś połowę oszczędzał. Jakoś tak wyszło, że pod koniec stycznia zaczął myśleć o wycieczce. Że weźmie swe dziewczę i pojedą do jego ukochanej Azji. Stał przed problemem natury wcześniej mu nieznanej: są pieniądze, nie ma czasu. Pomyślał, poszukał i wybrał: Korea z Japonią. Wiele czasu nie potrzeba, budżet powinien wystarczyć, Małgosia też zawsze o tym marzyła. Miejmy jakąś nagrodę za te zmarnowane dni życia. Pocieszymy się jakoś, niech za te zmarnowane miesiące będą te dni radości. Tylko ten urlop... Wcześniej Badyński myślał sobie, że nie może dostać wytycznych w kwestii urlopu, bo dołączył do najlepszej firmy świata w połowie roku. Liczył, że z okazji rozpoczęcia nowego roku ulegnie to zmianie. Pewne zmiany były, musiał płacić więcej podatków, ale jakoś temat urlopu zawsze kończył się na „a co chcesz?”. Chcę wiedzieć, ile i kiedy, ale to jest niemożliwe przecież... Przecież wszystko zasada się na niejasności reguł, na tym, że to wódz posiada głos decydujący, że o zgodę na wszystko należy go prosić. Raz w układzie: prezes i trybik w maszynie, raz jako kochany siostrzeniec i wspaniała jednostka świata tego. Z Birmą się udało, próbuj z Japonią!

Badyński miał tego serdecznie dosyć. Jego etatowi współpracownicy mieli niby tak mało urlopu, ale ciągle okazywało się, że niektórzy z nich nie muszą niczego wypisywać, bo a to trudna sytuacja rodzinna, a to ważne sprawy urzędowe. Badyński raz poszedł, że ma problem z bankiem, związany bezpośrednio z jego formułą zatrudnienia. Okazało się, że przecież może to załatwić jakoś inaczej, na pewno nie wychodząc wcześniej z pracy. Tego samego dnia kochana Karolina-donosicielka przyszła trzy godziny później, bo bank. Kto by się spodziewał, że obiór etatowej pensji może być tak trudny, bo przecież nie chodziło jej wcale o, totalnie prywatne, branie kredytu. Nie należy jednak mieć złego obrazu sytuacji. Wiele osób było rozliczanych, co do minuty, a urlop cięto całymi godzinami.

Ale Japonia... Badyński poszedł i zgłosił. Wyliczył, że w sumie potrzebne mu jest około osiemnastu dni urlopu, przy czym śmie wątpić, że 2 maja będą się działy rzeczy wielkie na zakładzie i czy będą pracować, więc raczej 17. Po długich myśleniach pana prezesa dowiedział się, że no niech będzie, ale to koniec z urlopami do końca roku.

– Hmm, etatowiec ma tych wolnych dni 26. Gdy mi wkręcano samozatrudnienie, mówiono mi, że będę miał o wiele więcej wolnego niż etatowcy. Nie minął nawet rok i nagle mam jakoś magicznie mniej? To w przyszłym będę musiał dziękować za Boże Ciało? Czy też tyrać wtedy? –

zastanawiał się Badyński, dziękując jednocześnie prezesowi za łaskę urlopu.

Miał jednak jeszcze złudzenia, bo trudno jest żyć bez iluzji. Wiedział, że cała ta tępota przełożonego wykształciła się jak pasy u zebry, w wyniku selekcji naturalnej. Że kiedyś taki nie był, że to nie stało się z dnia na dzień, nie, po prostu kierownik odkrył, że człowiek to zysk, czas to zysk, a jeżeli podniesie się zysk do kwadratu, to otrzyma się – niespodzianka! – zysk do kwadratu.

Nikt od ludzi w gułagach nie wymagał, żeby władzę kochali, czy też jej ufali. Tamtym władzom wystarczało, żeby ludzie się bali, byli pokorni, wykonywali plan i podnosili ręce w miarę potrzeby. Tak wyglądało niewolnictwo XX wieku. W XXI wieku formułę udoskonalono, teraz władzę należało kochać, bo jest taka fajna i wspaniała, a dla Badyńskiego to przecież rodzina, więc już nie było w ogóle tematu, jakież to uczucia mógł żywić wobec tejże. Zaufanie było więc rzeczą oczywistą, to był zaszczyt. Każde wykonanie planu było zasługą kierownika, zaś wszystkie problemy winą pracownika. O podnoszeniu rąk nie było mowy, chyba że w konkursie na to, kto wyniesie śmieci. Z udziału w tymże kierownictwo było rzecz jasna zwolnione, chociaż to pudła po ich żarciu sprawiały, że kosz codziennie był pełen.

Pracować to znaczy uczyć się i awansować. Nawet w tak durnych warunkach pracy należało nakreślić jakąś ścieżkę rozwoju dla pracownika i ten musiał na nią wkroczyć. Badyński wiedział, że i jego to czeka, więc żeby się nieco podlizać, sam zgłosił się do Zbigniewa z pytaniem, czy może udać się na auditing z Rydzem i Katią. Ten się zgodził, więc w pewien mroźny poniedziałek Badyński pojechał z nimi do krakowskiego szpitala. Zrobili, co zrobić mieli, posprawdzali dokumenty, wprowadzili dane do odpowiednich, kosztujących fortunę systemów informatycznych, poprzekładali dokumenty w segregatorach, policzyli lek, zrobili wszystko tak pięknie, że piękniej się nie dało, a dopiero dochodziła godzina 14.

– Idziemy do biura? – zapytał Badyński, połykając łzy.

– Nie, ja nie chcę tam iść.

Burza mózgów. Co robić? Teoretycznie wizyta mogła zająć tyle czasu, szpital duży, pacjentów też wielu, Badyński i Katia się uczą, Rydz ich trenuje. Ale będą godziny na kwitach z parkingu. Można zgubić, zapłaci się już z własnej kieszeni, ale to będzie podejrzané. Ostatecznie ustalono, że poziom rozliczania kosztów tkwi w takim chaosie, że nikt tego nie zobaczy, tym samym przegłosowano zostawienie auta i przyjscie po nie po 17.

Trzy godziny! Te trzy godziny wolności dłużyły się Badyńskiemu niczym wieczność. Poszli sobie do knajpy z cichą muzyką, na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił do nich. Dużo rozmawiali, w tym o zbliżającym się awansie Badyńskiego. Wychodziło, że będzie bardzo, bardzo trudno. W swej rozmowie

przyjaciele prawdopodobnie poruszyli każdy możliwy aspekt promocji młodszego kolegi i analizowali, co też powinien i jak zrobić. Dzikie ataki śmiechu wywoływał pomysł zagwarantowania uregulowania kwestii nadgodzin. Niemniej było parę kwestii koniecznych do negocjacji i mieszczących się w bardzo optymistycznie możliwych ramach dyskusji.

Następny dzień Badyński rozpoczął od poważnej rozmowy z panią Grażyną. Szef był bardzo niepokojony, że pozwolił sobie na wizytę w ośrodku.

- Zgłosiłem to kierownikowi projektu, dostałem jego zgodę.
- Ale szef o tym nie wiedział!
- Widocznie kierownik mu nie powiedział, bo zapewne nie mówi wszystkiego, co też się u nas dzieje.
- Ty powinieneś to zrobić
- Nikt inny tego nie robi, nie jestem pierwszym CTA, który pojechał na wizytę.
- Ale ty jesteś inny. Wczoraj były krzyki i wrzaski na całe biuro, że nie chce ci się pracować, że samowolka, że w ogóle tam nie pojechałeś...
- Można dość łatwo to było sprawdzić, a i teraz możemy, zadzwońmy do pana doktora...
- Nie, nie. Tylko pamiętaj, musisz iść i dostać pozwolenie, żeby nie przyjść do pracy.
- Ale ja byłem w pracy, chyba że wizyty monitorujące nie są takową?
- No ale ty musisz to inaczej załatwić.

Ta wyjątkowość jego osoby zaczynała być dla Badyńskiego nie do zniesienia. Z każdym miesiącem i tygodniem przykręcano mu coraz bardziej śrubę, chociaż i sam punkt wyjścia nie należał do kategorii przesadnie relaksacyjnych, niemniej takowym wydawał się z perspektywy paru miesięcy. Pracownicy młodszy od niego stażem zaczynali być lepiej traktowani od niego, bo im się poprawiało, a Badyńskiemu tylko pogarszało. Zaczynał czuć się prześladowany, nawet po pracy oglądał się nerwowo za siebie, nawet w domu sprawdzał, czy ktoś nie patrzy mu przez ramię na monitor. Strach nie powinien być normalnym stanem cywilizowanego człowieka, człowieka, który porozumiewa się w paru językach, dużo czytał i coś tam wie. Kogoś, kto według wszystkich norm społecznych i finansowych odnosi sukces.

Dopiero, gdy Badyński dobrze się schlał, zdarzało mu się czuć lepiej. Ponieważ jednak wiedział, że następnego dnia wstaje do roboty, to i to uczucie szybko przemijało, a włączał się smutek i depresja. Jest tyle pięknych rzeczy, które można w życiu robić, a ja w ich miejsce wykonuję idiotyczną pracę, która nigdy nie przyniesie mi niczego. Po takiej konkluzji można tylko pić dalej.

Innego lutowego dnia Badyński wystąpił z prośbą o dzień wolny. Nie było jasne, co z tym urlopem, ale ponieważ rok dopiero się zaczął, a Badyński nie brał ani minuty wolnego, to istniała mała szansa, że jeszcze jakiś urlop mu przysługuje. Będą rozdawane Oscary, chcę oglądać na żywo, jak to robię od mniej więcej osiemnastu lat, ceremonia kończy się koło 6 rano, jasne, że się nie da przyjść i pracować. A czy myśmy kiedyś nie mówili, że z racji samozatrudnienia będę miał szaleńcze ilości urlopu? No właśnie. Jeden dzień mi potrzebny cały z tego bezmiaru urlopu, którym mnie obdarzyliście. Po długich rozmowach i negocjacjach, Badyńskiemu pozwolono przyjść na 12. Tłumaczył i wyjaśniał, że to nie ma sensu, że będzie po jakichś czterech godzinach snu, że ryjem po biurku, że chyba coś robi, że chyba może dostać ten zasrany dzień urlopu. Nie, 12.

Przyjście o 12 stało się przyjściem o 14, bo ludzkie ciało ma pewne ograniczenia i nawet kapitalizm w wydaniu polskim nie jest w stanie ich oszukać. Kolejne trzy godziny Badyński siedział i demonstracyjnie nic nie robił. W *timesheet* wpisał jakąś standardową bzdurę. Efektów pracy nie było, był spierdol za spóźnienie.

– Dałeś dupy, miałeś być o 12.

– Czy ja tak mówiłem? Czy nie mówiłem, że chcę wolny dzień?

– Dałeś dupy! Prezes nie chciał się zgodzić na cały dzień urlopu.

Aha, to jak mi to wpisiecie w ewidencję? Pięć godzin? Jakiego urlopu, przecież ja jestem zewnętrzną firmą dochodzącą – domyślił sobie Badyński, nic nie powiedział i poszedł poirytowany na miejsce pracy. Ilość tematów, w których dał dupy i poszedł na samowolkę rosła w tempie imponującym. Widząc warunki współpracowników, miewał coraz większe kłopoty z przełykaniem przybywających upokorzeń i trudności. Potrzeba zawsze kogoś, aby uzasadnić własną nędzę, najlepiej kogoś, kto pozostaje w jeszcze większej. Mniej więcej w połowie lutego Badyńskiemu skończyli się komparatystyczni kandydaci w biedzie i upokorzeniu. Dotarł do dna i pozostało mu tylko oczekiwać z nadzieją na dźwięk pukania od spodu.

Potem był Dzień Kobiet. W imię integracji zespołu pracowniczego, wszyscy mężczyźni z radością wydali po 60 złotych, żeby dać kwiaty swoim koleżankom. Co tam, że niektórzy obdarowywali te, których nienawidzili, lubianych zabrakło, bo ich nigdy nie było. Ważne że odbyto kolejny rytuał integrujący pracowników najweselszego zakładu świata. Że się pocałowano, że dano sobie badyłe, że krzaki zmieniły właściciela. Chryste, jakie to piękne i godne pochwały, jak to bardzo buduje zespół! Jak warto żyć dla takich chwil! Potem to już kurwa tylko marzyć o powrocie do nich! Firma rodzinna! Raj na ziemi! Piekło jest gdzieś indziej. Chwilowo nie mamy adresu, ale na pewno nie tutaj. *Sag auf Wiedersehen!*

Rok. Nawet niecały rok. Tyle wszystko zajęło. Tyle zajęło Badyńskiemu utraceniu wszystkiego. Po jakichś niecałych 400 dniach był kimś innym. Gdzieś przepadło wiele z niego. Zagubił gdzieś radość życia. W zamian dostał gdy. Może. Kiedyś.

Kolejne wydarzenia nie kazały na siebie czekać. Badyński dowiedział się, że być może przed nim awans. Zamiast się ucieszyć, przypomniał sobie słowa mądrzejszych od siebie. „Jeżeli coś ci dają, to znaczy, że dla nich jest warte przynajmniej tysiąc razy więcej”.

Początek marca. Badyński desperacko biega od biurka do biurka. W końcu jesteście przyjaciółmi, prawda? Co robić? Zgoda: awansuj! Ale gdzie, dokąd? Nieważne, awansuj! Badyński siada z przyjaciółmi. Nie ma tam żadnych kolegów, są tylko przyjaciele. Najpierw mówi on, potem oni, ale bardzo często muszą udawać, że ich tam nie ma.

Po dwóch dniach już wiedzą, Badyński też wie. Idzie walczyć o swoje. Jest 14 marca. Poniedziałek. Badyński idzie do szefa. Swojego ukochanego wuja. Mówi, co tylko powiedzieć może.

– Zgadzam się na awans.

I co słyszy?

– Nie zdałeś testu. Liczyłem na odpowiedź dwa dni temu, w piątek.

– Powiedziałem, że muszę się z tym przespać.

– Miałeś na to noc.

– Nie, przespać, nie znaczy dosłownie jednej nocy, wiesz dobrze o tym! Przespać się znaczy przemyśleć problem. I to właśnie było to, musiałem przemyśleć wiele problemów związanych z zaszczytem awansu.

– Nieważne. Oblałeś swój pierwszy test! Czas pokaże, czy dasz sobie radę z innymi. Od jutra oczekuję od ciebie garnituru każdego dnia.

– Ale mój przełożony...

– To nieważne – ucięto temat. – Masz ściąć włosy i przychodzić do pracy tylko w garniturze.

– Dobrze, rozumiem. Jakich profitów mogę się spodziewać w nadchodzących miesiącach? Etat zamiast samozatrudnienia? Podwyżka?

– Zobaczymy. – Proszę?

– Porozmawiamy o podwyżce, gdy zobaczymy, że na nią zasługujesz.

Badyński nie był dzieckiem. Wrócił do swojego boksu. Upokorzenie. To uczucie dominowało. Powiedział wszystkim, jaki to piękny awans dostał. Wszyscy zgodnie mówili, że przesrane. Kwantyfikator wszyscy wydawał się właściwym dla życia. Gdyby mówił, że super, wszyscy mówiliby, że super. Wszyscy mówili to samo, co wszyscy. Wszyscy byli zgodni, wszyscy chcieli tego samego, wszystkim się nie podobało, wszyscy byli przeciw, ale wszyscy

jakoś zgadzali się być częścią tego cyrku. Wszyscy byli przeciw, ale nikt niczego nie mówił. Wszyscy czekali na zmianę, ale tak samo wszyscy zgadzali się na ten stan rzeczy.

Po tych kilkunastu miesiącach Badyński powoli przywykał do klimatu pracy w firmie rodzinnej. Pomyślał. Potem powiedział wielu osobom: ja tego nie widzę. Mnie w tym nie będzie. Poklepano go po plecach. Każde z nich mówiło coś takiego przynajmniej raz na tydzień. Ja stąd pójdę, ja tego nie widzę tak dalej. Nikomu się nie widziało nic innego. Do Badyńskiego dotarło, że po dwóch tysiącach upokorzeń, upodleń, jeszcze jedno upokorzenie nie powinno na nic wpływać. Przecież to normalne, rodzina, rodzinna firma, rodzinna atmosfera. Wszystkich traktują jak szmaty, a ciebie tylko nieco gorzej, miałeś ponad rok, żeby się przyzwyczaić.

Ale, kurwa, jednak nie. No nie.

Jakoś tak wyszło, może to były gwiazdy, może jakiś chujowy układ gwiazd i planet. Może do wina w końcu winiarnia dojechała dobrze spirytusu.

A może to, że CZŁOWIEK PRZYZWYCZAJA SIĘ DO WSZYSTKIEGO, OSWAJA SIĘ Z KAŻDĄ STRATĄ, Z DOWOLNĄ BZDURĄ. ALE JEST W NIM JAKAŚ SPRĘŻYNKA, JAKAŚ GRANICA WYTRZYMAŁOŚCI MATERIAŁU, PO PRZEKROCZENIU KTÓREJ WSZYSTKO LECI W DIABŁY. CZŁOWIEK PRZESTAJE WIERZYĆ W TO, CO WIDZI.

Właśnie ten moment nadszedł dla naszego bohatera. W końcu wybiła magiczna 17 i Badyński pojechał na angielski. Na angielski można było, bo to służyło dobru firmy. Wprawdzie wszyscy nasi pracownicy mówią po angielsku bardzo dobrze, ale jak jeden z nich chce mówić nieco lepiej, no to dobrze, może sobie iść i się szkolić, w końcu szalowo zarabia, więc stać go na takie cyrki. Całą lekcję Badyński myślał sobie, że jest szmatą, że jest idiotą. Dotarło do niego, że kochany wuj robi go w chuja i to w wielkiego chuja. Wiedział to wcześniej, ale wydawało mu się, że będzie to powoli prostował i że za jakiś czas będzie miał normalne życie, normalną pracę, ładne wynagrodzenie, no ideał szczęścia XXI wieku. Teraz jednak okazało się, że mógł marzyć o tym jak impotent o dokonaniu gwałtu. Nie, nigdy nie będzie normalnie. Tak, zawsze będą się na tobie wyżywać. Tak, będą sobie leczyć kompleksy twoim kosztem. Nie, nie zasłużyłeś sobie niczym na takie traktowanie. To nieważne, że tego nie rozumiesz, ważne, że bierzesz w tym udział. To im wystarczy, nie jesteś od rozumienia, jesteś od bycia do bicia.

Za nic nie mógł się skoncentrować na lekcji, odpowiadał kurtuazyjnie na wszystko i starał się nie rozmawiać z nikim, co jest dość trudne w realiach

nauki języka. Jedyne, o czym Badyński myślał, to o tym, jak go właśnie wyruchano. Że właśnie kochany krewniak pokazał mu miejsce w szeregu. Że awans zagwarantuje mu dalsze poniżenie i status obiektu Omega, na którym każdy może się wyżyć, że już nie będzie miał czasu nawet na parę stron książki dziennie, bo będzie miał pracę, tylko i jedynie pracę. Poszedł więc do kobiety życia i szukał tam zrozumienia. Jednak tego nie da się zrozumieć, nie da się wolnemu człowiekowi wyjaśnić, że żyjąc w kraju Unii Europejskiej w roku 2011 jest się niewolnikiem swojej pracy i ma się koszmary nocne na myśl o tym, że następnego dnia znowu będzie trzeba wstać i tam iść. Że wszystko, że całe życie kręci się wokół pracy. Nie mówi się tego na co dzień, bo człowiekowi jest po prostu wstyd przyznać się przed samym sobą, jak nisko się upadło i do czego doprowadziło się swoje życie.

Jeszcze parę lat temu Badyński miał marzenia, miał wizję. Po roku nie zostało z tego nic. Był martwy w wieku 28 lat. Widział resztę swojego życia, widział każdy dzień i wszystkie one były jednym i tym samym. Dlaczego? Dlaczego mnie to spotkało? Przecież są ludzie, którzy czerpią radość ze swojej pracy. Wstają rano i może nie z uśmiechem na ustach, ale też nie z poczuciem bezsensu, idą na zakład.

To wszystko próbował powiedzieć, ale nie wiedział jak. Właściwie dowiedział się, że skoro tak szalowo zarabia, to może się pogodzić z tym, że jest nieco tak sobie na zakładzie i że może jeszcze kiedyś będzie mógł zmienić pracę.

Nastał akurat taki dzień w życiu naszego bohatera, że postanowił się spotkać z podłością samemu, pocałował dziewczynę i poszedł na swoje. Potem już tylko pił, pił, i pił. W jakiejś otchłani tego picia postanowił powiadomić swojego krewnego, że nie tyle przegięto pałę, a właśnie ją złamano. Cienka czerwona linia właśnie pierdolnęła z hukiem.

– Kiedyś cię kochałem, a teraz jesteś dla mnie zwykłym złodziejem. Wyślij. Wiadomość dostarczono.

W tej gównianej firmie od dawna nikt nie powiedział prawdy i Badyński właśnie postanowił rzucić kilka słów w temacie, zanim sobie pójdzie. Stwierdził, że ogólnie mądrym palenie mostów w życiu nie jest, ale wiedział, że ten spalić musi, bo życie może różnie się ułożyć i jeszcze kiedyś może osiągnąć takie dno, że zechce wrócić. Ta sprawa wymagała wypalenia żelazem i popełnienia największej zbrodni z możliwych, wprawienia pana prezesa w zły humor. Przez ponad rok priorytetem było dbanie o to, czy aby wszystko się wodzowi podoba. Chciał samozatrudnienia? Było. Rozmowy dyscyplinujące? Teraz kombinacje z wypłatą i dołożenie pięknej ilości bezpłatnych nadgodzin? Nie, jeszcze człowiekowi zostały jakieś szczątki godności, bardzo mało, ale to nie przejdzie.

Resztę wieczora i nocy Badyński spędził na goleniu głowy maszynką do golenia. Miały być krótkie włosy? Proszę. I na picciu. Jezu, jak długo na to czekał. Pić, chlać, zjebać się. Pokazać wszystkim wała. I w końcu nadszedł ten dzień. Badyński wstał do pracy, i poszedł tam, po drodze odwiedzając zakład fryzjerski, gdzie poprawiono jego zabiegi golenia się na łyso. Napisał jeszcze do kochanej pani Grażyny, że przychodzi na 9, bo kurwa miało się przychodzić na 9 i tak nawet w warunkach zatrudnienia jest, a wymysły i praktyki dobrze postrzegane w firmie, to kpina z pracownika. Zasiadł na swym stanowisku, ale nie jak zwykle. Wydaje ci się, że mi pokazałaś wała? To sobie popatrz, jak na twoim preferowanym schemacie samozatrudnienia ci rodzina pokazuje wała. Popatrz sobie dobrze i dokładnie, bo pewnego dnia trafi się ktoś, kto będzie jeszcze bardziej szczęśliwy ze współpracy z tobą i da w pysk.

Po jakimś czasie picia piwa, słuchania Nine Inch Nails i trzymania butów na biurku, Badyński zdał sobie sprawę, że coś podejrzanie cicho jest w tym cyrku. Zaczęło do niego docierać, że nikt nie chce go zwolnić, że taki zły pracownik, ale jednak, można mu robić tę grzeczność i pozwolić mu trochę popracować, pozarabiać pieniądze. No nie, tak nie będzie – pomyślał i pożegnał szklankę przez okno. Potem drugą. Po mniej więcej dwóch godzinach w końcu go zwolniono.

Postąpiono w imię najlepszych wzorców korporacyjnych, do domu odwoził go kolega. Było to o tyle durne, że przecież on tam nigdy nie pracował, on przecież był firmą zewnętrzną. Badyński zmierzał w stronę domu, ale do domu zmierzał każdego dnia. Tym razem zmierzał też do tego, co tak dawno utracił, do świętego spokoju, do wolnego czasu, do banalnie rozumianej wolności. Władza istnieje, jeżeli jest zgoda na podporządkowanie się jej, a właśnie nadszedł dzień, w którym ona wygasła. Nie było to nic wielkiego w dziejach ludzkości, nie udało się obalić reżimu w żadnym dalekim kraju, nie udzielono nikomu pomocy. Jednak tego dnia komuś udało się wstać i wyjść na dwóch nogach, nie na czworakach, po raz pierwszy od bardzo dawna. Po czasie wyszukiwania dowodów na usprawiedliwienie własnej nędzy, nastał czas powiedzenia: nie, no, kurwa, nie! Człowiek przyzwyczaił się już, że musi mówić, że czarne to białe, a białe to czarne. Zgodził się nawet na to, że żółte, to zielone. Jednak, gdy już przywykł, gdy zgodził się to na wszystko, okazało się, że od tego dnia niebieskie to zielone. To był moment, gdy coś w nim pękło, bo widział, że wiele osób ma prawo do nazywania kolorów ich właściwymi nazwami, zaś on skazany został na świat przymusowego daltonizmu.

Jednak w miarę oddalania się od zakładu dawnej pracy, rzeczywistość Badyńskiego odzyskiwała swoje prawdziwe kolory.